

Piąta barwa asa

Helena Sekuła



calibre 0.9.27

Helena Sekuła

Piąta barwa asa

Ludzie jeszcze nie spali, bo pora nie była zbyt późna, a w telewizji transmitowano mecz piłki nożnej Polska–Walia, rozgrywany w Cardiff, więc korytarze i klatki schodowe ogromnego bloku były puste.

— Ratunku... On go zabił! — przed numerem czterysta piętnaście krzyczała kobieta i ten krzyk zaalarmował mieszkańców dwunastego pięta. Nawet mężczyźni oderwali się od ekranów i wybiegli na korytarz.

Ona wciąż krzyczała, potem czepiała się ludzi rozlatanymi rękoma, dopóki nie zjawił się dozorca i lekarz mieszkający na tym samym piętrze. Oni obaj weszli pierwsi do mieszkania, a lekarz zaraz wezwał pogotowie milicji...

Gdy obejrzałem ten blok — osiemnaście pięter, łącznie sześćset osiemdziesiąt lokali, długie jak ulice korytarze i trzy windy, ciągle w ruchu — to małe miasteczko, gdzie gnieździ się prawie dwa tysiące ludzi i nikt na nikogo nie zwraca uwagi, gdzie większość lokatorów zamieszkujących jedno piętro nie zna się między sobą, a już mowy nie ma, aby znali znajomych swoich sąsiadów, wiedziałem, że niewiele się tu dowiem.

— Mnie się od razu wydało — powiedział później dozorca — że ten na tapczanie żyje i nic mu nie jest, tylko zalany w płaskorzeźbę.

Trzeba przyznać, że był z niego nielichy diagnostyk w tej dziedzinie, bo rozpoznanie okazało się bezbłędne, chociaż widział tamtego tylko z progu przedpokoju. Lekarz, który pierwszy zobaczył trupa pod oknem, nie pozwolił mu ani chodzić, ani niczego dotykać, uznawszy, i słusznie, że to sprawa milicji.

Do mnie zadzwonił komendant dzielniczy.

— Panie prokuratorze — mimo że kilka lat ciągnęliśmy razem to, co zwykło się nazywać

bezpieczeństwem dzielnicy, jakoś nie byliśmy dotychczas na ty, może z powodu różnicy wieku; byłem prokuratorem, o którym wciąż jeszcze mówiło się: młody!

Miałem trzydzieści trzy lata, dyplom, sześć lat praktyki i otworzony przewód doktorski, który Bóg raczy wiedzieć kiedy zakończę, a on był starym praktykiem, żeby nie powiedzieć rutyniarzem, i moje ingerencje w sprawach śledczych często go uwierały, bo facet czasami działał jakby to on stanowił prawo. Ja się na to nie godziłem. Brałem poważnie literę prawa, zobowiązującą mnie do prowadzenia śledztwa, i nie chciałem być prokuratorem malowanym, co to tylko podpisuje podsunięte mu papierki... I nie wstydzę się tego, miałem także osobistą ambicję prokuratora Jerzego Bielskiego. Chciałem kierować śledztwem i brać bezpośredni udział w wykrywaniu poważniejszych spraw. Byłem także zastępcą prokuratora dzielnicy, a długotrwała choroba szefa sprawiała, że faktycznie ja kierowałem prokuraturą i byłem odpowiedzialny za całokształt jej działalności.

— ...mamy na dzielnicy morderstwo! Pojedzie pan? — Rozumiałem dobrze, że wcale sobie tego nie życzy, mu mnie za natręta i każdy mój wyjazd na miejsce przestępstwa poczytuje za brak wiary w obiektywizm i umiejętności milicji. A do tego w żaden sposób nie mógł zrozumieć, jak mogę mu w czymkolwiek pomóc.

Prawie równocześnie z nami przyjechała grupa operacyjno–dochodzeniowa z komendy miasta; przed wejściowymi drzwiami z mosiężną tabliczką, na której wygrawerowane było nazwisko: Brygida Kostrzyca, stał plutonowy z wozu interwencyjnego, na klatce schodowej tłoczyli się gapie.

Natomiast sierżant, który zawiadomił komendanta i wezwał służbę kryminalną, wspólnie z jakimś mężczyzną, który przedstawił mi się później jako lekarz, usiłowali ocucić leżącego na tapczanie.

— Stan narkozy podchirurgicznej — powiedział na nasz widok lekarz, określając stopień

upojenia alkoholowego delikwenta.

W tym samym pokoju, w pobliżu balkonowego okna, nakryte dużym dywanem leżały zwłoki; mocno zbudowany człowiek, około, a może po pięćdziesiątce, nie dawał już żadnych znaków życia. Śmierć musiała nastąpić kilka godzin temu, jednak nie tak dawno, bo ciało było jeszcze elastyczne, bez charakterystycznego zeszywnienia.

Obok, jak w teatralnej scenerii, leżał sztylet ze stalową klingą i rękojeścią z perłowca, inkrustowaną miedzianą żyłką, ale na ciele zmarłego nie było żadnej rany, nie było nawet draśnięcia.

Wyglądało na to, jakby sprawca rozmyślił się w ostatniej chwili i zdecydował się na zadanie śmierci w inny sposób, a to narzędzie beztrąsko odrzucił.

Czy to w ogóle było zabójstwo?

Na ciele odkryliśmy stare ślady pobicia, ale z pewnością nie one stały się przyczyną śmierci.

Znaleźliśmy przy zmarłym dowód osobisty na nazwisko: Władysław Banaszczak, a Brygida Kostrzyca, która otrzymała środki uspokajające, stwierdziła, że zabity był jej przyjacielem, mieszkał z nią w tym mieszkaniu już od przeszło trzech lat.

Uspokoiła się po przeżytych szoku i wreszcie można z nią było rozmawiać.

Czy zna tego pijanego mężczyznę, śpiącego na tapczanie? — sierżant podał mi jego dokumenty. Nazywał się Chmielnik, nomen omen — Antoni Chmielnik, i jak wynikało z dowodu, pracował jako zbrojarz w przedsiębiorstwie budowlanym Omnipex; dwadzieścia osiem lat, kawaler, ostatnio zatrudniony przy budowie w NRD. Zameldowany na stałe w Warszawie. — Nigdy go nie widziałam i pierwszy raz słyszę to nazwisko — zarzekała się — ...a może to jakiś kumpel mojego męża? — powiedziała po chwilowym wahaniu.

Okazało się, że ma męża, z którym nie żyje od pięciu lat, lecz dotychczas formalnie się nie rozwiodła.

— Czy on pani groził?

— Nachodził mnie, ale Władek go pogonił.

— Jak mam rozumieć to: pogonił?

— Trochę go potar mosił i wyrzucił za drzwi.

— Czy Władysław Banaszczak został niedawno pobity? — skinęła głową. — W jakich okolicznościach?

— Nic mi nie powiedział... On był skryty i małomówny i jeśli czegoś nie chciał powiedzieć, to lepiej było nie pytać, bo się złościł.

— Czy mógł go pobić pani mąż?

— Nieee... Chyba nie, to chuchro, sam pan zobaczy. Ale może ktoś mu pomagał.

Sierżant był jednak cierpliwy i miał swoje wypróbowane sposoby na cucenie pijaków; na przemian podsuwał Chmielnikowi pod nos amoniak, to znowu nacierał mu kark zimną wodą. Po godzinie takich zabiegów delikwent poderwał się po kolejnym niuchu amoniaku, usiadł i powiódł po nas oszołomionym spojrzeniem.

— Gdzie ja jestem, panie władzo? — wlepił mętne jeszcze oczy w sierżanta. — Bo chyba nie w żłobku? — uważnie rozejrzał się po pokoju, spojrzeniem natrafił na ciało Banaszczaka i otrząsnął się jak na widok potwornej zjawy. — Skąd się tutaj wziął ten facet i co mu się stało?

— Morderca!!! — histerycznie krzyknęła Brygida Kostrzyca. — Tylko on mógł to zrobić!

— Co ona wygaduje? — Chmielnik nic nie rozumiał; nerwowo pocierał czoło, usiłował się jakoś odnaleźć.

Powiedziałem mu, że ta kobieta mieszka tutaj i znalazła przed godziną ciało zamordowanego przyjaciela, natomiast on — pijany do nieprzytomności — leżał obok na tym tapczanie.

Chmielnik jakby otrzeźwiał, dopiero teraz zrozumiał, o co go oskarżają.

— To wariatka! — chwycił się za głowę. — Gdy z nią tu przyszedłem, nie widziałem żadnego

mężczyzny, ani żywego, ani umarłego... Teraz przypominam sobie, że ten dywan leżał jakoś tak wybrzuszony, ale nie zwróciłem na to uwagi, byłem na ciężkiej bani i przede wszystkim interesowała mnie ona...

— Ja tu z tobą przyszłam, łobudzie?!!! Ja!!! Panie prokuratorze, on kłamie... Potwór!

Kobieta zaczęła histeryzować, krzyczeć i nie dawała mu mówić; usiłowała rzucić się na niego i znów dostała ataku nerwowego, a może udawała?

Kazałem więc zabrać Chmielnika do komendy i tam wysłuchałem go do końca.

Był w knajpie i spodobała mu się ta kobieta, więc przysiadł się do jej stolika, a ona była nie od tego; był już mocno pijany, ale wypił z nią jeszcze pół litra wódki, potem ona zabrała go do siebie. Jak się do niej dostali? Nie wie, może później sobie przypomni, gdy na dobre wytrzeźwieje...

Wydaje mu się, że pamięta ten nieład w mieszkaniu i zsunięty w kącie dywan, ale jak już mówił, nie interesowało go mieszkanie, tylko kobieta. Miała trochę wódki, stała na stole, ot! napałek, więc gdy wypili, to ona chciała pić jeszcze i powiedziała, że przyniesie z jednej mety, którą zna. Meta miała być blisko.

Oczywiście zgodził się, skoro lalunia miała pragnienie, i nawet dał pieniądze. Ile? Nie pamięta... Według niego to ona poszła i wróciła z milicją, aby go wrobić w morderstwo!

Następnego dnia wznowiłem przesłuchanie; powtórzył mi to samo, słowo w słowo.

— Jaka to była knajpa? — tego nie pamiętał, tak samo, jak nie potrafił sobie przypomnieć, w jaki sposób dostał się z tą kobietą do mieszkania.

— Tylko co wróciłem z zagranicznej budowy, a tam człowiek korka nie wachał... Nasz inżynier za jeden tęgi ochłaj z roboty zdejmuje i ciupasem do domu wysyła, ostry jest! No to kto byłby taki głupi, żeby dobry zarobek przez picie tracić?... A jak przyjechałem na urlop, to popłynęłem... Zaczęłem w „Kameralnej” na Rakowieckiej, potem „Rybkol”, wie pan, rybna na

Puławskiej, potem „Bar pod dwójką” przy placu Unii, bo ja jestem, psiakręć, wędrowniczek, jak popiję... Nie, nie zaczynałem sam, ale kumple odpadali po drodze... Co pan ze mną chce zrobić, panie prokuratorze?

— Niech pan przypomni sobie tę knajpę i gdzie się pan rozstał z ostatnimi kompanami.

— Chyba w „Końskiej”?... To taki lokal na Mokotowskiej, teraz się nazywa „Nowa”, kiedyś była „Tatarska”... Panie prokuratorze, ja mam dwa tygodnie urlopu i jeśli je spędzę w kiciu, to świat się nie zawali, ale jeśli mnie pan przypudli na dłużej, to załatwi mi pan życiową sprawę, bo już nie będę miał po co wracać na tamtą budowę.

— Przypomnij sobie, do diabła, człowieku, przynajmniej dzielnicę, w której była ta knajpa! — nie mogłem go puścić, chociaż wierzyłem w każde jego słowo. Tymczasem zleciłem milicji przesłuchanie kolegów, z którymi pił, a sam zabrałem się do bieżącej korespondencji.

I zaraz zaczął się codzienny młyn; z miejskiej prokuratury karcące ponaglenie: sprawozdanie! Fakt, jeszcze nie wysłałem, dziś właśnie miałem je wykończyć, ale zdaje się teraz do niego już nie siądę. Ostatecznie to tylko papier, a tu mam żywego człowieka, któremu mogę złamać życie. I jak na złość tuzin innych, nie cierpiących zwłoki spraw; ktoś tam z góry interesuje się nadzorem ogólnym, i czy aby dostatecznie czuwam nad orzecznictwem karno-administracyjnym, wreszcie narada — na śmierć zapomniałem — na temat skarg i zażaleń.

Zbuntowałem się, wysłałem praktykantkę, w odpowiedzi wściekły telefon od organizatorów: dlaczego nie osobiście? Bo nie mam czasu! — niemal rzuciłem słuchawkę.

Byłem już porządnie zły, gdy przyszedł oficer służby kryminalnej z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie Brygidy Kostrzycy.

— Dlaczego, po co ten areszt? — położył przede mną gotowy, wypełniony już druk, tylko sięgnąć po długopis i podpisać. No pewno, co to mu szkodzi, niech sobie tymczasem posiedzi do wyjaśnienia.

— Ona kręci! Po pana odjeździe atak nerwowy minął jak ręką odjął, natomiast bardzo potrzebowała powietrza, więc wyszła na balkon. A tam okazało się, że w ziemi, w skrzynce na kwiaty zagrzebana jest biżuteria. Nie uważa pan, że to bardzo szczególny sposób przechowywania klejnotów?

— Co ona sama mówi o pochodzeniu tej biżuterii?

— Własność Banaszczaka. Schował tam przed złodziejami. Obawiał się kradzieży.

— Co jeszcze do niej macie? — podsunął mi teczkę z wywiadem dzielnicowego, przesłuchanie świadków — znów papierzyska. Jak oni to sprawnie robią, z dokumentacją uwinęli się piorunem. Ale opinie milicji o tej kobiecie i jej kochanku były dobre. Pomyślałem tylko, że na taki blok o dwóch tysiącach mieszkańców potrzebny byłby oddzielny dzielnicowy i także miałby co robić.

— Nie dam nakazu tylko dlatego, że ktoś trzyma biżuterię w skrzynce od kwiatów, a nie na przykład w bieliźniarce. Przecież nawet nie wiemy dotychczas, jaka jest przyczyna śmierci! Nie widzę protokołu sekcji zwłok.

— Medycyna marudzi, mają tam jakiś zgryz, wezwali profesora.

Przeczytałam informacje: Brygida Kostrzyca, lat trzydzieści sześć, była kelnerka z „Arkadii”, zwolniona na własną prośbę — opinia bardzo dobra. Po zwolnieniu uzyskała koncesję na agencję i prowadzi lokal gastronomiczny, „Homar”. Na urządzenie lokalu otrzymała pożyczkę z banku, spłaca ją regularnie. Wóz dostawczy combi, zarejestrowany wraz z otwarciem lokalu, sześć tygodni temu kupiła samochód osobowy marki „Warszawa”, numer rejestracyjny... od Marii Zasławskiej.

Złożone przez nią zeznania różniły się nieco od wyjaśnień kelnerki „Homara”. Sprzeczności dotyczyły godziny jej wyjścia z lokalu.

Kazałem przysłać do siebie kelnerkę, a następnie agentkę — jednak nakazu na nią nie

podpisałem.

Na pytanie, o której agentka opuściła lokal, kelnerka wymieniła tę samą godzinę, którą podała do protokołu; było to znacznie wcześniej, niż zeznała Kostrzyca, prawie o godzinę.

— Pani Kostrzyca często pozostawiała lokal pod pani opieką?

— To się nie zdarzało. Jeśli szefowa wychodziła wcześniej, to zastępował ją pan Banaszczak.

Zresztą pan Banaszczak prawie zawsze po południu urzędował w „Homarze”

— Czy tego dnia dzwonił ktoś do szefowej?

— Tak, pan Banaszczak prosił ją, aby natychmiast poszła do domu i zaraz po tym szefowa wyszła, ale zapowiedziała, że niebawem wróci.

— Kto odebrał ten telefon? — oczywiście szefowa. Więc nikt nie może potwierdzić, że to dzwonił przyjaciel agentki? — Nie, nie może...

Brygida Kostrzyca w czasie rozmowy ze mną była mocno wystraszona. Jej zdaniem kelnerka pomyliła godzinę, to wcale nie ze złej woli, po prostu tak jej się wydaje. No cóż, ona także może się mylić — ale nie aż o godzinę! Nie spojrzała na zegarek, gdy zadzwonił ten telefon, nie wyliczała minut. Gdyby przeczuwała to nieszczęście, oczywiście zapamiętałaby czas co do sekundy, ale tak! Nikt przecież nie żyje ze stoperem w rękę... Po tym wezwaniu śpieszyła się do domu i nawet na myśl jej nie przyszło, że zostanie go nieżywego.

— Powiedział, po co panią wzywa?

— Tak... miał być plantator pieczarek, z którym chciałam się umówić o stałe dostawy.

— Nie mógł przyjść do „Homara”?

— Widocznie nie mógł, no nie wiem... Bo to był protegowany Władka i ja go dotychczas nigdy nie widziałam — okazało się, że nawet nie znała jego nazwiska.

— Ile czasu zabrała pani droga z „Homara” do domu, pani jechała samochodem, tak?

— Tak. Czy ja wiem? Może dwadzieścia minut...

— Jak więc wytłumaczyć fakt, że w przeciągu takiego krótkiego czasu zwłoki Banaszczyka zdążyły już ostygnąć? No więc, kto dzwonił do pani do restauracji i co powiedział, że pani natychmiast opuściła lokal?

Milczenie, przerażony wzrok, łzy. Wreszcie zdławiony szept: — Może ktoś się pod niego podszył, nie wiem, nic z tego nie rozumiem...

Nadal jednak upierała się, że był to głos jej kochanka i chodziło o dostawcę pieczarek.

— Pani kupiła samochód od żony profesora Zasławskiego?

— Nie wiem, czy ona profesorowa, czy też nie, nazywa się Zasławska.

— Kiedy ją pani poznała?

— Przy kupnie samochodu... przyszłam do niej z ogłoszenia.

Nie podpisałem sankcji na tę kobietę, mimo że niektóre Jej stwierdzenia były niejasne lub wręcz odbiegały od, prawdy... Nie, nie wierzyłem w istnienie plantatora pieczarek, za tym kryło się coś innego, ale czy to i jeszcze kilka nieścisłości miało decydować o zastosowaniu aresztu?

Dano mi znać, że Chmielnik koniecznie chce ze mną rozmawiać.

— Panie prokuratorze, przypomniałem sobie pewien szczegół; w tej knajpie, w której poderwała mnie ta babka, były bardzo strome schody do toalety, takie z pieca na łeb i nawet szatniarz mnie przestrzegał, żebym się nie wykosił... Znam kilka knajp z takimi schodami, pan prokurator chyba też zna, pojedźmy do nich, może ja sobie przypomnę, może mnie sobie przypomni ktoś z obsługi... Niech mi pan da szansę!

On mnie prosi o szansę! Co ci ludzie sobie wyobrażają o instytucji prokuratora. Kojarzy im się wyłącznie z oskarżeniem, karą, pozbawieniem wolności, a przecież chodzi tylko o prawdę.

Dałem mu tę szansę i zjeździłem z nim miasto wzdłuż i wszerz.

Znaleźliśmy ten lokal! Mieścił się za rogiem domu, w którym mieszkała agentka, i rzeczywiście były tam karkołomne schody wiodące do toalety.

Szatniarz, onże wykidajło, rozpoznał go natychmiast i przypomniał sobie jego partnerkę.

Powiedział, że gdy tylko ta kobieta weszła wieczorem do baru, od razu wydała mu się dziwna; w pierwszej chwili pomyślał, że jest pijana, ale gdy się bliżej przyjrzał, okazało się, że nie. Już on się na tym zna!

Była jakaś taka zastygła. Błyszczące, nieobecne oczy, niezbyt skoordynowane ruchy.

Pomyślał nawet, że może po narkotykach. Nie, nie znał jej. Nigdy przedtem tu nie przychodziła.

Zna z widzenia wszystkie samotnie przychodzące do tego baru; jest tu taka kategoria kobiet.

Natomiast ta nie wyglądała na profesjonalistkę.

Kelner także zapamiętał tę kobietę, zażądała coś do jedzenia i setkę wódki. Podał — jedzenia nawet nie tknęła. Było około dziewiątej, o tej porze goście, prawie sami mężczyźni, byli już — z nielicznymi wyjątkami — mocno podpici; samotna kobieta nie powinna w takich barach pić wódki, bo zaraz skoncentruje na sobie uwagę mężczyzn. Szczególną uwagę.

Więc wzbudziła zainteresowanie niemal natychmiast, tym bardziej że nie była stara — bardzo ładna i doskonale ubrana. Drażniła innością.

W tym barze kobiety pijące samotnie mają wulgarne, wyniszczone twarze, wyzywający makijaż, od razu widać, kto zacz, a ta? Nie sprawiała wrażenia ani alkoholiczki, ani prostytutki.

Więc kim była, dlaczego prowokowała tą setką czystej wódki?

I jak było do przewidzenia, wystartował do niej dobrze pijany gość — ledwo już na oczy patrzył, aż dziw, że ją dostrzegł — powiedział kelner.

— Lalunia sama? — kelner wtedy się zląkł, że jeśli ona zbyt surowo odprawi natręta, tamten może jej naubliżyć. W razie czego postanowił interweniować; ale ona nie, z jakimś drewnianym uśmiechem, od razu przyjęła towarzystwo pijanego. Facet, rozanielony, triumfująco potoczył wzrokiem po sali.

— Piękna sztuka, co? — powiedział do kelnera, zamawiając już wspólną wódkę — pół litra.

Pili na tempo, kobieta wciąż dolewała temu człowiekowi i chyba w kwadrans byli gotowi z tą flaszką. Kelner był ciekaw, czy mężczyzna będzie w stanie ruszyć się od stolika: ale wstał i poszedł, gdy tylko kobieta ujęła go pod rękę.

Zarówno kelner, jak i szatniarz, byli niemal oburzeni tą jej łatwością, tym brakiem wyboru, że tak się nie szanuje, i dzięki temu zapamiętali tego jej przygodnego partnera, który wtedy wydał im się bardzo prymitywny, tak nie pasujący do niej...

To był właśnie Antoni Chmielnik; tyle że teraz trzeźwy i znękanym prezentował się zupełnie inaczej, a tak naprawdę wcale nie był prostytutką.

Zadzwońmy stamtąd, aby niezwłocznie przywieziono Brygidę Kostrzycę; zarówno szatniarz, jak i kelner stwierdzili kategorycznie, że to nie jest tamta kobieta.

— Ale się urzął, co? Namotał babkę i nawet nie pamięta, jak wyglądała — śmiał się kelner.

— Panie prokuratorze, on był w takim stanie, że jemu było potrzebne łóżko, ale bez kobity, więc kim jest ta, którą Antoni Chmielnik „namotał”? Bo niewątpliwie to ona przyprowadziła go do mieszkania Brygidy Kostrzycy. Świadkowie utrzymują, że była bardzo piękna i bardzo elegancka, tylko dziwna, jak gdyby nienormalna. Była tak dziwna, że nie zapamiętali ani koloru włosów, ani innych szczegółów, pozostało tylko ogólne wrażenie. Jednak z całą pewnością nie była to agentka „Homara”, wprawdzie niebrzydka, ale przeciętna, w żadnym razie nie można było powiedzieć o niej: piękna.

W jakim była wieku? Może miała trzydzieści lat, może więcej, nastrojowe światła w barze są dla kobiet łaskawe.

Nareszcie odezwała się medycyna sądowa i otrzymałem niezwykle protokół sekcji zwłok. W całej swojej sześcioletniej karierze nie spotkałem się z taką przyczyną śmierci. Komendant dzielnicy przyznał, że on także nie słyszał o czymś takim, mimo dwudziesta pięciu lat służby milicyjnej.

Otóż lekarz od razu podejrzewał zatrucie. W czasie obdukcji zaś stwierdził na prawym ramieniu ukłucie od igły, a pod skórą resztki penicyliny, natomiast w narządach wewnętrznych ślady alkoholu i silnego środka nasennego.

Młody medyk, nie mogąc się sam uporać z tym dziwnym przypadkiem, wezwał na pomoc profesora, no i wygotowali nam orzeczenie, z którego wynikało, że śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia, w następstwie anafilaktycznego szoku, spowodowanego penicyliną.

W jaki sposób penicylina spowodowała śmierć?

Profesor przyjął, że Władysław Banaszczak był uczulony na penicylinę. Natomiast alkohol powoduje dalszy spadek występującego przy anafilaksji — jest to szczególna forma alergii — obniżonego ciśnienia krwi, co w konsekwencji prowadzi do gwałtownej śmierci.

Brygida Kostrzyca potwierdziła bez wahania, że jej kochanek był uczulony na penicylinę. Kto oprócz niej wiedział o tym? Każdy, kto tylko chciał słuchać narzekań Banaszczaka na lekarzy, stanowczo odmawiających mu tego leku.

Często chorował? Ależ nie, tylko był przekonany o uniwersalnej skuteczności penicyliny, może dlatego właśnie, że nigdy jej nie otrzymywał.

Skrupulatni pracownicy służby kryminalnej odnaleźli w mieszkaniu agentki, w pojemniku na śmieci, ampułkę po penicylinie. Nie odnaleziono jednak ani igły, ani strzykawki. Ustalono także, że zmarły nie był mańkutem, należało więc wykluczyć możliwość dokonania zastrzyku przez niego samego, lewą ręką w prawe ramię.

Odpadły wszelkie wątpliwości: to było morderstwo, popełnione przez kogoś, kto miał niejaki pojęcie o medycynie i wiedział o uczuleniu Banaszczaka na penicylinę.

Brygida Kostrzyca? Ale dlaczego miałyby to zrobić. Brak zresztą jakichkolwiek dowodów.

Wytworna pani, która zwabiła Chmielnika? Ciągłe szukano tej zapadkowej kobiety z baru. Na temat jej związku z zabójstwem konstruowano najbardziej fantastyczne wersje; działała na

wyobraźnię.

Eksperci z Zakładu Kryminalistyki złożyli wreszcie szczątki jakiegoś listu znalezionego w kieszeni Banaszczaka. Na arkusiku listowego papieru naklejone były wycięte z gazety drukowane litery. Początku wersu brakowało, zachowały się tylko słowa: ...jeśli chcesz jeszcze pożyć: Dama Pik.

Brygida Kostrzyca, zapytana o ten anonim, nie chciała lub nie umiała nic powiedzieć; nie, nie wiedziała, że jej przyjaciel otrzymywał pogróżki, nigdy jej o żadnych anonimach nie wspominał Dama Pik! — przypomniał mi się as pik, karta znaleziona przy zamordowanej kilka miesięcy temu kobiecie. Ta kobieta nie miała twarzy, rozgniółł ją protektor auta, a jedyną rzeczą, jaką przy niej znaleziono, była ręcznie malowana karta.

Samochód, którym posługiwał się zbrodniarz, miał być marki „Warszawa” — tak przynajmniej zeznał jedyny świadek, który sam zgłosił się do milicji, utrzymując, że widział samochód zabójcy.

Tej samej marki był wóz, który agentka niedawno kupiła od profesorowej Zasławskiej... Ale te samochody są tak popularne, że chyba nic z tego nie wynika.

Mimo woli tamtą bardzo piękną i bardzo dziwną kobietę z baru, która zwabiła do mieszkania Brygidy Kostrzycy zupełnie pijanego Chmielnika, zacząłem kojarzyć z ową Damą Pik, chociaż te anonimy mógł równie dobrze podpisywać w ten sposób mężczyzna.

Zdawałem sobie sprawę, że trzeba tu działać szybko, dopóki wspomnienie jej twarzy nie zatarło się w pamięci obsługi baru, bo przecież codziennie nakładają się na nie setki innych twarzy i potem zeznania tych świadków przestaną mieć wartość dowodu.

Pojechałem do Monopoli Spirytusowego w Jeziornej, gdzie pracował w charakterze magazyniera Banaszczak; w kadrach powiedziano mi, że właśnie wczoraj otrzymali od niego list, w którym magazynier nie podając żadnych motywów wymówił pracę w trybie natychmiastowym

Pokazano mi ćwiartkę papieru, pokrytą kanciastym pismem. Gdzie był nadany list? Nie wiedzą, nie zwrócili uwagi. Koperta nie zachowała się — wtedy jeszcze nic nie wiedzieli o wypadku. Bezpośrednim zwierzchnikiem magazyniera była inżynier–technolog Halina Klim, sprawująca w zakładach funkcję inspektora szczególnego nadzoru.

Nie udało mi się nawiązać z nią kontaktu, więc pozostawiłem dla niej w kadrach pisemne wezwanie do prokuratury.

Czy popełniłem błąd?

Halina Klim nie stawiała się na wezwanie. Naszpikowała się proszkami nasennymi, otworzyła gaz. Od niechybnej śmierci uratował ją kot. Zwykły pręgowany dachowiec, jedyny współlokator tej kobiety. Przerażliwym miauczeniem i drapaniem w drzwi zwabił pomoc.

W bardzo ciężkim stanie przewieziono ją do szpitala i długo szamotała się między życiem a śmiercią; gdy nieco przyszła do siebie po zatruciu, nocą stłukła szklanę i podcięła sobie żyły.

Nie chciała żyć — z oporem poddawała się zabiegom lekarzy, którzy wbrew jej woli zatrzymywali ją na tym świecie.

Mieszkała samotnie w niedawno otrzymanej kawalerce. Rozwódka — czterdzieści trzy lata.

Dwoje prawie dorosłych dzieci pozostawiła z mężem.

Gdy pokazano mi jej fotografię — to była jeszcze bardzo efektowna kobieta — przez chwilę sądziłem, że to jest Dama Pik, i stąd jej desperacja po otrzymaniu zawiadomienia od prokuratora.

Jednak to nie była ta dziwna pani z baru. Szatniarz i kelner z lokalu o karkołomnych schodach kategorycznie zaprzeczyli.

— A pan, prokuratorze, myślał, że się to zaraz wszystko pięknie wyklaruje, jak tylko pan rękę przyłoży — powiedział zgryźliwie komendant. — Za taką sprawą trzeba chodzić i chodzić, aż człowiekowi nogi w dupę wejda...

— Odeszła do kochanka — powiedział o niej były mąż — i w ogóle nie chcę o niej słyszeć.

Mam formalny rozwód, nie widywałem jej i nie pozwalałem na odwiedzanie dzieci. To kobieta głęboko niemoralna — ton kaznodziei i wygląd bigota; wyraźnie cieszył go fakt, że jego była żoną interesuje się prokurator. Nie, nie sprawiał przyjemnego wrażenia ten moralny mąż.

Czyżby Władysław Banaszczak był tym kochankiem?

W pracy Halina Klim opinię miała jak najlepszą. Gdy zapytałem o jej ewentualny związek z Banaszczakiem, nikt temu nie dał wiary. To niemożliwe!

Magazyniera charakteryzowano jako człowieka dość ograniczonego, mało efektownego milczka, w żadnym wypadku nie pasował do pani inżynier Klim. Takie sprawy jak skłonność dwojga ludzi łatwo zauważyć, a w ich wzajemnych stosunkach nic takiego nie było.

Halina Klim była surowym i wymagającym zwierzchnikiem — pełniła odpowiedzialną funkcję. Traktowała magazyniera taktownie, ale z dystansem. Banaszczak natomiast odnosił się do niej z szacunkiem i z odpowiednią do jej stanowiska rewerencją. Zresztą inżynier Klimowa miała taki styl bycia, który nie dopuszczał do żadnych poufałości.

To była powszechna opinia, zarówno wśród szefów Haliny Klim, jak i jej kolegów. Do wszystkich odnosiła się grzecznie, ale z rezerwą, była skryta, nie utrzymywała z nikim kontaktów towarzyskich, wiadano, że się rozwiodła, i to wszystko.

Z jakiego więc powodu targnęła się na życie i jaki to miało związek z wezwaniem jej przez prokuraturę?

Zawsze uważałem, że nawet najbardziej zaskakujące zamachy samobójcze, jeśli nie dotyczą chorych psychicznie, są skutkiem głębszych i długotrwałych procesów, które w końcu determinują takie właśnie rozwiązanie.

Dlaczego ten ostateczny, przekreślający wszystko krok musiała uczynić Halina Klim? Sprawy zawodowe? — sądząc z charakterystyk, jakie jej wystawiono, były w idealnym porządku. Czy nie za idealnym?

O mężczyźnie, który tak bardzo zaważył na losie i życiu tej kobiety, poinformowała mnie emerytowana portierka zakładów, pracująca teraz na pół etatu; sprzątała biuro, parzyła kawę, herbatę i przyrządzała śniadania dla pracowników z nadzoru technicznego.

Pani Lucia, zadbana, ruchliwa niewiasta z dobrą jeszcze figurą i śladami niewątpliwej urody, mimo zbliżającej się sześćdziesiątki, rezydowała w oszklonej jak akwarium klitce, wykrojonej z wnęki na korytarzu dyrekcji, między lodówką i wciąż parującym olbrzymim jak samowar czajnikiem.

— Proszę, proszę, panie prokuratorze! — przetarła ścierką czyste zresztą krzeselko.

— A skąd pani wie? — zapytałem niemądrze, bo przecież już drugi dzień traciłem w zakładach na te jałowe rozmowy, ku niezadowoleniu moich szefów, bo sprawozdanie wciąż było niegotowe. I przecież nie kryłem się tutaj, kim jestem.

— Ale, cały monopol wie, prokurator w zakładzie to nie zwyczajna rzecz. I wiem, że pan o Klimową wypytuje, to ja panu powiem: przez chłopca ona się truła!.. Kazio Omerowicz się nazywa, prace zlecone w monopolu ma, bo on malarz, i z pani Haliny poręki on u nas nastął... Tylko, panie prokuratorze, ja to panu towarzysko mówię, bom jej życzliwa i szkoda mi tej kobiety, ale podpisywać to ja nic nie będę... To nie dla niej mężczyzna...

— Niestateczny?

— Za ładny! Chłop jak malowanie i za jej syna mógłby być, młody taki. Ona przecież niczego kobita, a przy nim jak próchno, jak pobielany grób wyglądała... Pewno jej się wstydził, bo bywało, jak przyszedł do zakładów, to ledwo na nią spojrział i tylko z musu parę słów zamienił... Przez tego kochańca to wszystko, bo ona gryzła się, że on do każdej, byle młoda, zęby szczyrzył, albo i co innego jeszcze, co pan wiesz, a ja rozumiem... Za ładny, panie. Ładny chłop to pieścidło dla innych, kobita jak chce dla siebie kogoś mieć, to powinna według swojej urody chłopca sobie dobierać, ale one tego nie rozumieją, tylko za ślicznotami gonią, a ile tych gładyszy

jest? A każdy roznoszony jak dziadowski bicz... A przepraszam, pan prokurator żonaty?

Malarz, plastyk!

I naraz wszystko się zamknęło, gdy sprawdziłem adres Kazimierza Omerowicza. Mieszkał w willi Zasławskich!

* * *

— ...pamiętam albo i nie pamiętam, to zależy... Po tylu latach, ile to będzie?... powiadasz, że w pięćdziesiątych... tysiąc dziewięćset czterdzieści dziewięć? Ćwierć wieku temu, dziewczyno, jak ci na imię... aha, Dorota... Nie bądź taka prędką, najpierw mi powiedz, kto cię do mnie przysłał, właśnie do mnie?

— Nikt! Po prostu w kadrach zakładów gastronomicznych prosiłam o adresy ludzi, którzy w tamtych latach pracowali... większość z nich jest już na emeryturze... Mam nadzieję, że ktoś z nich pamięta... Jeśli pan zechce sobie przypomnieć, będę bardzo wdzięczna.

— Samą wdzięcznością nie wyżyje nawet taki stary człowiek jak ja.

Przyglądał mi się uważnie zza szkieł w cieniutkiej złotej oprawie; jego oczy wydały mi się niedobre.

Nie wiedziałam, jak dać pieniądze w tych okolicznościach; marudziłam, niezdecydowanie sięgnęłam i gmerałam w torbie, robiąc przy tym masę niepotrzebnych ruchów. Wiedziałam przecież, że wszystko, co mam, to trzy banknoty po pięćset złotych i garść bilonu. Ta suma była plonem trzymiesięcznego ciułania. Otrzymywałam od rodziców kieszonkowe, sto złotych tygodniowo, trzysta złotych dała mi Aniela.

Zażądać reszty z pięćsetki? Niezręcznie, może się obrazić, a bilon to jednak zbyt mało.

Chciwy starzec! Czulałam jego wyblakłe źrenice na swoich rękach i to pogłębiało moje zakłopotanie.

— To dla pana — onieśmielona podsunęłam mu banknot; no, jeśli dalej będę tak frajersko

postępowała, akurat starczy mi pieniędzy na trzech wydrwigroszów i zabraknie na powrotny bilet. Postanowiłam zaraz po wyjściu od niego rozmiąć pieniądze.

— Byłaś już u kogo? — odpowiedziałam, że on jest pierwszym, do kogo przyszłam w tej sprawie. — Dlaczego? — żółte jak wosk, zniekształcone reumatycznymi zgrubieniami palce chwyciły moją pięćsetkę. — Dlaczego wybrałaś mnie?

— Był pan barmanem w największym lokalu, dlatego.

— A powiedz mi, po co ci te informacje?

Przygotowana byłam na to pytanie, teraz jednak pomyślałam, że on na pewno chce wyłudzić więcej pieniędzy; zbyt łatwo otrzymał tamtą sumę. Zdałam sobie sprawę, że popełniłam kardynalny błąd. Zapłaciłam z góry za nic. Za mglistą obietnicę poinformowania mnie o osobie, której być może nigdy nie znał.

— Chodzi o spadek... W Kanadzie zmarła ciotka, która w testamencie zapisała swój majątek Marii Koziarek, swej jedynej krewnej zamieszkałej w Polsce. Odszukaniem spadkobierczyni, na zlecenie firmy prawnej z Toronto, zajmuje się znany warszawski adwokat...

— Jak się nazywa?

— Winiarski — powiedziałam pierwsze nazwisko, jakie mi przyszło na myśl. Z tym, że pan Winiarski naprawdę był znanym adwokatem i przyjacielem ojca. — Winiarski — powtórzyłam — jest pełnomocnikiem tej firmy.

— Aha... to ten adwokat wyszperał, że Maria Koziarek w latach pięćdziesiątych przebywała w Szczecinie?

— Tak! I odtąd urywa się wszelki ślad.

— A to przezwisko, Perła, także odkrył Winiarski? — potwierdziłam. — Dlaczego mecenas nie zwróci się z tym do milicji, nie da ogłoszenia w prasie? — brakowało mi argumentów na przekonującą odpowiedź. Milczałam. — Czy on nie wie, że po forszę to nieraz umarli wstają? Po

takim anonisie miałby kupić facetek o nazwisku Koziarek, tylko wybierać... Aha, przyszyła cię adwokat, znany adwokat... A czym ty u niego jesteś?

— Aplikantką — i już wiedziałem, że się wygłupiłam; zdałam sobie sprawę, że stary nie wierzy ani w moją aplikanturę, ani w słynnego mecenasa. Przestraszyłam się, na pewno teraz przestanie mi ufać i nie puści farby.

Zaczerwieniłam się przy tym, a świadomość, że mi płoną policzki, do reszty niweczyła pewność siebie. Nie śmiałam podnieść oczu, bojąc się, że stary do końca przejrzy moją nieudolną grę. Gorączkowo zastanawiałam się, jak wyjść z tego impasu, jak odkręcić kłamstwo, na chybcika budowałam doskonalszą i bardziej prawdopodobną historię. Męczące milczenie przeciągało się, a ja nie wiedziałam, jak wejść ze swoją kwestią.

— Aplikantką to może kiedyś będziesz, ale na razie nie jesteś!

— Nie jestem — zrobiłam psie oczy i spojrzałam na niego potulnie.

— Nie wstyd ci tak z mety kłamać staremu? — był rad ze swej przenikliwości. — Po co szukasz Perły?

— Jestem jej... córką... moja matka, to znaczy Maria Koziarek, kiedyś mieszkała w Szczecinie.

— Trzeba było od razu tak mówić — jego wypętlę źrenice złagodniały. — Kiedy straciłaś matkę z oczu?

— Nigdy jej nie widziałam. Wychowałam się w domu dziecka w Warszawie. — Tym razem uwierzył, nie domyślił się, że ja nadal kłamię; trafiłam we właściwy ton. Nieznana matka, opuszczone dziecko — tym można poruszyć nawet to stare, oschłe serce.

— Szukasz matki, a ten kanadyjski spadek to pic?

— Nie, tylko startuje do niego pewna facetka, także o nazwisku Koziarek, tyle że imię inne: Wanda. Winiarski poszukując Marii trafił na mnie, ale ta Wanda ma pieniądze, a ja...

— Ojca także nie znasz?

— Nie... Ale nazwisko mam po ojcu... — nabrałam oddechu jak przed skokiem; Boże, jak mi waliło serce, czułam, że blednę i już nic nie musiałam udawać, gdy patrzyłam staremu prosto w oczy. Weszłam w swoją rolę — ...Władysław Banaszczak, tak jest zapisane w papierach. Może pan słyszał to nazwisko?... Bo ja się urodziłam w Szczecinie — łągałam bezczelnie. Jeśli zapyta mnie o dokumenty, powiem, że nie mam. Nie zapytał.

— Nie, dziecko, nie słyszałem... — powiedział miękko, obudziłam w nim współczucie.

— Tak... Ten ojciec to też nic pewnego — powiedziałam zgaszona. — Takim dzieciom jak ja wpisują pierwsze lepsze nazwisko, chociażby z książki telefonicznej... żeby potem nie miały kompleksów, no nie?... Błagam pana, niech pan powie, co pan wie o Perle?

— Uspokój się, dziecko, bo to jeszcze nic pewnego, czy Perła, którą ja znałem, to właśnie Maria Koziarek — twoja matka... A wiesz, co ja bym ci radził?... Pluń ty na takich rodziców, co przez... ile masz lat? — siedemnaście! na wszelki wypadek ujęłam sobie rok. — Ta pluńże ty na takich, co przez siedemnaście lat serce ich nie ruszyło, aby chociaż własne dziecko zobaczyć, aby choć dowiedzieć się, czy żyje... Ot, z Bożą pomocą wyrosłaś, zawodu pewno jakiegoś cię uczą, czego cię uczą, a?

— Chodzę do liceum.

— Pierwsze słyszę! To w domu dziecka do liceum też posyłają?

— Tak, jeśli się zawsze miało dobre stopnie; ja nigdy nie miałam nawet trójki — prawie nie kłamałam.

— Ot młodziec! — ucieszył się. — A na wakacje to tak was samopas puszczają?

— Nie. Dyrektorka zezwoliła mi do Szczecina przyjechać, bo wie, że matki szukam.

— I dom dziecka podróż ci opłacił?

— To moje pieniądze, na praktyce zarobione, jeszcze w zeszłym roku. W depozycie u

dyrektorki leżały. Gdy jest uzasadniony wydatek, to wychowanek otrzymuje — dobrze siedziałam w zaimprovizowanej roli.

— Naści, dziecko, te twoje pieniądze, ja sierocego grosza nie wezmę — wetknął mi w rękę moje pięćset złotych. — I dobrze ci radzę, nie szukaj ty ich, jak ty córka tej samej Koziarkowej, to prędzej czy później mecenas tobie ten spadek wyprawuje.. Powiedz ty sobie, że oni umarli, żeś sama jak ten palec, spokojniej ci będzie.

— Kiedy nie wiadomo, czy umarli...

— Nie wiadomo, ale ty sobie tak powiedz... Ot, nabiłaś sobie głowę! Ale dajmy na to, że odszukasz Perłę i okaże się, że to twoja matka. Pewno tęsknisz ty do niej i obraz jakiś w duszy nosisz, wydaje ci się, że ona podobna albo i lepsza od innych matek. Dziecko ty jeszcze, ale zrozum, Perła to była portowa dziewczyna...

Zdrętwiałam, zrobiło mi się słabo, czułam, jak blednę; teraz już naprawdę nie musiałam udawać. Dostrzegł moją reakcję, głos mu jeszcze bardziej złagodniał.

— ...nie chcę ja ci bólu sprawiać, ale tak było, a jak uprzesz się ją szukać, to nie takie rzeczy o niej usłyszysz, przywyknąć musisz... siedemnaście lat to szmat czasu, a w takim fachu jak jej, to wiek. Jeśli żyje, to ona nie tylko do Perły, ale i do człowieka już niepodobna... Dajmy na to odnajdziesz, może jeszcze gdzieś po spelunkach się badzia, napitych mężczyzn na piwo albo na setkę naciąga... Myślisz, że w niej jakieś uczucia matczyne zostały? Głupia ty! Będzie na twojej tęsknocie żerować, pieniądze wyciągać... Nie patrz tak na mnie, jakbym ci ojca, matkę zabił, prawdę mówię, napatrzyłem się ja przez trzydzieści lat, jak za barem stałem...

— Co pan wie o Perle? — wyjąkałam; nie mogłam już spokojnie słuchać jego wynurzeń.

— Znałem dziewczynę o takim przezwisku, byłem wtedy barmanem w „Atlasie”. Ale znałem tylko przezwisko. Wówczas była młoda i bardzo piękna, chyba nie miała dwudziestu lat... Jeśli żyje, to może mieć teraz około czterdziestki. Na nic moje gadanie, uparłaś się ją odnaleźć? — I

pokiwał ze współczuciem głową.

— Tak.

— Ano szukaj, znam adres takiej jednej, co razem z Perłą mieszkała, może gdy ją zobaczysz, to chęć ci na spotkanie Perły przejdzie... A jak nic w Szczecinie nie załatwisz, to powiedz swemu mecenasowi, żeby po więzieniach poszukał, w rejestrze skazanych tę Koziarek sprawdził i tego, jak mu tam?... Banaszcza...

Tak się to wszystko zaczęło, tak stałam się badaczem awersu tego medalu, który dotychczas był naszym wspólnym życiem — moim i rodziców. I sama, nie zdając sobie z tego sprawy, przekroczyłam krąg praw, w którym człowiek porusza się bezpiecznie, dopóki jest z nimi w zgodzie i sam nie ma sobie nic do wyrzucenia.

Przynajmniej nie powinnam kłamać sama przed sobą. Więc to, że nie bardzo zdawałam sobie sprawę ze swego postępowania — to nieprawda. Wszystko, co robiłam, robiłam świadomie, chociaż niezwykle były okoliczności, w jakich przekraczałam tę niebezpieczną granicę, poza którą człowiek, w imię niby to wyższego celu, postępuje źle. I jeszcze przyznaje sobie prawo do sadzenia, a nawet karania innych, prawo do ingerowania w ich życie. I choćby mu się wydawało, że postępuje sprawiedliwie, a tak właśnie było ze mną, to jest to zawsze bardzo subiektywna prawda.

Na tę moją, pozał się Boże, sprawiedliwość, złożyło się — co tu kryć — poczucie własnego zagrożenia, ślepa miłość do matki, bn miłość do matki jest zawsze ślepa, a także nienawiść do człowieka, który zagroził temu mojemu bezpiecznemu i bardzo pięknemu światu, a świat ten dotychczas w moim pojęciu był wieczny. To znaczy był na długo przed tym, zanim zaczęłam istnieć, i w niezmiennym kształcie trwać miał zawsze. I na to moje przekonanie nie miała wpływu żadna dialektyka, jej prawa nie dotyczyły mojego domu, moich rodziców, naszego istnienia i łączących nas więzi. Nie dotyczyły naszego malutkiego wszechświata, w którym

istniałam tylko JA i dwie dobrotliwe planety, krążące wokół mnie — ojciec i matka.

Egocentryzm? Zapewne. No, cóż, byłam kochaną i w miarę rozpieszczaną jedynaczką.

Może gdyby w naszej rodzinie gorzej się działo, gdyby nasze życie nie układało się tak szczęśliwie, łatwiej zniósłabym ten szok. Nie wiem.

Zanim się oswoiłam, bo jeszcze nie pogodziłam z nową sytuacją, żyłam jak w złym śnie, jak ciężko chora i nic mnie nie obchodziło. Miotwały mną prymitywne, silne uczucia towarzyszące człowiekowi od jaskini. Toteż opuściłam się w nauce, a trzecią licealną zaliczyłam na słabych trójkach, a te trójki otrzymałam tylko dzięki dotychczasowej opinii, bo tak naprawdę promocja mi się nie należała.

I nikt mi za to w domu marnego słowa nie powiedział, mimo że dyro był bardzo zaniepokojony i miał do mnie żal za sprawiony mu zawód; nie mógł zrozumieć, dlaczego jego ulubiona uczennica odpadła z klasowej czołówki. Zresztą nikt nie potrafił znaleźć sensownej przyczyny, moi starzy także nie. No bo przecież tak na oko w warunkach zewnętrznych nic się nie zmieniło. Więc skąd to nagłe załamanie Doroty Zasławskiej, zdolnej uczennicy, jednej z czwórki klasowych prymusów?

— Dziewczynka opuściła się w nauce... — mówiła do matki szczerze przejęta pani Lachocka, nasza wychowawczyni. Ona mnie także lubiła, może dlatego umknął jej czas, w którym z dziewczynki pozostał tylko ten idiotyczny warkocz. Dawno bym go obciąła, gdyby nie starzy. Wiedziałam, że go lubią, wruszał ich. Ciągłe przypominał małą Dorotę, słodkiego bobaska, z którym było znacznie mniej problemów. Widocznie nadal by woleli, abym była małym srajdkiem z kokardą w tym warkoczu i w kusej sukience; sukienki zresztą nadal są kuse, chociaż ich właścicielka ma teraz metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i pięćdziesiąt osiem kilo wagi. Nielichy gabaryt!

Po tych szkolnych trenach w domu nie było żadnej stypy ani kazań Piotra Skargi. Moi rodzice

byli nietypowi, a ja byłam z nich dumna. Byli tacy ku ludziom, ku życiu, mądrze wyrozumieli, tak że zazdrościły mi ich koleżanki, a jeszcze bardziej koledzy, szczególnie ojca.

Matka powściągliwie, z życzliwą troską potraktowała mój przechył w nauce, a ojciec nieco żartobliwie, bez żadnych morałów, i więcej nie było o tym mowy. Zmieniono temat.

— Co będziemy robili w wakacje?

Zawsze mnie rozumieli, wiedzieli, że jestem ambitna, nie najgłupsza i nie ma co piłować człowieka, jeśli mu coś nie wyszło.

Gadanie o konflikcie pokoleń to brednie... Co to za dzielenie ludzi według lat? Z takim samym skutkiem można ich podzielić według chorób i co z tego wynika? Wątrobiarze przeciwko gruźlikom? Nonsens. Nigdy nie czułam przedziału lat między mną a moimi rodzicami.

Więc wtedy, moi jak zwykle byli na poziomie i nie międlili moich trójek, tylko mówili o wakacjach; a mnie wcale nie cieszyły te dwa miesiące swobody ani projekt ojca, aby pojechać do Hiszpanii.

Ojciec miał przerwę w robocie, bowiem dopiero we wrześniu miał jechać do Francji, a potem do Szwajcarii; w Genewie spędzał przeciętnie trzy, a czasami więcej miesięcy w roku. Jako wybitny specjalista prawa międzynarodowego był stałym członkiem pewnej międzynarodowej komisji prawnej, działającej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Wiec oni rozprawiali o miastach Hiszpanii i wiedziałam, że to na moją cześć, aby mnie rozruszać i oderwać od tego zamyślenia, którego nie rozumieli, bo chodziłam wtedy apatyczna, osowiała i w gruncie rzeczy nieobecna.

Bardziej niż to kiepskie świadectwo martwił ich mój niezrozumiały stan psychiczny; szczerze pragnęli mi pomóc w przetrwaniu i przezwyciężeniu kryzysu, bo że jestem w jakimś impasie, to z mety wyczuli.

Nie wypytywali mnie o nic; wiedzieli, że w końcu przyjdę do nich ze swoim zmartwieniem,

bo tak było zawsze, dawniej... Tyle, że dawniej ufałam im. Ufałam? To mało. Ja wierzyłam w nich jak w Boga.

A oni, tacy mądrzy, tacy subtelni, nie zauważyli, że właśnie runął ten mój Bóg, a razem z nim rozpadł się mój świat i czułam się jak wyrzucona na grząski grunt, po którym nie umiałam się poruszać, gdzie każdy krok grozi utonięciem...

A oni, ci wspanialcy, bohaterowie moich dziecinnych snów, bo dotychczasowe życie teraz wydawało mi się snem, to dwoje nędznych, kłamliwych graczy. Być może w zamierzchłej przeszłości, o której jeszcze nic nie wiem, wiedzieli, co to szczerść, ale teraz pojęcie to przestało mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie, stało się pustym dźwiękiem.

Wtedy poczułam dotkliwie, czego mnie tak brutalnie, tak nieoczekiwanie pozbawili ci ludzie, mieniający się moimi rodzicami.

Czy mając tak plugawą przeszłość mieli prawo mieć dziecko? Wydawało mi się wówczas, że ich zniechęciłam, nade wszystko jednak dominował żal. Dlaczego?

Głupie to było, wiem, miałam do nich pretensję, że byli tacy, a nie inni. To tak, jakby mieć pretensję do słońca, że wschodzi i zachodzi. Przecież wydzwignęli się z tego jakiegoś dna, należało to zapisać tylko na plus; ale ja nie byłam wtedy zdolna do usprawiedliwiania ich.

Potrafiłabym wytłumaczyć każdego innego człowieka, tylko nie ich, moich najbliższych, mój rodzinny Olimp, właśnie dlatego, że ustawiłam ich tak wysoko.

Wychowana w tolerancji, w poszanowaniu odmienności innych, w zrozumieniu ludzkich ułomności, byłam teraz Katonem wobec tych, którzy mi ten światopogląd wpoili i to nie gadaniem, nie wygłaszaniem maksym, a przykładem, codziennym postępowaniem, zawsze zgodnym z tym, co mówili.

Czy wszystkie dzieci są tak surowe, tak bezlitosne w ocenie swoich rodziców?

A przecież przychodziło mi nawet do głowy, że chociaż kiedyś, dawno, postępowali

nieetycznie czy też czynili źle, to jednak, jak tylko sięgnę moją pamięcią, nie zauważyłam, aby zrobili coś takiego, co nie mieściłoby się w modelu tej moralnej doskonałości, którą w sposób wręcz idealny prezentowali oboje...

Ale to była taka marginalna myśl, błysk zaledwie, i szybko zgasła, bo rósł we mnie Wielki Inkwizytor, bo dotkliwie odczuwałam krzywdę, jaką mi mimo woli wyrządzili, zanim się jeszcze urodziłam, zanim tak samolubnie zdecydowali o moim istnieniu. Samolubnie i lekkomyślnie! Zanim wywołali mnie z nicości, z połączenia plazmy i odrobiny śluzu, nie pomyśleli, że kiedyś na ten ich twór, myślący i czujący, twór obdarzony umiejętnością cierpienia, zwali się ciężar ich przeszłości; czułam się jak wygnany z raju, najpiękniejszy i najbardziej hardy archanioł — Lucyfer, o którym gdzieś przeczytałam — czy nie w historii Templariuszy? Nie pamiętam — że był pierwotnym i bardziej kochanym od Chrystusa synem Boga. To Bóg, apodyktyczny stary człowiek, do tego hipokryta i kłamca, strącił Lucyfera za szczerość, za nazywanie rzeczy po imieniu.

Takie myśli burzyły mi się w głowie, a oni! ci moi demiurgowie, nic nie przeczuwając, roztaczali przede mną, i specjalnie dla mnie, uroki Hiszpanii. I jak zwykle byli względem siebie delikatni, subtelni, a do tego jacyś tacy ciepłi, wciąż sobą zainteresowani — zupełnie nie jak ludzie nie pierwszej młodości, rodzice dorosłej córki.

Do tego ich sposobu bycia byłam przyzwyczajona, ba! Zachwycał mnie i był powodem do dumy, że te długie lata, jakie ze sobą przeżyli, te dni jak nieprzeliczone ziarenka piasku, nie pozbawiły ich stosunku wzajemnej atrakcyjności. Bo to było widoczne: on nie przestał być dla niej mężczyzną, a ona dla niego kobietą.

Kiedy byłam młodsza, ot taka podfruwaja, taki pacan, któremu się wydawało, że jest już prawie dorosły, był wtedy taki czas, gdy odkryłam Szekspira; tak musiał się czuć Kolumb.

Wydawało mi się, że to tylko ja odkryłam ten nowy, jakże frapujący świat, a dopiero później

zrozumiałam, że niemal każdy przez całe swoje życie wciąż odkrywa nowe nie znane światy i każdy tylko dla siebie. I tylko geniusze mogą przekazać własne olśnienia i fascynacje innym ludziom.

Otóż, gdy byłam na etapie odkrywania Szekspira, to pomyślałam, i oczywiście zaraz im to powiedziałam, bo wtedy dzieliłam się z nimi każdą myślą, więc powiedziałam, że gdyby Romeo i Julia nie umarli, to jako dojrzała chyba byłiby taką parą jak oni... Afektowana oślica!

Teraz, gdy tego dnia tak patrzyłam na moich podstarzałych rodziców, widziałam ich z perspektywy tamtego czasu; wydali mi się nieprawdziwi, więcej! Tandetnie sfałszowani. Śmieszne i obrzydliwe wydało mi się to ich ciepełko.

Lekko i płynnie wygłaszają obkute i wyjąłowione częstym nadużywaniem kwestie. A jacy są naprawdę?

Od kilku tygodni i z rozpaczą zadawałam sobie to pytanie po raz nie wiadomo który. Jacy są naprawdę? — poza tym wielkim pokojem na dole, nabitym od podłogi do sufitu książkami, gdzie przez całe lata tak dobrze siadywało się razem z nimi na wieczorne pogaduszki, gdy akurat matka nie miała dyżuru w szpitalu, a ojciec miał przerwę w sesjach swego trybunału w Hadze, Paryżu czy Genewie, gdzie zarabiał na ten luksusowy dom, na tę wciąż piękną kobietę i na mnie.

W tym obszernym pokoju, wypełnionym książkami, urządzonym ze smakiem przez tę kobietę, przytulnym, pełnym słońcu w dzień i nastrojowego światła wieczorem, oni odgrywali swój nieustający spektakl, wciąż kochającego się małżeństwa, wzorowych rodziców, szlachetnych, mądrych, kulturalnych ludzi, przed stałą i wierną publicznością: zakochaną w nich córką i podziwającymi ich niezmiennie przyjaciółmi, kolegami, znajomymi.

Jacy byli, gdy odchodzili z tej biblioteki–rampy? Gdy odkładali te swoje uśmiechnięte maski...

— ...Velasquez, El Greco... — oni wciąż mówili o Hiszpanii, do mnie docierały oderwane

słowa — ...Prado... — czy ten pełen kunsztownej prostoty sposób bycia, dystynkcja ruchów, jednym słowem styl, czy oni zdejmowali go razem z ubraniem, tam u siebie? I jacy wtedy byli? — ...Kordoba... Sewilla.. — przecież ja ich na dobrą sprawę nigdy nie widziałam rozhamowanych, skaczących sobie do oczu — ...Goya... — czy tylko dlatego, że nigdy to im się nie przydarzyło?

Coś wzbierało we mnie, najpierw to była piłeczka pingpongowa, ale z każdą następną myślą rosła, rozdymała się jak balon, podchodziła pod gardło.

...na pewno im się zdarzyło, ale mieli tę przewagę nad innymi ludźmi, że nie mieszkali na kupie, w ciasnych dziuplach akustycznego bloku, tylko w rozkładowej willi, korzystali z luksusu posiadania własnych pokoi, położonych na piętrze.

I nie przyszło mi do głowy, że sprzeczki czy spory, czy nawet skakanie do oczu jeszcze o niczym nie świadczy, nie dyskwalifikuje ludzi. Chyba nigdy jeszcze — ani przed tym, ani po tym dniu — nie czułam takiego, wręcz zwierzęcego, przyływu nienawiści, jak wtedy do nich, i żalu za strącenie mnie do piekła.

Oni nawet nie domyślali się, co się ze mną dzieje; zadałam sobie wówczas pierwszą lekcję udawania. Swój zwyczajem siedziałam z nogami podciągniętymi na fotel, wpatrywałam się w nich z zasłuchaną miną dobrej córeczki, zafascynowanej atrakcjami, jakie jej szykują kochani rodzice; nienawidziłam ich uśmiechniętych twarzy, nienawidziłam i pragnęłam zadać im ból, chociaż małą cząstkę tej mojej nieznośnej udręki, która żarła mnie od kilku tygodni... Chciałam zmącić tę ich drażniącą pewność siebie; jak to oni dbają o szczęście swej córki, to ich świetne samopoczucie i zadowolenie z wzorowo prowadzonej hodowli!

Pach! Poczulałam, jak nagle pękł mój wielki balon, już nie mieszczący się w krtani, i usłyszałam histeryczny wrzask, nieartykułowane zwierzęce wycie, a dopiero po dobrej chwili zorientowałam się, że to ja krzyczę.

Człowiek rodzi się z krzykiem; tego dnia narodziłam się po raz drugi, inna i chyba gorsza Dorota. Krzyczałam tak i wcale nie mogłam przestać, to było wbrew mojej woli, jakbym miała jakieś oddzielne urządzenie, w którym nawaliły bezpieczniki.

Ten wieczór utrwalił mi się w pamięci, jakby oprócz tego wyjca, tej zepsutej syreny, była we mnie kamera filmowa, utrwalająca nie tylko słowa, gesty i barwy, ale nawet zapachy.

Ojciec był przerażony i zupełnie bezradny, nigdy nie widziałam go tak zupełnie wytrąconego z równowagi, natomiast matka z punktu zapanowała nad sytuacją.

Okazało się, że jest nie tylko wzorową żoną i rodzicielką, uroczą panią domu, ale także doskonałą pielęgniarką: była przecież siostrą oddziałową z wieloletnią praktyką w klinicznym szpitalu, miała prawo do dwóch aksamitnych pasków na czepku.

— Przenieś Dorotę do jej pokoju — rozkazała; ojciec podniósł mnie delikatnie, jakbym była z czegoś bardzo kruchego, i pamiętam, że sprawiła mi przyjemność świadomość, że on, facet bądź co bądź po pięćdziesiątce dźwignął te moje pięćdziesiąt osiem kilo żywej wagi i bez żadnego wysiłku; pachniał tą swoją wodą po goleniu, której zapach pamiętam od lat i pod wpływem tego miłego, budzącego poczucie bezpieczeństwa zapachu, zapragnęłam przytulić się do niego.

Przypominałam sobie, że gdy byłam mała, a on już wtedy wyjeżdżał do tego swego trybunału, włąziłam do łazienki i do jego pokoju węsząc jak pies, a potem mówiłam do matki — Pachnie tatusiem! — i to na trochę łagodziło moją tęsknotę.

I teraz, tak niesiona przez niego, dorosła pannica, pod wpływem tego wspomnienia uruchomiłam wreszcie tę sfelerowaną klapkę, która stłumiła krzyk.

Ułożył mnie ostrożnie na tapczanie, okrył pledem i w tej krzątaninie był taki niezgrabny jak niedźwiedź; nie, on stanowczo nie nadawał się na wzorową pielęgniarkę. Wzruszyło mnie to i nie wiadomo dlaczego wywołało z kolei strumień łez; Niagara spływała mi po policzkach i tak jak poprzednio tego wyjca, tak teraz nie mogłam powstrzymać potoków słonej wody.

Na próżno ta druga Dorota, zawsze rozsądna i logiczna, usiłowała pozbierać do kupy tę rozklejoną histeryczkę.

Weszła matka ze sterylizatorem; pęsetą wyciągnęła igłę, skruszyła łebek ampułki. Przewięzała mi ramię, kilkoma energicznymi, a jednak delikatnymi musnięciami wywołała w zagięciu łokcia błękitną żyłę — wbiła igłę.

— Teraz będzie ci lepiej — poprawiła pled, wysłała z pokoju ojca; przez chwilę krzątała się bezszelestnie. — No, jak się czujesz? — uśmiech, ten jej zniewalający uśmiech teraz nie zrobił na mnie żadnego wrażenia.

— Jak zepsuta lalka — rzeczywiście nie czułam nic, opanował mnie drewniany spokój; ani cienia niedawnych stresów. Zdawałam sobie sprawę, że to działa zastrzyk. — Boli mnie tylko gardło i mam wrażenie, jakbym z tym krzykiem wypluła wszystkie wnętrzności.

— Podrażniłaś struny głosowe — znowu się uśmiechnęła.

— Czy dałaś mi środek dla wielkich wariatów?

— Nie, dla początkujących... Chcesz spać? — nie chciało mi się spać. Chciałam, żeby posiedziała ze mną. — Jesteś świetną pielęgniarką, powiedz, dlaczego wybrałaś ten zawód?

— Lubię go.

— Dlaczego nie zostałaś lekarzem?

— Nie wszyscy muszą być lekarzami, pielęgniarki także są potrzebne. — Dziewczęta nie chcą być pielęgniarkami. Ciężka i nisko płatna praca.

— Jestem szczęściara — znów się roześmiała — ojciec zarabia tak dużo, że ja mogę pozwolić sobie na luksus uprawiania zawodu, który lubię, bez względu na wysokość zarobków.

— To prawda, i nawet nie zabierasz nikomu tego skromnego chleba, bo pielęgniarek jest mało.

— Dziecko! — położyła mi dłoń na ramieniu. — Czy już możesz powiedzieć, co cię gnębi?

— Kiedy ja sama nie wiem — miałam się na baczości — może to te trójki?

— Dorota, nie cygań, przecież my się z ojcem orientujemy, że te trójki to skutek, a nie przyczyna — a jednak nie tak łatwo było ich zwieść Milczałam, po prostu zabrakło mi konceptu. Wbiłam oczy w regał i mechanicznie liczyłam w myśli kolorowe grzbiety książek. Walczyłam z pokusą, aby zapytać, od jak dawna zna Władysława Banaszcza, ale mimo otępienia tym świństwem, co krążyło mi w żyłach po zastrzyku, wiedziałam, że jeśli chcę dociec prawdy, to tego nazwiska nie powinnam wymieniać, tym bardziej teraz, po tym ataku hysterii.

Ile ona ma lat? ta moja wciąż nieprzeciętnie piękna matka — czterdzieści?

Wszyscy twierdzą, że jestem do niej łudzaco podobna, a mnie się wydawało, że jestem od niej mniej ładna. No chyba, z tym idiotycznym warkoczem, tą kosą, symbolem niewinności i dziewiętnastowiecznych pensjonarek.

Do matury, miałam go nie obcinać, chciałam go nosić dla nich, chociaż gdybym powiedziała, że obetnę zaraz, to także by mi nie zabronili; ale teraz czuję się zwolniona z wszelkich zobowiązań, z wszelkiej lojalności... Nie, nie chcę, aby jej stała się jakakolwiek krzywda... A jeśli to nie tylko zewnętrzne podobieństwo, ale także geny? To znaczy, że i mnie nie ominie jakiś typ w rodzaju Władysława Banaszcza?

— Dorota — matka zapaliła papierosa — chcę ci zadać jedno pytanie, na które powinnaś mi odpowiedzieć.

— Po co ten wstęp, zadawaj!

— Córeczko, czy ty nie jesteś w ciąży?

Myślałam, że parsknę śmiechem, a potem mimo tego ogłupiającego świństwa, co razem z krwią obiegało moje żyły, poczułam dla niej pogardliwe politowanie. Mimo całej inteligencji, kultury i tak zwanych horyzontów nie innego jej się nie nasunęło, tylko to jedno podejrzenie: panienska z tak zwanego porządnego domu, dobra uczennica, zaszła w ciążę i teraz się miota, bo

nawet mamusi i tatusiowi boi się przyznać do swego upadku.

— A... gdyby tak było, co byś zdecydowała? — z ciekawością przyrodnika, śledzącego zachowanie owada pod mikroskopem, oczekiwałam na jej reakcję. Co powie, jak się zachowa? A jednak nie wypadła z roli, chociaż nie spostrzegła, że poddaję ją wiwisekcji. Widziałam to po jej twarzy. Przełknęła test, drgnęły jej tylko brwi i jakieś olbrzymie skupienie ściągnęło rysy. Właśnie skupienie, a nie wysiłek, by się opanować.

— Dziewczyno, to ty musisz zdecydować — podkreśliła z naciskiem.

— Ale o czym? — zapytałam głupio.

— Czy pragniesz urodzić dziecko, zdając sobie sprawę z obowiązków, jakie na ciebie spadną, czy też...

— Nie przeraża cię opinia? — judziłam. — Masz pojęcie, co to byłby za skandal? Ale chryja, uczennica czwartej licealnej... Wyleliby mnie przecież ze szkoły, wam z ojcem także by się dostało... Podobno tylko w Szwecji wiszą na szkolnych korytarzach napisy: chłopcy, szanujcie brzemiennie koleżanki.

— Tutaj także już dość dawno minęło średniowiecze.

— Sądzisz, że byliby zachwyceni i zaraz przybiegliby oglądać dzidziusia?

— Ja również nie byłabym zachwycona. Opinia publiczna to twardy instrument, potrafi złamać... Ale nie może mieć decydującego wpływu na tak ważną decyzję: dać czy odebrać życie... Jeśli już się tak stało i chcesz mieć dziecko, ani ja, ani ojciec nie będziemy wywierali na ciebie presji i cokolwiek postanowisz, będziemy przy tobie.

— Być albo nie być, oto jest pytanie!... Nie być! Nie martw się, jeszcze nie zostaniesz babcią, jesteś na to nieprzyzwoicie młoda. A ja nie muszę podejmować żadnych ważkich decyzji, bo nie jestem w ciąży.

— A... może jednak lepiej poradzić się lekarza? — zapytała nieco bezradnie, zupełnie

skołowana.

— Mamo, nie spałam jeszcze z żadnym mężczyzną, a w dzieworództwo nie wierzę.

— Zrobiłaś mi próbę? — nareszcie się tropnęła. — Mam bardzo trudną córkę — westchnęła, ale z widoczną ulgą.

— Mamo, a ty mnie miałaś z przypadku... czy aby wypełnić jakąś — nie zrozum mnie źle — pustkę w swojej egzystencji, czy tak po prostu zwyczajnie chciałaś mnie mieć?

— Jaka ty jednak jesteś jeszcze dziecinna — uśmiechnęła się. — Po prostu zwyczajnie chciałam cię mieć.

Nie wypadła z roli ta moja wspaniała Mutter, a przecież nikt mi nie powie, że taka nowina zachwyca i napawa dumą. Niejedna najbardziej liberalna, tolerancyjna i światła rodzicielka nie przyjęłaby tego tak spokojnie. Moja także nie była uszczęśliwiona, a jednak — co tu dużo gadać — pokazała klasę.

Bardzo jednak chciałabym wiedzieć, ile w tym było udawania, pozy — bo przecież w odwodzie była świadomość, że tę kompromitującą ciążę da się usunąć. A może to, co biorę za powściągliwość, to po prostu zaprawa z tego okresu jej życia, gdy jej przyjacielem był Władysław Banaszczyk?

No a ojciec? Jaka jest w tym wszystkim rola mego ojca? Czy naprawdę nic nie wie, czy przez dwadzieścia lat, bo tyle są razem, on, ten specjalista od prawa międzynarodowego niczego się nie dowiedział o przeszłości swojej żony? Jeśli nie wie, to jest skończony frajer... A jeśli wie, teraz zaś przymyka oczy na dwuznaczne znajomości?... Może drży przed skandalem, który zachwiałby jego pozycją, zniszczył tak zwany święty spokój? Jeśli tak, to jest mięczak i zwyczajny obrzydliwiec.

I pomyśleć, że cały ten zamęt, całe to nieszczęście runęło na mnie z przyczyny jednego zasłyszanego zdania.

Był taki zwykły dzień, ojciec nawet nie był za granicą, tylko wyjechał na kilka dni do Krakowa, matka wróciła rano z dyżuru i wiedziałam, że gdy przyjdę ze szkoły, ona będzie w domu. A właśnie tego dnia zachorował nasz żelazny fizyk. Nazywaliśmy go żelaznym, bo nigdy nie chorował, nigdy żadna grypa go nie skosiła, nawet w czasie epidemii, gdy zawieszano lekcje. Więc zachorował i zwolniono nas z dwóch ostatnich godzin.

Przybiegłam do domu, a matka tkwiąca w bibliotece — to środkowy pokój — nie usłyszała mnie, tym bardziej że tak wcześnie nigdy nie wracałam. Anieli także nie było, pewno nie wróciła jeszcze z zakupów.

Podkrađłam się pod drzwi biblioteki, tego naszego ośrodka życia rodzinnego, bo byłam pewna, że jeśli matka już nie śpi, to tam ją znajdę. Więc podkrađłam się po kociemu, bez żadnej złej myśli, ot tak dla hecy, aby wpaść z jakimś kretyńskim okrzykiem w rodzaju: hunga, hunga! ale zastopował mnie podniesiony męski głos.

— ...widzisz, Perła, będzie mi przykro, ale byłbym wtedy zmuszony poinformować twego męża, a szczególnie twoją córkę, jaką dziwką byłaś we wczesnej młodości... Knajpy stoją te same, barmani nie wszyscy wymarli, a i nie wszystkie matrosy potonęły, nie mówiąc już o twoich koleżankach, i wszystkie są w Szczecinie...

— Nic musisz tak krzyżeć... — usłyszałam także podniesiony i bardzo podenerwowany głos matki; rozmawiali nadal, ale już cicho i żadne zrozumiałe słowo nie dało się złowić.

Odeszłam spod drzwi jak lunatyczka, nawet nie odczułam wstydu, że podsłuchiwałam; ktoś rzucił w twarz mojej matce straszne oskarżenie, a ona nie wyrzuciła go za drzwi?

Huczało mi w uszach: Perła... dziwka... matrosi... Wszystko oddzielnie, jak w takim wierszu Tuwima: ...że koń, że Stasiek, że drzewo...

Zaczęłam sobie wmawiać — to taka samoobrona — że źle zrozumiałam, że wypaczyłam sens wyrwanego z kontekstu zdania, a ponieważ bardzo chciałam uwierzyć w swoją pomyłkę, więc

prawie w nią uwierzyłam.

Zaraz jednak, natychmiast zapragnęłam zobaczyć człowieka, który tam był u matki, który śmiał wypowiedzieć te słowa. O niczym innym w tej chwili nie myślałam, więc na palcach odbiegłam od drzwi, potem wróciłam gwizdząc przeraźliwie jakąś melodię i tak jak stałam wwaliliam się do biblioteki — Mamo... — teraz dopiero raczyłam spostrzec, że nie jest sama. — O przepraszam... — zawahałam się, jakbym się spieszyła, i wyjaśniłam powód wcześniejszego powrotu ze szkoły.

Moja matka nie wyglądała na zdenerwowaną lub zaskoczoną, ale ja wyczułam, że cała jest spięta i że jej spokój jest pozorny. Powiedziała:

— To jest Dorota, moja córka — a mnie się wydało, że w jej głosie brzmi błaganie o litość. Skinęłam mu głową. — Pan Władysław Banaszczak — matka wyraźnie wymieniła jego nazwisko — mój stary znajomy.

Podaliśmy mu rękę i mimo że jego ręka nie była ani jakaś oślizła lub w inny sposób wstrętne, na odwrót — mocna, raczej sucha męska ręka, obiektywnie biorąc przyjemna, mnie pod wpływem jego dotyku ogarnęło takie obrzydzenie, jakbym dotknęła plwociny; zmierzył mnie od góry do dołu.

— Dorota jest niemal jak twoja kopia — śmiał mówić o mnie Dorota i tykać moją matkę.

Wtedy po raz pierwszy to porównanie sprawiło mi przykrość; nie chcę być niczyją kopią, nawet własnej matki, chcę być sobą i tylko sobą, i nie chcę znać kogoś takiego jak Władysław Banaszczak, faceta, który nazywa moją matkę Perłą i przypomina jej, że była dziwką w Szczecinie.

Przeprosiłam ich i zaraz wyszłam, ale przedtem zdążyłam go sobie obejrzeć; rosły, dobrze zbudowany, w wieku mego ojca, może trochę młodszy... Pociągła twarz o zupełnie przyjemnym rysunku, modne ubranie, ale bez przesady, stosowane do wieku. Żaden podstarzały playboy, co

to ugniata brzuch w za ciasnych rajflach i czuje się fatalnie, ale młodzieżowo.

A mimo to od pierwszej chwili poczułam do tego człowieka taką nienawiść, że gdyby uczucie to mogło się zmaterializować, to zmiotłoby go nie tylko z naszej biblioteki, ale z powierzchni ziemi.

To było w marcu; do końca wakacji nic się już nie wydarzyło i już ani razu nie pojawił się u nas ten facet, przynajmniej ja go nie widziałam, ale nie miałam już spokojnego dnia, tylko nieustającą mękę.

I tak nadeszły wakacje i ostatecznie dojrzał mój plan; nie pojechałam z rodzicami do Hiszpanii.

Znów było jak dawniej albo prawie jak dawniej, bo już przetrwałam, przegryzłam i głęboko ukryłam to, czego się dowiedziałam. Zanim postanowię cokolwiek, muszę mieć pewność!

Dopóki jej nie uzyskam, nie ma sensu zatruwać im życia, a poza tym muszę mieć nieskrępowaną swobodę ruchów i... pieniądze; wszystko to uzależnione jest od tego, czy oni, a szczególnie matka, nie nabiorą jakichś podejrzeń. Więc znów byłam miłą, młodą osobą, dobrą córką.

Widocznie dobre były te pierwsze aktorskie wprawki. Kupili — mieli do mnie jednak duże zaufanie.

— Nie masz ochoty na Hiszpanię? — zdziwili się, gdy odmówiłam.

— Staruszkowie, przez szesnaście lat męczyliście się rok w rok z bachorem, zawałam wam każdy urlop... Zróbcie sobie miodowy miesiąc, a mnie zafundujecie Hiszpanię w przyszłym roku

— powiedziałam to takim wieloznacznym tonem, z taką miną, że można było zrozumieć: ja sama za karę, za te trójki, odmawiam sobie takiej frajdy. Ćwiczenie na siłę woli lub coś takiego.

— A co chcesz robić? — moja odmowa niepokoiła ojca.

— Pożyczysz mi swój składak i sprzęt, co? Popłynę piękną polską rzeką, gdzie czyste wody pełne są ryb, żab i pijawek, z dala od cywilizacji i ryczących tranzystorów...

— Z kim chcesz jechać?

— Z Michałem, pierwsze wiosło politechniki! — to był syn przyjaciół moich starych, znali go od dziecka, był ode mnie starszy, już studiował. — Zatwierdzacie plan?

— Nie zgadzam się na te zgrzebne wakacje z Michałem — powiedziała matka; znałam ten ton, rzadko go używała, a jeśli już, to nie było odwołania.

— Uspokój swe rodzicielskie sumienie, te siermiężne wakacje spędzę w dwunastoosobowej grupie. Jednak lojalnie uprzedzam, że płci mieszanej.

— Także nie zgadzam się na mieszaną płć.

— Chciałabyś, abym zanudziła się wśród samych dziewczyn?

— Nie będziemy nad tym dyskutować! Zdasz maturę, pójdziesz na studia i będziesz jeździła na mieszane biwaki, a teraz nie!... Jakie masz inne propozycje?

— Jesteś apodyktyczna, ale trudno... — ona nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo było mi to na rękę; strzeliłam tym kajakowym rajdem, bo Michał to — ot tak nieobowiązująco — proponował, zresztą bez nadziei, że mi starzy pozwolą. A ja, jeśli miałam zrealizować swój plan, a bardzo tego chciałam, nie mogłam, choćby nie wiem jak mnie to pociągało, wpasować się w kajak, wiązać się z jakąkolwiek grupą ludzi. A poza tym wcale nie miałam ochoty na towarzystwo. Lizałam rany szczególnego gatunku i pragnęłam samotności.

Więc natychmiast odegrałam rolę wzorowej, posłusznej córki, co to nie chce spierać się z mamusią ani jej zmartwić, a broń Boże popsuć jej urlop w Hiszpanii.

— No to chcę nad jezioro albo nad rzekę, ale z dala od wczasowych miejscowości i niech ze mną pojedzie Aniela; towarzystwo Anieli, naszej wieloletniej gospodyni, dawało im poczucie bezpieczeństwa. Wiedzieli, że będą pod dobrą opieką. Teraz nie było już takiej siły, która mogłaby mi przeszkodzić w wykonaniu podjętego postanowienia, a już najmniej Aniela.

Starałam się, dopóki to możliwe, działać w konwencji legalistycznej, chociaż mierzyła mnie ta

obluda i w każdej chwili gotowa byłam poszarpać wszystkie łączące mnie z nimi więzy i zależności i „...wystukać anapesty na szczęce rodziny...”

Przeraziłby ich ten potwór, którego jeszcze trzymałam w karbach, ale byłam jak mina, która w każdej chwili może eksplodować — na szczęście oni nie tręcili tego przewodu, który wyzwoliłby reakcję.

Pojechali do Hiszpanii, a ja z Anielą do domu strażnika wodnego nad Czarną Hańczę, co oczywiście przedtem załatwił ojciec.

Pierwsze cudownie pogodne dni niemal pogodziły mnie ze światem. Mała bystra rzeka z przezrystą wodą, pluszcząca wśród dwóch litych ścian starodrzewu, puszcza schodząca do samej wody i zamykająca ją ramą ciemnej zieleni, koła, uspokajała. Nie trzeba było robić okolicznościowej twarzy, co innego mówić, gdy co innego się myśli — kłamstwa przychodziły mi z trudnością, nie miałam jeszcze wprawy. Na całe dni przepadałam w puszczy, z tomem Gibbona, bo niedawno go odkryłam, jak kiedyś Szekspira, ale służył raczej jako podpórka pod głowę — prawie nie czytałam; i tak wsparta o Gibbona, pod dachem z gałęzi zastanawiałam się, czy nie byłoby słuszniej zaniechać tych dociekań, zatrzasnąć w pamięci tę klapkę, bo w końcu kto mi dał prawo rozgrzebywania przeszłości moich rodziców, o której oni sami pragnęli zapomnieć. Przecież najważniejszym jest, jacy są teraz, a nie jacy byli w dalekiej przeszłości, na długo przed moim urodzeniem.

I myślałam jeszcze, że nie umiem udawać, z trudem przychodzi mi kłamstwo, wykręt, więc w jaki sposób wydobędę tę prawdę sprzed przeszło dwudziestu lat, tę pokrętną prawdę, która nie da się wydłubać bez wybiegów i łgarstw. I komu to jest potrzebne, komu pomoże i czy coś zmieni?

Czwartego dnia wrzuciłam do plecaka kilka drobiazgów i pojechałam do Szczecina; Anieli powiedziałam, że do koleżanki, która jest na wczasach w Augustowie. Kupiła — na drogę wetknęła mi do ręki trzysta złotych, jako że ona rządziła kasą. Oto owocowało wieloletnie

przekonanie rodziny, bo Aniela liczyła się także za rodzinę, co do mojej absolutnej prawdomówności.

Z początku głupio się gibnęłam przed starym barmanem. Jego adres dostałam bez trudu, bo wszędzie budziła zaufanie moja cieleca twarz grzecznej uczennicy i doskonałe maniery panienci z dobrego domu; owszem, miałam kindersztubę — starzy dbali nie tylko o moją psyche.

Dopiero podczas rozmowy z barmanem, gdy stary topniał mi w oczach, olśniła mnie myśl, że ta moja jagnięca twarz, sposób bycia, to wszystko, co zainwestowali we mnie rodzice, to kapitał, który da się zdyskontować. I że wcale nie jestem taka fajtłapa, minio że miałam się dotychczas za prostytutka bożego, potrafiłam jednak wyciągnąć ze starego niejedno...

To pierwsza lekcja, a wniosek? — unikać improwizacji i w miarę możliwości operować półprawdą. Uwaga na barmanów, kelnerów, taksówkarzy! To specjalny gatunek, ich zawód wyrabia znajomość ludzi.

Nie wiedziałam jednak, jak poradzić sobie z prostytutką i w dodatku nałogową alkoholiczką? — Idź do niej wcześniej rano, zanim jeszcze zdąży się zalać — poradził mi stary barman — przynieś jej wódki, ale picie stopuj i nie pokazuj pięćsetki, bo się nie odczepisz, i gotowa ci nałgać niestworzone rzeczy, aby tylko wyłudzić pieniądze. Poza tym bierz poprawkę na to, co ci powie, bo to mitomanka...

Tyle instruktażu od emerytowanego barmana, który przyjął mnie prawie nieprzyjaźnie, a pożegnał serdecznie. Lecz było to bardzo niewiele, a w edukacji rodzinnej nie otrzymałam wskazówek, według jakiego protokołu zawiera się znajomość z tego pokroju osobą.

Doszłam do wniosku, że przede wszystkim muszę zrobić coś, aby nie wyglądać tak beznadziejnie młodo; nie pójdę do niej w wytartych rajflach i klapkach na mikrogumie.

Od barmana wróciłam do PETETEKU, gdzie z rana zdobyłam łóżko na wieloosobowej sali; przejrzałam, co mam w plecaku. Nic. Jedną sukienkę, którą zabrałam na wypadek, gdyby

dokuczał upał; poruszanie się w opiętych portkach jest wtedy uciążliwe. Ale ta sukienka wcale nie dodawała mi powagi.

Przez dalszą część dnia goniłam po sklepach w poszukiwaniu stosownego przyodziewku; lipiec — było po sezonie i tylko jakieś łachy z przeceny.

Nie miałam zamiaru wyglądać na modelkę, ale i nie na ubogą krewną; wreszcie zdybałam w komisie zupełnie przyjemną biało–szafirową szmatkę z lionńskiego jedwabiu i piękne złote sandały. Cena była astronomiczna i dwukrotnie przekraczała moje możliwości finansowe — i pomyśleć, że mając te trzy pięćsetki czułam się Krezusem. Kreacja i sandały kosztowały trzy tysiące.

Mechanicznie spojrzałam na zegarek — dochodziła szósta — złote, maleńkie cacko, Longines, podarunek ojca, przywiózł go z Bazylei.

Opylić? Z żalu drgnęło mi serce, ale... nie czas żałować róż. Znalazłam sklep Jubilera.

— Chce pani sprzedać czy wycenić?

— Wycenić — w sklepie były pustki, facet gmerał, oglądał, ciamkał, wreszcie trzasnął kopertą.

— Mmm... dwanaście tysięcy — wymamlał; byłam oszołomiona. Wiedziałam, że to znakomity chronometr znanej szwajcarskiej firmy, ale nie miałam pojęcia, że jest aż tyle wart.

— Chcę sprzedać.

— Mogę przyjąć w komis.

— Potrzebuję pieniędzy natychmiast — wypadłam z roli, ton wyszedł błagalny.

— To pani zegarek? — przyjrzał mi się spod odsuniętych na czoło okularów, jakby brał miarę.

— Mój!

— Ma pani dowód osobisty? — bez słowa podałam moje tymczasowe zaświadczenie

tożsamości; dobrą chwilę wgrzyzał się w te kilka linijek, jakby z ledwością umiał czytać. Stałam jak na węglach i czułam się jak winowajca. Naszła mnie refleksja, że gdy w grę wchodzi dwanaście tysięcy, to moja jagnięca twarz i ten cielecy wygląd grzecznej uczennicy z mety stawiają, mnie w sytuacji podejrzaney. Dlaczego młodego człowieka posądza się zaraz o najgorsze? Ale to nie były podejrzenia ani tym bardziej skrupuły. To był manewr, abym skruszała.

— Pani jest niepełnoletnia — powiedział z lekceważeniem, zwracając mi dowód; istotnie do pełnych osiemnastu lat brakowało mi siedem dni.

— Zegarek należy do mnie... — nie wiedziałam, jak go przekonać, gdy na przegubie dostrzegłam jaśniejszy pasek nieopalonej skóry. — O! — podsunęłam mu pod nos rękę — dopiero go zdjęłam... Poza tym może pan spisać personalia z dowodu. Kupuje pan? — miałam dość, chciałam wyjść.

— Teraz zegarki są tanie — powstrzymał mnie ruchem dłoni — a ten to rzecz dla znawcy, mającego dużo pieniędzy. Długo poleży, zanim go sprzedam, zamrozę kapitał... Mogę dać sześć tysięcy.

Zachnęłam się i odebrałam mu Longina; dołożył do siedmiu — ustąpiłam. Odliczył mi pieniądze, dane z dowodu przestały go interesować.

Wcześniej wróciłam do PETETEKU, nie chciało mi się chodzić po nieście, mimo że w Szczecinie byłam po raz pierwszy; w hallu brzdąkał na gitarze brodaty chłopak. Podśpiewywał takie niewybredne kawałki. Wsparty o lożę recepcji portier wtórował mu beklowym śmiechem: ...a w Szczecinie mieście głównem człowiek chłopca zabił g...

a czy zabił czy nie zabił to z pewnością go osłabił.”

Ładnym tenorem wywodził chłopak; portier tak spontanicznie zabeczał, że zaraziła mnie jego wesołość i ja też zaczęłam się śmiać, zaśmiał się także gitarzysta. Może dlatego zapamiętałam tak

dokładnie prymitywne słowa i nieskomplikowaną melodyjkę?

— Koleżanka z jakiej grupy? — brodacz odłożył gitarę. — Wojtek! — podał mi rękę.

— Dorota, wolny strzelec.

— Członek klubu Noga z Wolina, idziemy na zlot do Augustowa.

— Piękna trasa, dwa pojezierza. Zlot piechociarzy?

— Także kajakarze, grupy rowerowe...

Z kocią muzyką, grzechocząc puszkami po konserwach, dwójkami wchodziła jakaś grupa; rozsypali się po hallu. Odpinali szelki wypchanych plecaków. Ostatnia dwójka oprócz plecaków taszczyła wielki osmolony kocioł.

Do plecaków mieli przymocowane kolorowe proporczyki z czarnym śladem stopy. Byli pstrokaci i samowystarczalni, nieśli ze sobą namioty i ciasno zrolowane koce, przytroczone menażki; harcerze, chłopaki i dziewczyny — moi rówieśnicy. Druh płacił w recepcji za pole namiotowe.

Coś we mnie pojaśniało, poczułam się we wspólnocie. Nie, nie w stadzie, właśnie we wspólnocie chłopaków i dziewczyn, takich jak ja.

— ...żądam oddzielnego pokoju! — niemłody facet, objuczony sprzętem wędkarskim, arogancko domagał się od portiera; nam się także dostało. Było o jego heroicznej młodości i o nas, że się teraz panoszymy i rozpychamy. Wypominał nam takie różne rzeczy.

Fakt!, spóźniliśmy się na wojnę, nie dzieliliśmy ziemi, nie dźwigali z ruin, nie budowali zrębów, ale przecież to nie nasza wina. Oczywiście nikt rozsądny nam tego nie zarzuca, ale jednak chyba trochę zazdroszą.

Co człowiek może o sobie na zapas wiedzieć? Sprawdza się dopiero w konkretnych sytuacjach. Myślę, że nasze pokolenie, przeniesione w tamten bezwzględny czas, zachowałoby się podobnie. I nie mam złudzeń, byliby wśród nas także dekownicy i spekulanci, szmalcownicy i

szpicie, ale byliby przede wszystkim l u d z i e , a wśród najlepszych byłoby z pewnością wielu z tych hardych „nieuczesanych”, szorstkich i niby to cynicznych, a w gruncie rzeczy wrażliwych na zło ludzi, którzy teraz sprawiają tyle kłopotów pedagogom.

Czy wszystko już wiedział o sobie Baczyński, gdy miał szesnaście lat? Krzysztof Kamil Baczyński poeta i żołnierz — tak wykuto na płycie z piaskowca na placu Teatralnym, gdzie poległ. Był z pokolenia mego ojca. A ojciec mówi, że pragnie doczekać praprawnuków, którzy wojnę znalazliby tylko z podręczników historii. Czy jego praca w międzynarodowym trybunale ma na to jakikolwiek wpływ? Czy ryjąc się tam miesiącami ma na uwadze przyszłość tych pra–pra? Czy tylko interesują go pieniądze, wysoka pozycja społeczna, jaką daje ta funkcja, zaspokojenie własnych ambicji?

Od rozmyślań oderwał mnie przeraźliwy huk; to gdzieś bardzo blisko uderzył piorun. Po szybach ściekała ulewa. Hall opustoszał i posmutniał. Moje „pokolenie” kłębiło się już pod namiotami, więc i ja także poszłam korzystać z dorobku pokoleń heroicznych — to znaczy spać. Spać spokojnie, bez leku, że wyciągną, rozstrzelają, zatłuką, spalą, wywiozą. Ale spałam kiepsko.

Wstałam o świcie — prysznic działały i wyjątkowo była ciepła woda. Po wczorajszej burzy dzień wstał pogodny.

Włosy upięłam w kok z pejsami: natomiast namozoliłam się nad makijażem. Nie miałam wprawy. Kilka razy zmywałam twarz, w końcu uporałam się i z tym.

W dużym lustrze, w hallu, przekonałam się, że moje wysiłki nie poszły na marne. Ani słowa — wyglądałam na przeszło dwie dychy.

Wzięłam taksówkę; ta kobieta mieszkała w innej dzielnicy Szczecina, na dalekim przedmieściu.

— Czego? — szczerknęła agresywnie. Stała w ledwo uchylonych drzwiach łypiąc szparkami

zapuchniętych oczek; na wyschniętym ciele głowa Gorgony w mierzwie splątanych włosów.

— Karta wstępu — śpiesznie sprezentowałam butelkę z czerwoną nalepką, bo chciała mi zamknąć drzwi przed nosem.

Na widok obłego kształtu iskra zainteresowania zamigotała w jej oczach; zmierzyła mnie od stóp do głowy.

— Właż — wpuściła mnie do mieszkania; zdewastowane, ubogie, brudne, śmierdziało zgnilizną, nie moralną, dosłownie.

Podsunęła mi taboret przejechawszy po nim mokrą szmatą, ale ani przez chwilę nie oderwała spojrzenia od butelki, hipnotyzowała ją.

— Siadaj, przestraszyłaś mnie, myślałam, że znów emo.

— A kto ci powiedział, że nie? — tak jakoś nie zastanawiając się, także powiedziałam jej ty.

— Nie żartuj, oni nie przychodzą ze szkłem — postawiła na stole dwie szklanki. — Rozlej!

— Powoli, mam interes.

— Pewno, że masz, kto za bezdurno pół litra funduje? Ale rozlej, bo kłapać nie mogę, taki mam katzenjammer — tak właśnie powiedziała: katzenjammer.

— Witkacy nazywa to głątwą — wyrwało mi się, bo wcale nie miałam zamiaru się wymądrzać; prędko nalałam jej wódki, sobie także.

— Masz gadane — pochwaliła; widocznie uznała moją odzywkę za slangowy zwrot.

Przechyliła szklankę do ust — dygotały jej ręce, strużka płynu ściekła po brodzie, obtarła i oblizwała palce.

Mnie poszło źle; zakrztusiłam się. Nie żebym nigdy dotychczas nie próbowała alkoholu. Już piłam przy różnych okazjach, oczywiście bardzo rzadko i niewiele. Raz, miałam chyba wtedy z dziesięć lat, dostałam w Sylwestra kielich szampana. Był słodki — smakował mi. Wychleptałam go jak sok, a później po cichutku obsunęłam się pod stół — szkoda mi było opuszczać

towarzystwo — i zasnąłam. Ojciec odkrył mnie po godzinie.

Niedawno w szkole dano nam ankietę z pytaniami; kiedy pierwszy raz piłaś alkohol, jaki i w jakiej ilości, kto ci go podał i... takie różne. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że w wieku lat ośmiu, kieliszek koniaku, a zaserwował mi go ojciec: wtedy wędrowaliśmy w kajakach po Brdzie, ja z ojcem, matka z wujkiem Andrzejem — bratem starego. Lało cały dzień, biwak rozkładaliśmy także w deszczu. Przemarzłam — matka wyrzucała sobie i ojcu, że niby oni, starzy szaleńcy, zmarnują dziecko.

Tata przebrał mnie w suche dresy i zanim zapakował w śpiwór, wlał we mnie całą zakrętkę od piersiówki. Usnęłam natychmiast, nie dostałam nawet kataru. Ojciec śmiał się wówczas, że ciągnę jak stary wozak.

Teraz nie mogłam złapać tchu. Nie piłam nigdy ze szklanki i chyba za wiele nalałam jak na jeden haust, a drobnym łykiem wypić tego świństwa nie miałam odwagi, bo na sam zapach żołądek uderzał mi o zęby. — Źle poszło, zamiast w pitkę to w jedkę — Gorgona otwartą dłonią waliła mnie w plecy; nie podejrzewała, że nigdy nie piłam czystej wódki.

— Znałaś Perłę — strzeliłam po odzyskaniu głosu.

— Stare dzieje, ile to będzie?... Chyba ze dwadzieścia lat! Ale co ja mówię, więcej... No, znałam, pewno że znałam, ale już od wielu lat jej nie widziałam... Może umarła?

— O teraz niech cię głowa nie boli, gadaj, co z nią było wtedy.

— Lameta ją znalazł, taką zabiedzoną, że była chora z głodu. Nogi, ręce jak patyki, pyszczek zamorzonego szczura, żal było patrzeć. A czarna była jak Cyganka, z natury była czarna, ale od tego niedostatku to jeszcze bardziej szerniała... Przez kilka tygodni to nawet jej głosu nie słyszałam. Siedziała w kącie jak zdziczały kot i tylko tymi wielkimi ślepiami za człowiekiem spode łba wodziła, aż się robiło nieswojo... Strasznie bała się bicia. Nie, nie biłam jej, gdzieżbym tam miała sumienie na toto rękę podnieść, a i nie było za co. Starsza od niej byłam, chyba ze

cztery lata, no i Lameta mi opiekę przykazał... Tu mieszkalam, ale nie zawsze taka dziadowna bylam, nie mysl sobie... i mieszkanie inaczej wygladalo. Wtedy juz dwa lata pracowalam u Lamety, ale nigdy zadnego gościa do domu nie przyprowadzilam, chociaż z hotelami bylo krucho... Wiadomo, miasto zgruchotane... Ale Lameta mial smykałke, wynajal nam mete i tam sie z klientami przychodzilo. Potem kiedy juz wiecej dziewczyn dla niego pracowalo, to jeszcze dwie meliny podnajal... Wiec ta mala odgryzala sie u mnie. Lameta rzetelnie forse na nia dawal i lachy jej nawet sprawilam... I tak w glowe zachodzila, bo jego to lepiej bylo nie pytac, bo prędko byl, dlaczego on tego sparszywiałego kociaka przyholubil i tak o niego za bezdurno dba?... Moze to jaka jego krewna, a moze zakochal sie, ale w czym? Plaskie toto bylo, jak deska, skora, kości, brzydkie i tylko te czarne oczy na pol twarzy, a i wlosy miala ladne... Zawszona byla, chcialam ja ogolic na nul, ale Lameta nie pozwolil, odwszyc kazal. Boze! co ja sie namęczylam. Ze wszami to bynajmniej klopotu nie bylo, bo zasypalam jej glowe DDT, to wtedy taki modny proszek byl, z UNRRY dawali, Fakt, wszystko od niego zdychalo, ani ziplo, na ten przyklad karaluchy, prusaki... No, to robactwo z tej jej końskiej grzywy wytepilam, ale wytrute gnidy to jak na wlosach byly, tak zostaly. To ja jej goracą wodą z octem wlosy moczyłam i gęstym grzebieniem te perlę ściągalam... Ach ty dziadowska księżniczko, z perlami w kołtunie — dogadywalam. I tak juz zostala za Perle.

Polubilam ja, bo to nie bylo zle, tylko zaszczute jak zwierze, a i ona sie do mnie przywiazala ale do Lamety to jak pies.

Wiec tak myslalam, bo pytac nie mialam smialosci, na co on ja sposobi. Bo ze sie zakochal, to nie wierzylam, on taki byl, ze za forse ojca matke by prehandlowal. Zgroza mnie ogarniala, ze on tego dzieciaka lada dzien na zarobek pogoni, a to juz by Boga w sercu trzeba bylo nie miec, ale on jej dlugo nie posylal, bo tak po prawdzie to kto by na nia polecial, chyba zboczeniec jaki...

— Dlaczego nazywasz go Lameta?

— Kiedyś sezonowym handlem się parał. DDT, kamienie piankowe, plastikowe torby — to wtedy był sam cymes i nowość, a przed świętami choinkowe cacka i lametę, czyli anielskie włosy sprzedawał... Lameta! lameta! komu lameta na świąteczne drzewko? I tak to już do niego przystało.

— A jak się naprawdę nazywał?

— Tego nie wiem, on ostrożny był, nigdy się przed dziewczynami nie kiskował, na imię chyba miał Władek?... Tak, Władek.

— Gdzie on teraz jest? — nalałam wódki jej i sobie; ręce mi drżały tak, jak jej przed pierwszym łykiem. Czułam się chora.

— Nie wiem, ja już dawno wypadłam z obiegu, znaczy jemu nie opłacało się mną opiekować... Potem słyszałam, że zmył się ze Szczecina, jak zaczęli porządki wprowadzać, on nie był ryzykant.

— A... jak nazywała się Perła?

— Maria... Maria Koziarek... co ci jest?!

Myślałam, że zemdleję. Człowiek jest dziwną istotą; byłam na to przygotowana, ale chodziło przecież o moją matkę, i jednak ciągle łudziłam się, że to nie ona.

Właściwie wiedziałam już wszystko, a jednak nie byłam w stanie wyjść. Jakiś wewnętrzny przymus trzymał mnie tutaj i kazał pić tę truciznę.

— Co ci jest?! — potrząsnęła mnie za ramię. Ta wulgarna, zniszczona kobieta, strzęp człowieka. Czy to możliwe, że była opiekunką mojej matki? A jednak zostało w niej coś ludzkiego.

— Trochę tu duszno — opanowałam się. — ...gdzie była ta dziewczyna, zanim ją znalazł Lameta? — musiałam mieć pewność, że to nie jest zbieg okoliczności, że nie chodzi tu o żadną inną Marię Koziarek.

— Wałęsała się po mieście, żyła tym, co udało jej się ściągnąć.

— Ale przedtem?

— Przyrajzowała gdzieś z centralnej Polski, jej starych zatłukli Niemcy pewnie już w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. A po wyzwoleniu uciekła od takich jednych dobrodziei, co ją po śmierci rodziców przygarnęli... Bili ją i ten uraz jej pozostał, jak tylko widziała podniesioną rękę, robiła się sztywna. Katowali ją za byle co, głodzili... To jak się ten run na Zachód począł, nawiała od nich; wsiadła w pierwszy lepszy tranzyt, w który zdołała się wcisnąć, i byle dalej.. W całym majątku miała metrykę i fotografię rodziców.

Znałam tę fotografię; poźółkłą, z wytartymi brzegami, przechowywaną przez moją matkę. To byli moi dziadkowie — zginęli na Pawiaku. Potem tułała się po wioskach, aż do wyzwolenia. Według jej opowieści, a we wspomnienia wdawała się niechętnie, przygarnął ją potem dom dziecka w Szczecinie.

A więc stąd te szczecińskie lata mają w jej relacji kryptonim domu dziecka. Szczególny dom. Tak, matka bez oporów wraca do wspomnień z wczesnego dzieciństwa, tak samo do wspomnień, gdy uczyła się w szkole pielęgniarstwa w Warszawie i gdy poznała ojca. Natomiast lata szczecińskie kwituje kilkoma krótkimi zdaniami, jakby nie chciała o nich pamiętać.

— ...przez rok hodowała sio, jak jedynaczka dzianych rodziców — ciągnęła jej ówczesna opiekunka — ale ani ja, ani dziewczyny nie ukrywały przed nią, z jakiego fachu żyjemy. Lameta nigdy jej nie uderzył, chociaż z nim to różnie bywało, choleryk był i potrafił czasami bez dania racji w pysk strzelić, ale dał się lubić, bo o nas dbał i krzywdy nie dał zrobić... Klarował jej nieraz, że jak się odgryzie i będzie mądra, zresztą nam wszystkim to mówił, to będzie miała aksamitne życie, a po kilku latach kapitał... Jak widzisz, ja kapitału nie zbiłam. Wódka, ta moja miłość, mnie zniszczyła. Też byłam ładna, ale roztyłam się prędko i wypadłam z klasy... To był ciężki fach, bo z początku nie było mi wszystko jedno, z kim się do łóżka kładę, no to musiałam

się przed tym zdrowo zaprawić... Potem, kiedy już przywykłam, to i bez kojsy obejść się nie mogłam, i prawie ciągle chodziłam napita. No i od wody zrobiłam się gruba jak beka, tylko łydki pozostały mi wierne, więc wyglądałam jak baniak na patykach, tych tam... proporcji zabrakło... Nie patrz na mnie tak, teraz jestem chuda jak stara suka, bo i ten czas przyszedł, że sadło też ze mnie zginęło...

— A Maryśka, czyli Perła, przez rok się odgryzała. Prima sort lufa się z niej zrobiła! Lameta swoje wyliczenie miał, że ją odkarmił, perspektywicznie kombinował... No i wystartowała jak motyl, w najlepszych knajpach, fakt! Wygląd miała jak z najlepszego towarzystwa... A potem to tylko od czasu do czasu ją widywałam, bo Lameta elegancką metę jej wyszykował, a ja straciłam formę... Dobra była z niej dziewczyna, zaglądała do mnie, ale w utajeniu przed Lametą, bo jej nie pozwalał. Nie chciał, aby ją z uliczną widywano, bo wtedy łatwo mogłaby w kartoteki u glin popaść. A to już był czas, gdy ostro się za nas brali, że niby wrzód na żywym ciele społeczeństwa. Śmiać mi się chciało, jak taki jeden sierżant o tym żywym ciele mi mówił, takie mowy wstawiał, jakby z książki czytał...

Potem już tylko słyszałam, że Perła Lametę wystawiła, drapnęła od niego i coś tam z forszą miało być... W każdym razie zniknęła ze Szczecina...

Umilkła, napiła się wódki; byłam jej prawie wdzięczna za to milczenie, bo musiałam odetchnąć, żeby się jakoś pozbierać.

— Postaw jeszcze butelkę, to cię spiknę z taką jedną, co później z Perłą przez jakiś czas razem chodziła... A ona jak zechce, to może cię nadać do takiej jednej, co teraz panią całą gębą jest, willę w Świnoujściu ma, a nawet udaje, że Melki nie zna, wywłoka jedna!

Cóż jeszcze mogłam się dowiedzieć? A jednak chciałam wiedzieć jak najwięcej...

Melka mieszkała kilka ulic dalej, ona także nie odeszła ze swego przedmieścia. To była trzypiętrowa stara kamienica, z charakterystyczną dla dawnych czynszówek bramą, poza którą

rozpościerał się teraz otwarty plac — dawne podwórko, ale bez oficyn. Dom stał samotny z resztkami poszarpanych murów, pewno wojna zmiotła trzy oficyny, łącznie z którymi tworzył kiedyś zamknięty czworobok. Wśród nowych bloków, budynek wyglądał jak relikw odległej epoki.

Melania Słowikowa — przeczytałam na metalowej tabliczce, przytwierdzonej do drzwi; moja przewodniczka załomotała knykciami skurczonej dłoni, mimo że przy drzwiach był dzwonek. — Znów cię przyniosło, stara ryfo — to nawet było dobrodusznie powiedziane; Słowikowa była schludnie ubrana, tęga, z beczelną twarzą rajfurki.

Spostrzegła mnie i już bez słowa wpuściła nas do kuchni. Było czysto, pachniało dobrą kawą.

— Daj Melka pół kilo, pani płaci — zażądała moja przewodniczka. — Ona szuka Perły!

Posłusznie położyłam na stole sto złotych.

— U mnie z marżą — mruknęła Melka; wydała mi trzydzieści złotych reszty. Wyszła na chwilę i wróciła z butelką. Zrozumiałam, że handluje wódką.

Gorgona niemal wydarła jej z rąk flaszkę; gdy tylko umieściła ją w torbie, zaraz zaczęła się śpieszyć.

— To ja już pójde... — trzasnęła drzwiami, po schodach zadudniły jej kroki.

— Dlaczego interesuje cię Perła? — Melka taksowała mnie spojrzeniem. — To takie dawne czasy, mogłabyś być jej cór... — urwała w pół słowa.

— Być może jestem jej córką — nic innego nie mogłam powiedzieć; zdradziło mnie to cholerne podobieństwo. Po tylu latach skojarzyła mnie z tamtą Perłą? — ...szukam matki — dodałam szybko, odpowiednio modulując głos, aby nie stracić jej zaufania. Opowiedziałam udoskonaloną historyjkę o domu dziecka i kanadyjskim spadku.

Zaskoczyła! Wzruszyła się nawet i poczęstowała mnie kawą. Naszły ją wspomnienia. Z rozrzewnieniem opowiadała o tamtych latach; o swojej pracy mówiła zwyczajnie, bez żenady czy

niedomówień, ot tak, jak gdyby to był najnormalniejszy pod słońcem zawód, ani lepszy, ani gorszy niż każdy inny. I najbardziej przerażała, mnie ta właśnie beznamiętna relacja.

— ...jak Maryśka wystartowała w zawodzie, miała siedemnaście lat. Perła to była klasa! Znali ją goście portowych knajp, a matrosy spod różnych bander biły się o jej względy... I mnie, i ją miał w opiece Władek Lameta, potem Perła prysnęła od niego i ślad po niej zaginął.

— Czy on się nie nazywał Banaszczak?

— A po co ci jego nazwisko?

— Myślę, że to mój ojciec — na samo przypuszczenie, że to mógłby być mój ojciec, poczułam mdłości.

— Nie bierz sobie tego do głowy, a gdyby nawet tak było, to po co ci taki ojciec? Chcesz mieć jeszcze jednego do spadku? O! Gdyby ten się dowiedział, to już by ci nie popuścił... To pijawka!

A ty się nazywasz Banaszczak?

Potwierdziłam; na szczęście nie zażądała dowodu. Musiałabym wtedy powiedzieć, że nie mam. Ona zastanawiała się przez chwilę, oglądając mnie ze wszystkich stron:

— Ładna szmata — zmięta w rękę kraj mojej sukienki — i nie tania! Jeśli chcesz, to pojedź do Świnoujścia — wymieniła adres — powołasz się na mnie... Może Maryla coś wie o tym Banaszczaku. Bo twojej matki to ona nie знаła... Gdzie ty mieszkasz?

— Teraz w Krakowie... odnajmuję kąt od takich jednych.

— A co w ogóle robisz?

— W biurze dłubię.

— I stać cię na takie ciuchy?! — znów dotknęła mojej sukienki. — To muszą ci dobrze płacić w tym biurze...

— Trochę sobie dorabiam — miałam się na baczości, nie wiedziałam, do czego ona zmierza.

Uśmiechnęła się szeroko, z wyrozumieniem; powiedziała od niechcienia:

— Jeśli nie jesteś zbyt skrupulatna, to u Maryli możesz dobrze zarobić, jeśli się nadasz, a mnie się widzi, że się nadasz.

Pojęłam, jak rozumiała moje dorabianie. Nie wyprowadzałam jej z błędu. Aha, więc Melka nie tylko handluje wódką, także nagania dziewczyny dla tamtej w Świnoujściu. Nawet gdyby nie chodziło o uzyskanie jakichś wiadomości o Banaszczaku, to też z czystej ciekawości pojechałabym do Świnoujścia, aby zobaczyć na własne oczy właścicielkę przedsiębiorstwa, o istnieniu którego do niedawna nie miałam bladego pojęcia. Jedyna okazja — poleca mnie Melka. Zapewne nie byłam pierwszą, którą posyłała do Maryli i widocznie otrzymywała od niej prowizję, jeżeli oczywiście dziewczyna się „nadała”.

Zaczynałam się w tych sprawach nieźle orientować, zresztą temat był ciekawy, niestety nie nadawał się na wypracowanie z polskiego.

Do Świnoujścia pojechałam następnego dnia; willa Maryli to był inny świat. Gdzie tam Gorgonie albo Słowikowej do tego komfortu. Domek w dobrze utrzymanym ogrodzie, strzyżony trawnik, kwiatki — pretensjonalna donica z agawą psuła nieco ten styl. Na froncie szyld: pensjonat „Rusałka”!

Gdybym nie wiedziała, co to za dom, mógłby mi się nawet wydać miły, ale teraz niewiele brakowało, a klamkę, ciężką łapę z brązu, ujęłabym przez chusteczkę.

Maryla w modnej, stanowczo zbyt krótkiej i zbyt młodzieżowej kiecce, utleniona blondynka, wymanikiurowana, upierścieniona, wyglądała na z trudem wyklepaną w zakładzie kosmetycznym czterdziestkę. To znaczy usiłowała na tyle wyglądać; ciemne wory pod oczyma i nazbyt odsłonięta indyca szyja mówiły same za siebie.

Ach ty ryfo — pomyślałam — zdarłaś się w portowych mordowniach, a teraz sama pakujesz w to młode dziewczyny. Ze zdumieniem przyłapałam się na tym, że zaczynam myśleć językiem Gorgony i Słowikowej; nie na próżno stary twierdzi, że mam zdolności lingwistyczne.

Z miejsca poczułam wstręt do tej wypielegnowanej rajfurki, mimo że znałam ją dopiero od kilku minut; napawała mnie odrazą, której nie odczuwałam ani wobec brudnej Gorgony, ani nawet Melki.

Gdy wypytywała mnie, gdzie mieszkam, czym się zajmuję, jaką mam rodzinę — szczegółowe przesłuchanie! — postanowiłam nie częstować jej bajeczką o córce Perły i kanadyjskim spadku, a także nie wymieniać nazwiska tego sutenera Banaszczaka. Wydało mi się, że w dalszym ciągu mogą ich wiązać wspólne interesy, być może razem prowadzą ten... pensjonat.

A jeśli znała i dopatrzy się mego podobieństwa do matki? Wzruszę ramionami i powiem, że być może kogoś jej przypominam.

— Opatrzyłaś się w Krakowie, co? — nie skojarzyła podobieństwa; obmacywała mnie oczyma, miałam uczucie, że zaraz zaczną oglądać mi zęby. — A. milicja cię jut tam zna?

Nie zrozumiałam, o co jej chodzi; musiałam niezbyt mądrze wyglądać, bo powiedziała zniecierpliwiona:

— Nie udawaj, pytam, czy jesteś w Krakowie notowana?

— Ależ nie! — odruchowo oburzyła się we mnie Dorota Zasławska. Zapomniałam, że jestem potencjalną kandydatką do jej stajni; stanowczo nie siedziałam jeszcze w tej roli.

— Wszystkie tak mówicie — mruknęła zniechęcona. — No, cóż... wyglądasz nieźle... U mnie jest porządny dom, jeśli cię zaangażuję, to żadnego włóczenia się po knajpach ani po mieście, nic na własną rękę, rozumiesz? U mnie zatrzymują się przyzwoici cudzoziemcy, przeważnie Szwedzi! Pensjonariusze są raczej stali, największy ruch w sobotę i niedzielę... Przeważnie to mili chłopcy, zdarzają się naturalnie i starsi. O! już kilka dziewcząt wydałam dobrze za mąż. Musisz się zameldować. Pamiętaj! Przestrzeganie przepisów i zachowanie pozorów jest sprawą najważniejszą.

Pomyślałam, że ta cholerna baba zaraz zażąda ode mnie dokumentów. — oczywiście

oficjalnie będziesz pokojówką. Otrzymasz wyżywienie, mieszkanie i wszystko co potrzebne oraz procent od gościa. Twoja głowa, abyś dostawała napiwki, prezenty, ale pięćdziesiąt procent od tego dla mnie. Jeśli przyłapię na kantowaniu, z mety pójdziesz za drzwi. Ile ty masz lat?

— Dziewiętnaście — wykrztusiłam: oszołomił mnie ten biznes.

— Dokumenty masz? — stało się; sięgnęłam jednak do torebki udając, że szukam. — Chyba zostawiłam w hotelu? — podniosłam na nią pytające spojrzenie.

— Moja mała, nie wiem, gdzie je zostawiłaś, ale jeśli ich nie masz albo jesteś niepełnoletnia, to nie masz tu czego szukać. Jeśli znajdziesz dowód, od jutra możesz się sprowadzić. Żegnam: Wróciłam do domu strażnika nad Czarną Hańczę; powiedziałam Anieli, że zgubiłam zegarek. Zmartwiła się. Sukienkę i sandały kupione w komisie, mimo że było mi bardzo żal, sprzedałam pokojowej z PETETEKU za osiemset złotych.

Znów chodziłam nad rzekę z Gibbonem, nie czytając go, pomału oswajałam się z tym, czego się dowiedziałam — wydorosłałam, przestało mi się to wydawać takie straszne. Jednocześnie czułam się nie w porządku, że tak brutalnie wdarłam się w przeszłość mojej matki, w jej najbardziej intymne sprawy. Ale nie żałowałam, że widziałam Gorgonę, Melkę i tę... Marylę. Czekaaj, ruo! — na samo wspomnienie właścicielki pensjonatu „Rusałka” wpadałam w żargon — jeśli się tylko zorientuję, że to nie zaszkodzi mojej matce, to Jak Bóg na niebie doniosę na ciebie, napiszę anonimowy donos do milicji, do prokuratora. Już lepiej niech te durne dziewczyny zabawiają się z cudzoziemcami na własną rękę, jeśli inaczej nie mogą!

Tak, ale co dalej? Nie wolno mi zdradzić się, że znam tajemnicę mojej matki; kimkolwiek była w wieku lat siedemnastu, teraz jest wartościowym człowiekiem i tylko to jest ważne.

A Władysław Banaszczak? Sprzedający kiedyś walutę i dziewczyny — tak charakteryzowała go Melka — czy także stał się pełnowartościowym człowiekiem? To było bardzo wątpliwe...

I teraz dopiero dotarł do mnie złowrogi sens zdania, które podsłuchałam w bibliotece. Nie

myślałam o tym przez te trzy miesiące, kiedy zmagalam się z całym światem, kiedy rozczulałam się nad sobą, ten sens zupełnie mi umknął; Boże! jakąż jednak byłam egoistką, jaką straszną egoistką! Poza moją zranioną durną, że JA! JA, Dorota Zasławska mogę się okazać córką kobiety z t a k ą przeszłością, nic mnie nie obchodziło.

Przecież on jej groził, on ją szantażował!

Ten handlarz żywym towarem szantażuje moją matkę — właśnie tak pomyślałam i zaczęłam okropnie się o nią bać. Czego on od niej chce, jakie grozi jej niebezpieczeństwo? Co robić, aby jej pomóc? — poczułam całą gorycz bezradności.

Może powiedzieć wprost: mamó, ja wszystko wiem, nie bój się tego... tego... upióra.

Ale jest jeszcze ojciec; on się przecież także liczy, przede wszystkim on! Jeśli matka poczuje się zagrożona, czy poszuka u niego pomocy? Przecież się kochają, przecież ufają sobie i darzą się wielką przyjaźnią! A jeśli matka nie zwróci się o tę pomoc?

Muszę się dowiedzieć wszystkiego o tym... Lamecie, a najważniejsze, czego on żąda... Jak obezwładnić szantażystę? Pieniądze?

Prokurator!

A gdybym tak napisała anonim do prokuratury? Czy oni w ogóle czytają anonimy?

Nie! W żadnym razie nie wolno mi ingerować w tę sprawę bez wiedzy matki. A ona chce ukryć to wszystko przede mną i przed ojcem. Nie mam prawa smarować listów do władz.

Najlepszym lekarstwem na szantaż jest szantaż! — Olśniło mnie któregoś dnia. Boże, gdybym mogła komuś się zwierzyć, kogoś poradzić!

Do Warszawy wróciłam z Anielą kilka dni przed przyjazdem rodziców; pucowałyśmy dom na ich powitanie.

Aniela froterowała akurat podłogi na piętrze, kiedy ktoś zadzwonił. Był to agent PZU. Wetknął mi w rękę kopertę z nadrukiem, zaadresowaną do mojej matki.

— Ankieta na ubezpieczenie auto-casco — wyjaśnił i zaczął agitować, aby ubezpieczyć wóz.

Powiedziałam, że mercedes ojca jest ubezpieczony na wszelkie możliwe sposoby.

— Ale chodzi o warszawę zarejestrowaną na nazwisko Marii Zasławskiej — wyjaśnił agent.

Byłam zaskoczona. Przecież nigdy nie było u nas takiego samochodu...

* * *

Nie mogę być taka roztrzęsiona! Byle drobiazg wyprowadza mnie z równowagi. Jeśli, tak będzie nadal, to zabraknie mi siły, aby doprowadzić to wszystko do końca. A doprowadzić, m u s z ę ! Dopiero potem mogę zachorować, zwariować, umrzeć...

I pomyśleć, że tak mnie rozstroiła zwykła koperta PZU, którą wśród innej korespondencji znalazłam na swoim sekretarzyku po powrocie z Hiszpanii.

Siedziałam jak sparaliżowana patrząc na tę polisę ubezpieczeniową m o j e g o samochodu i w popłochu usiłowałam odgadnąć, kto ją przyjął: Aniela czy Dorota? A jeśli Dorota, to czy zajrzała do środka? Przecież koperta nie była zaklejona.

Co się ze mną stało przez te niespełna pięć miesięcy? Podejrzewałam wszystkich o wszystko — nie ufałam nikomu, nawet swoim najbliższym. A jeszcze do niedawna nie miałam przed nimi nic do ukrycia! Żyłam tylko dla nich, dla tego mężczyzny, który od dwudziestu lat był moim mężem, i dla naszej córki. I jeszcze dla swojej pracy, która wiele lat temu, u początków mego okaleczonego życia podniosła mnie do godności człowieka.

Nic do ukrycia! Tak, to brzmi jak paradoks, bo przecież był rozdział w moim życiu, który zataiłam przed wszystkimi, a przede wszystkim przed Adamem, i nie mam żadnych wyrzutów sumienia z tego powodu, przecież wtedy miałam siedemnaście lat...

Jak to było? Oporna pamięć buntuje się, niechętnie odwijając taśmę wstecz...

Pijany gość zasnął wreszcie; jak zwykle nie czułam nic. Nie czułam się także upodlona, tylko brudna i marzyłam o kąpieli... fizyczne obrzydzenie do tego znów obcego mi ciała, które jednak

ani na chwilę nie przestało być moim, no i wstręt, żywiolowy wstręt do tego chrapiącego jak wieprz faceta, który kupił mnie podobnie jak tę butelkę Martella, stojącą na stoliku...

Od dwóch lat nie marłam, od dwóch lat już zawsze byłam najedzona, lecz nie zatarła się jeszcze pamięć głodu i ciągle się go obawiałam, już także nikt nie śmiał mnie uderzyć, bo byłam Perłą, sławną dziwką portowych knajp!

Jednak już wtedy, wprawdzie jeszcze nieuświadomione, dźwigało się moje okaleczone człowieczeństwo, bo coraz bardziej pragnęłam uciec... uciec od renomy pierwszej damy portu, od gości, a nade wszystko od o p i e k u n a !

Teraz w tym mieszkaniu, w którym nic nie należało do mnie, z niedbale rzuconego ubrania wysunął się portfel; leżał na podłodze i przykuwał moją uwagę od chwili, gdy tylko to zauważyłam...

Wreszcie podniosłam go i zajrzałam do środka: ileż tam było pieniędzy! Plik starannie ułożonych, mocnych, zielonych banknotów... Mieć je — to niezależność! A niezależność to inne życie... Chleb i całe pantofle, i ciepły piec w zimie, ale już bez klientów, rajfurek, Lamety — tak, z takimi pojęciami kojarzyło mi się wówczas życie... Pomyślałam wtedy, że trzeba chwytać los, dany niemal od Boga, zmarnowana szansa nie wraca!

Po godzinie siedziałam w pociągu, który opuszczał Szczecin; był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty — czwarty rok od ukończenia wojny, pociąg jechał do zrujnowanej Warszawy.

W tym pociągu umarła Perła, luksusowa dziwka, ozdoba portowych barów, na warszawskim dworcu wysiadła Maria Koziarek, jeszcze nie pielęgniarka.

Czy Maria Zasławska wstydzi się za tamtą, dręczy ją sumienie? Maria Zasławska nawet się nie rumieni za Perłę, ponieważ to zupełnie inna osoba. Bo później popłynęły lata, a ja nie tylko robiłam się starsza, ale i zmieniałam się w innego człowieka.

Tamto oddalało się ode mnie i wydawało się już tylko fragmentem życia zupełnie obcej, zaledwie znanej mi osoby...

Trudno to zrozumieć, a jeszcze trudniej wytłumaczyć, ale już po kilku latach nie czułam żadnego związku między Perłą a Marią Koziarek, uczennicą szkoły pielęgniarskiej, potem pielęgniarką, wreszcie Marią Zasławską — żoną i matką.

Nie były to łatwe lata; tylko najwyższym wysiłkiem woli udało mi się skończyć szkołę, miałam kolosalne braki w wykształceniu... Potem pojawił się Adam, mój pierwszy pacjent, i to, że pokochał mnie i że ja go pokochałam było moim największym zwycięstwem nad tym ponurym dziedzictwem, którym napiętnowała mnie wojna, bo te dwa ciemne lata, miały z nią bezpośredni związek.

Są charaktery, które cierpienie i nędza hartują, a nawet uszlachetniają. Ja nie należałam do takich: nieszczęście mnie upodliło, już jako młodziutką dziewczynę pozbawiło jakichkolwiek norm etycznych. Uczyłam się ich jak abecadła dopiero jako dojrzała kobieta.

Nie chciałam być bita, nie chciałam być, głodna, nie chciałam cierpieć. Cierpiałam, byłam głodna, byłam bita przez sześć lat swego życia po śmierci rodziców w czterdziestym trzecim roku: miałam wtedy dziewięć lat..

Gdy znalazłam się w Szczecinie, gotowa byłam na wszystko, aby tylko uniknąć głodu i bicia... I teraz także zdolna jestem do wszystkiego; do każdej podłości, niemal do każdej zbrodni, jeśli ktoś zechce zburzyć ten z trudem zbudowany dom, jeśli zechce wyrządzić krzywdę moim bliskim...

A może w gruncie rzeczy nic się nie zmieniłam?

Moja przeszłość przypominała mi o sobie pewnego zwykłego dnia; profesor miał właśnie przeprowadzić szczególnie ciężką operację; dokładnie pamiętam, usunięcie tętniaka mózgu.

Miałam podawać instrumenty. Piłam kawę, gdy odwołano mnie do telefonu.

— Perła... — usłyszałam w słuchawce męski głos i zanim runął mi świat, przez ułamek sekundy nie mogłam pojąć, że to odnosi się do mnie; było to tak niespodziewane, jak zarwanie się sufitu. Wrosłam w podłogę, czułam suchość w gardle i pustkę pod czaszką.

— No, bez kawałów, słyszysz mnie?! — zniecierpliwił się.

— Słucham, Zasławska — wykrztusiłam wreszcie.

— Muszę się z tobą pilnie zobaczyć!

— Mam dyżur do rana... — strusią metodą odsuwałam od siebie to, co było nieuchronne.

— Twój mąż wyjechał, prawda? — Skąd on to wie? przemknęło mi przez myśl; poczułam się osaczona.

— Przyjdź jutro o dwunastej do domu... — powiedziałam zrezygnowana; nawet nie przyszło mi do głowy, że może nie znać mojego adresu. Dlaczego umówiłam się z nim w domu, zupełnie nie mogę sobie tego wytłumaczyć.

— Dobrze — odwiesił słuchawkę. To znaczy, że wiedział, gdzie mieszkam.

Na salę operacyjną poszłam jak w transie; nie mogę sobie przypomnieć, co wtedy myślałam, zapewne nic.

Z tego nic obudził mnie ryk profesora:

— Holsted! — spojrzałam na niego nieprzytomnie. — Holsted!!! — wreszcie dotarło to do mnie, podałam żądany instrument. Rzucił mi wściekle spojrzenie. Nie był przyzwyczajony do czegoś takiego. Wymieniał nazwy narzędzi z przyzwyczajenia, bo zawsze to, co było potrzebne, trzymałam już w pogotowiu.

W trakcie tej ciężkiej operacji, która trwała cztery godziny, jeszcze raz się zdarzyło, że nie uprzedziłam jego żądania.

— Chory jest tu tylko jeden, ten na stole! — krzyknął.

Po skończonej operacji zemdlałam w drzwiach sali operacyjnej. Ocknęłam się na leżance w

pokoju zabiegowym. Profesor podał mi kieliszek koniaku.

— Dlaczego nie uprzedziłaś, że się źle czujesz? — poza salą operacyjną był to najłagodniejszy człowiek pod słońcem. — Odeślę cię do domu.

— Chwilowa niedyspozycja, profesorze — łyknęłam koniak: chciałam, aby wszystko toczyło się jak zwykle, jak przedtem, zanim pojawił się upiór. Czepiałam się jakiejś nadziei, że jeśli wszystko będzie się działo jak zwykle, to nic nie odmieni się na złe.

Po powrocie z dyżuru udałam, że kładę się spać. Nie chciałam, aby mnie Dorota widziała przed wyjściem do szkoły, bo byłam w stanie zupełnego załamania. I po raz pierwszy w życiu czułam ulgę, że Adama nie ma, i nic będzie jeszcze przez kilka dni. Może zdążę przez ten czas coś postanowić, a przynajmniej jakoś się pozbierać.

Bez żadnej myśli w głowie dotrwałam do dwunastej: przyszedł punktualnie. Z ledwością go poznałam i muszę przyznać, że z początku zwiódł mnie jego wygląd i nienaganny sposób bycia.

Nie sprawiał wrażenia człowieka, przybywającego z dna.

Przez moment mówił o niczym, nie pamiętam z tego ani słowa, przypuszczam, że demonstrował w ten sposób swoją nową osobowość, chciał, abym się oswoiła z jego obecnością i aby mnie przekonać, że towarzysko on nie jest kompromitujący.

— Przeszedłem cię prosić o pewną grzeczność — powiedział wreszcie.

To zdanie uruchomiło we mnie wszystkie dzwonki alarmowe, co natychmiast zauważył.

— Nic wielkiego, nic, co mogłoby narazić twoją pozycję.. Chodzi o zarejestrowanie samochodu. Ze względów podatkowych niezręcznie mi być właścicielem dwóch pojazdów.

— Czym się zajmujesz? — wykrztusiłam wreszcie.

— Prowadzę agencyjny lokal — wymienił nazwę i adres; przysła moja mała nadzieja, że on nie mieszka w Warszawie. — Zapraszam na rekonesans, bardzo miły lokal, zobaczysz.

Obyś przepadł wraz ze swoim lokalem — pomyślałam i głośno: — Widzisz, my mamy już

jeden samochód...

— Przy waszej sytuacji materialnej możecie sobie pozwolić na dwa... Żaden wydział finansowy do tego się nie przyczepi, tym bardziej że twój mąż często wyjeżdża.

— Skąd to wszystko wiesz? — wyrwało mi się niemądrze.

— Nie trudno się dowiedzieć, jeśli się bardzo chce.

— Jak mnie odszukałeś?

— Przypadek, kiedyś zauważyłem cię w kawiarni, byłaś chyba z mężem, ty natomiast nie poznałaś mnie.

— Szpiegowałaś mnie — znowu ogarnął mnie paniczny strach.

— Można to i tak nazwać, ale czego się denerwujesz? . Tuż dość dawno wiem, gdzie mieszkasz, a przecież nie narzuciałem ci się i nadal nie mam najmniejszego zamiaru... Chodzi mi tylko o tę rejestrację.

— Ale... co ja powiem mężowi?

— Nie musisz nic mówić. Ja wszystko załatwię, ty tylko zafirmujesz akt kupna i dokumenty wozu. Stracisz na to dwie godziny, a później już nic cię nie będzie obchodziło. Nie usłyszysz nawet o mnie. A gdybyś kiedyś chciała kupić sobie wóz, dasz mi znać, a ja wtedy przerejestruję swój.

Nie rozumiałam, po co mu ta kombinacja, dlaczego jeśli prowadzi agencję, nie może kupić drugiego samochodu, przeczuwałam w tym jakiś wybieg, nie wierzyłam mu i posądzałam o najgorsze. W co on chce mnie wplątać?

— Nie wierzę ci, powiedz jasno, co knujesz, jeśli mam w tym maczać palce, muszę wiedzieć!

— Zachowujesz się nieprzyjemnie i niesłusznie mnie posądzasz. Myślisz, że tylko ciebie było stać na zmiany w swoim życiu... Przecież nic o mnie nie wiesz, z tamtymi sprawami dawno skończyłem.

— Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mogę dać ci jednorazowo jakąś rozsądną sumę — brnęłam głupio.

— Nie przychodzę po pieniądze — zachnął się. — Denerwujesz się niepotrzebnie, mówisz, głupstwa. Mam dość pieniędzy, po prostu nie mogę na swoje nazwisko zarejestrować drugiego wozu, bo zapłaciłbym duży podatek... Chcę uniknąć domiaru, zrozum! Tylko z tego powodu zwracam się do ciebie.

— Nie masz nikogo innego, kto by ci to załatwił?

— Myślę, że ty po starej znajomości nie odmówisz mi tego drobiazgu — zapalił papierosa. — Przejdźmy do drugiej sprawy...

— To jest i druga? — myślałam, że zemdleję.

— Jest — skinął głową. — Potrzebny mi pokój, mniej więcej na rok. Masz duży dom, przy odrobinie dobrej woli możesz odstąpić jeden pokój i to bez specjalnego uszczerbku dla własnej rodziny. — Nie masz gdzie mieszkać? — gotowa byłabym wynająć i opłacać mu mieszkanie, jakie tylko by chciał; gotowa byłam na ten cel poświęcić swoje oszczędności i pensję, byle nie mieć go pod moim dachem.

— Mam. To nie dla mnie, tylko dla znajomego... Młody plastyk, potrzebny mu na jakiś czas ką. Najdalej za rok będzie miał mieszkanie spółdzielcze.

— Dlaczego musi mieszkać właśnie u mnie? — czułam, że się nie obronię, wiedziałam, jaki argument trzyma w zanadrzu, jeśli odmówię.

— To człowiek niezaradny i niezbyt zamożny. Nie stać go na czynsz, jaki płaci się w Warszawie za sublokatorski pokój. Sądzę, że ty po starej znajomości — znów podkreślił ten zwrot — zrobisz to dla mnie, i po przystępne cenie.

Odkąd ta szuja stała się protektorem niezamożnych plastyków; co to za artysta, mający takiego mecenasa — głowiłam się — Zapominasz, że nie mieszkam sama, moja rodzina także ma

coś do powiedzenia w sprawie przyjęcia nieznanego człowieka pod wspólny dach. Jak ja to wytłumaczę mężowi?

— Jeśli zechcesz, to na pewno go przekonasz... Czy nie jest dobrym argumentem fakt bezinteresownej pomocy dla zdolnego, młodego człowieka? Przecież to ogólnie znana prawda, że w tym zawodzie chudo się żyje.

— To twój wspólnik?

— Wyobraź sobie, że nie. Po prostu uważam go za zdolnego faceta. I tak pomyślałem, że w twoim wytwornym domu nie będzie raził.

— I to wszystko, co masz do mnie?

— Wszystko.

— A jeśli odmówię? — byłem prawie pewna tego, co teraz nastąpi, i nie omyliłam się. To był ten sam brutalny, bezwzględny żul, takim go znałam przeszło dwadzieścia lat temu; widocznie zmienił tylko teren działania. Czyżby naprawdę nie handlował już dziewczętami?

— Słuchaj, Perła, byłoby mi przykro, ale nie zawahałbym się poinformować twego męża, a zwłaszcza twoją córkę, jaki fach uprawiałaś w młodości... — wyskandował podniesionym głosem. Wiedziałałam, że nie mówi tego na wiatr, że w razie odmowy spełni groźbę co do joty, więc nie zdobyłam się nawet na to, aby zabluffować, że mój mąż wszystko o mnie wie, bo przecież nawet jeśli w to uwierzy, to zawsze jeszcze zostanie Dorota, a w to, że i ona wie — w to już na pewno nie uwierzy.

— Nie krzycz! — także podniosłam głos, bo pod wpływem bezsilnej nienawiści, jaką poczułam do tego człowieka, wróciło mi panowanie nad sobą.

— Przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem — jego wściekłość zgasła w mgnieniu oka; wiedział, że wygrał.

— To szantaż...

— Po co ten dramatyczny ton.

— Cicho! — usłyszałam w przedpokoju gwizdanie Doroty, zaraz też wpadła do biblioteki.

Nic innego nie mogłam zrobić, jak tylko przedstawić ich sobie. Kiedy podawał jej rękę, chciałam krzyknąć: — nie dotykaj jej! Nie dotykaj mego dziecka! Lecz milczałam.

— To szantaż — powtórzyłam, gdy Dorota wyszła.

— Tak, szantaż — zniżył głos do szeptu. — Zrobisz, czego żądam, bo przecież nie wymagam nic wielkiego, nic, co by cię kompromitowało lub zagrażało twojej egzystencji, i wszyscy będą zadowoleni.

— Daj mi czas do namysłu. — Jutro czekam cię w „Homarze” — tak nazywał się ten jego lokal powiedzmy o drugiej i... ostrzegam! Bez nierozważnych kroków, bo się pograżysz...

Zabezpieczyłem się przed wszelkimi ewentualnościami, zapamiętaj to sobie'

Nareszcie sobie poszedł; poczułam śmiertelne znużenie, powlokłam się do siebie i upadłam na tapczan.

Myśl o samobójstwie przyszła nagle: chciałam wziąć środek uspokajający i w tym momencie u przytomniałam sobie, że mam całe nie tknięte opakowanie tych pastylek. Wyjęłam szklany flakonik, odkorkowałam; w pokoju miałam termos z herbatą, w drugim była kawa. Te termosy wymyśliła Aniela i stawiała każdemu w pokoju, aby, jak mawiała, gorące picie było zawsze pod ręką.

Wysypałam do filiżanki wszystkie drażetki, zalałam je parującą kawą. Mieszałam łyżeczką, pastylki rozpuszczając się grzechotały coraz słabiej, ciecz mętniała.

Byłam w środku jak wydrążona, a tę pustkę wypełniało tylko jedno zdziwione pytanie: — To już? — ktoś inny jakaś cudza ręka mieszała w filiżance przygotowując cykutę. A jeszcze ktoś inny, obliczając ile wypada pastylek na wagę ciała, zastanawiał się, czy jest to dawka wystarczająca.

— Ucieknę w śmierć! — usłyszałam swój głos; zabrzmiało to melodramatycznie, poczułam niesmak. Czyżbym sama przed sobą odgrywała przedstawienie? Nie! Naprawdę, nie.

Rzeczywiście pragnęłam, nie wiem przez ile chwil, umrzeć. Gdy usłyszałam swój głos, kryzys minął.

Zawartość filiżanki wylałam do muszli w ubikacji; skradałam się na palcach, jak złodziej, aby Aniela nie usłyszała moich kroków. Tak samo po cichu zakradłam się do biblioteki, nie chciałam natknąć się na Dorotę i jeden po drugim wypić dwa duże koniaki.

Ja mam się zabijać, a taka kanalia będzie bezkarnie chodziła po świecie? Nie! Już raz przecież wyzwoliłam się spod wpływu tego gada, wprawdzie byłam wówczas młodsza i miałam mniej do stracenia, lecz teraz nie jestem już Perłą. I nie dam się zniszczyć, a jeśli już nie będę miała innego wyjścia i będę musiała zginąć, to jak Bóg na niebie, on zginie przede mną!

Co się kryje za tymi rzekomo niewinnymi przysługami, które wymusił na mnie pod groźbą szantażu? Jaki interes ma Lameta, aby właśnie w moim domu tkwiła jego wtyka? Ani na moment nie wierzyłam w bezinteresowność tego sutenera w stanie spoczynku.

Muszę znaleźć odpowiedź na to pytanie, bo tylko wówczas będę mogła chwycić go za gardło.

Pojechałam do „Homara”. Prawdę mówiąc nie wierzyłam w istnienie tego lokalu, zanim go nie zobaczyłam.

Był; przyjemne, nawet czyste i przytulne wnętrze — dwie małe salki. W drugiej przy służbowym stoliku czekał na mnie Banaszczak: barmanka, niebrzydka kobieta pod czterdziestkę, mówiła do mego Władziu.

— Zgadza się — powiedziałam bez wstępów — zresztą nie mam wyboru.

— Nie bierz tego tak dramatycznie. Naprawdę nie pakuję cię w nic kompromitującego. Nie jestem tępy i wiele się w życiu nauczyłem. Nie wymagam od ludzi czegoś, co może przerastać ich możliwości.

— Zatem weź pod uwagę, że ja nie mogę wynajmować pokoju... — zrobił zniecierpliwiony gest — zaraz, nie przelewaj! — natomiast mogę pomóc znajomemu czy kuzynowi znajomego, uzgodnimy to później. Ale w tej konwencji, zresztą jedynej, jaką mogę przyjąć, człowiek przygarnięty do domu na zasadzie przyjaźni musi być towarzysko uznawany. Takie pozory muszę stworzyć, bo w przeciwnym wypadku rzecz cała zarówno wobec moich znajomych, jak też i domowników wyglądałaby nienaturalnie. Więc jakby ci tu delikatnie powiedzieć...

— Nie martw się, facet jest dobrze wychowany, bez obawy będziesz go mogła prezentować rodzinie i nawet najwytworniejszym znajomym, o to ci chodziło?

— O to — przyznałam: ma mnie za małą mieszczkę, która trzęsie się, że ktoś, kogo wprowadzę do domu, może okazać się osobą nieobytą. — Więc uprzedź go, że od czasu do czasu, nie za często, będzie musiał odbębnić jakąś kolację lub coś takiego. Z drugiej strony mam nadzieję, że nie będzie natrętny, ja oddaję mu do dyspozycji pokój, a nie cały dom!

— Bądź spokojna, to taktowny człowiek.

Nie, nie przejrzał mego zamiaru, bo i skąd? Moje warunki były zupełnie naturalne, nawet niepokoiło mnie, ale jemu taki układ także bardzo odpowiadał. Właśnie, dlaczego to mu tak odpowiadało, ta towarzyska platforma dla jego protegowanego?

Formalności dotyczące samochodu załatwiłam od ręki, natomiast zainstalowanie „kuzyna dobrego znajomego” odłożyłam na po wakacjach. Banaszczak był bardzo rozczarowany, zależało mu na pośpiechu, nalegał.

— We wrześniu mój mąż wyjedzie na dłużej — powiedziałam — więc automatycznie odpada argument, że nowy człowiek w domu może mu przeszkadzać — to go przekonało. Przecież nie zna Adama i nie orientuje się, że tego rodzaju zastrzeżeń nigdy by nie wysunął. Ja po prostu chcę mieć trochę czasu na zasięgnięcie opinii o tym a r t y ś c i e .

Banaszczak dochował umowy, nie pojawił się więcej u nas ani nie zadzwonił; oswajałam się

ze swoja nową sytuacją, gdy zaczęły się kłopoty z Dorotą.

Zupełnie nie rozumiałam, a i nie rozumiem, co się z nią działo. Opuściła się w nauce, była rozkojarzona, przygnębiona, to znów niezdrowo podniecona.

Chwilami wydawało mi się, że moje dziecko ma do nas jakiś straszny żal, ale brałam poprawkę na swój stan nerwów; po tym pakcie z Banaszczakiem zmieniałam się bardzo. Czy nadejdzie jeszcze jaki czas, że odzyskam spokój?

A teraz ta głupia koperta z PZU zupełnie wytrąciła mnie z równowagi; gdy opanowałam strach, ogarnęła mnie wściekłość. Porwałam za telefon, aby zrobić Banaszczakowi awanturę, lecz zaraz odłożyłam słuchawkę. Nasz telefon, ze względu na rozległość mieszkania, ma jeszcze dwa przełącznikowe aparaty; wszyscy są w domu, ktoś z nich, nawet niechcący, może usłyszeć moją rozmowę.

Muszę się ukrywać we własnym domu, ale na przyszłość muszę zapobiec takim nieostrożnościom. Wpakowałam polisę do torebki i pojechałam do „Homara”. Na szczęście zastałam Banaszczaka.

— Co się stało? — dostrzegł moje wzburzenie.

— Łamiesz umowę — rzuciłam mu kopertę.

— Przepraszam — powiedział, gdy się zorientował, o co chodzi. — Ajenci mają prowizje od każdego ubezpieczenia i nowych właścicieli wozów wynotowują sobie w wydziale komunikacji... Zaniedbałem to auto-casco.

— Jeśli się takie zaniedbanie powtórzy, zrywam umowę bez względu na konsekwencje, bo i tak się wszystko wyda! — nie udawałam furii.

— Nie zdarzy się — zdziwiła mnie jego potulność. — Miałaś przykrości, jak to wyjaśniłaś mężowi?

— Jeszcze nie musiałam wyjaśniać.

— Powiedz, że to jakaś pomyłka...

Boże! Ten łotr śmie udzielać mi rad, jak ja mam kłamać Adamowi, niech natychmiast przestanie, bo zrobię coś strasznego!

— Dobrze się składa, zaraz tu będzie Omerowicz, poznasz pana Kazia, swego sublokatora. Rzeczywiście nie był kompromitujący; młody, bardzo przystojny mężczyzna, ujmujący w obejściu. Dla mnie miał jednak jedną, ale niewybaczną wadę — był protegowanym Banaszczaka. Pracował w Monopolu Spirytusowym w Jeziornej.

— W Monopolu Spirytusowym? — sądziłam, że się przesłyszałam.

— Dziwi panią, co może robić plastik w Monopolu... Może! Zajmuję się graficzną szatą etykiet... Proza, prawda?

Musiałam wreszcie porozmawiać w domu o nowym mieszkańcu. Było mi bardzo ciężko; w ciepły wieczór siedzieliśmy na tarasie, w ogrodzie grały świerszcze. Dorota przywiozła cztery owady z wakacji i wpuściła je do naszego ogrodu. Przyjęły się.

Wiedziałam, że przeforsuję sprawę zainstalowania Omerowicza bez specjalnego wysiłku.

Zarówno Adam, jak i Dorota byli bardzo uczynni, nie było w nich egoizmu, ot może tyle, ile potrzeba, aby żyć; jak to nieraz żartobliwie mówili: kochając społeczeństwo, nie zapominaj o własnej jednostce!

Potworzyłam na wstępie to ich porzekadło.

— Jednostka jest młodym plastykiem, nie ma stałego kąta, koczuje po dobrych ludziach, ale dobrzy ludzie przy dobrych chęciach mają szczupłe mieszkania, przygarniemy go?

— Istynno, powiadam wam, nie masz w tym występku! — powiedziała Dorota. Ostatnio w jej kręgu panowała moda na takie odzywki. Twierdziła z całą powagą, że to język starocerkiewny — Znamy jakiegoś plastyka? — przypominał sobie Adam; weszła Aniela, przyniosła owoce i kawę.

— Siadaj, Aniela — powiedział — narada rodzinna, a ty najwięcej z nas będziesz miała do

powiedzenia, będziemy mieli lokatora!

— A po co nam lokator?

— Jest to kuzyn mojego znajomego — odpowiadałam Adamowi. — Mówiłam ci, był kiedyś u nas — przypomniam, bo powiedziałam wówczas Adamowi o tamtej wizycie, oczywiście nie wyjaśniając prawdziwych okoliczności, w których Banaszczak stał się moim z n a j o m y m .

— A... pana Banaszczaka — wtrąciła Dorota; poczułam, jak zamiera mi serce, wydawało mi się, że ona zbyt łatwo zapamiętała to nazwisko, a w jej głosie wyczułam jakiś szczególny ton. — Gdzie ulokujemy młodego plastyka? — zastanawiała się Dorota, byłam jednak przeczulona, pytała najnormalniej w świecie.

— Chyba na mansardzie — zdecydowałam; był to nie używany przez nas duży, narożny pokój na piętrze ze ściętą ścianą i ukośnym oknem. Zapełniały go różne rzeczy, „których szkoda wyrzucić”.

— Kiedy go chcesz zainstalować? — zainteresował się Adam.

— Chyba od września, nie chcę, aby... ci przeszkadzał — powiedziałam nieśmiało, bo wydawało mi się, że Adam podszedł do projektu z rezerwą.

— Dlaczego ma mi przeszkadzać? — zdziwił się. — Skoro nie ma gdzie mieszkać, prawda, Aniela? — Aniela zawsze zgadzała się z Adamem.

Jacy oni byli jaśni, ci moi, poczułam się wobec nich mała, tchórzliwa, podła, ot... Perła!

— Jaki on jest, ten plastyk? — dowiadywała się Dorota.

— Istunno, wołałabym ze względu na ciebie, aby był mniej ładny.

— Źle mnie odebrałaś — z jakąż pogardliwą wyższością powiedziała to nasza córka; skąd u niej ten nowy, nieprzyjemny ton? Znów niepokój chwycił mnie za gardło. Drogą nieuchwytnych skojarzeń stanął mi przed oczyma obraz Doroty, podającej rękę Banaszczakowi. Przez cały czas, który upłynął od tamtej chwili, obawiałam się, czy ona czegoś nie usłyszała.

— Mamo, będzie płacił za mieszkanie? — przerwała moje rozmyślanie Dorota.

— Sądzę, że nie. Przecież nie robimy tego dla pieniędzy? — do czego ona zmierza.

— Nie masz racji, mamo. Nic za darmo, jeśli jest to porządny młody człowiek, to w takiej konwencji sam niedobrze by się czuł.

— Dorota słusznie mówi, powinien płacić — poparła ją Aniela. Za darmo samodzielny pokój w komfortowej willi tylko dlatego, że jest kuzynem znajomego? To niepedagogiczne. Powinien płacić część świadczeń i dać część pracy: sprzątanie, odmiatanie śniegu. Dlaczego to ma być tylko na ręce Anieli i moje?

— Właśnie! — Anieli to się bardzo podobało. — A młody chłop będzie się byczył?

— Ojciec, sam powiedz, mamy rację?! — Dorota, jak zwykle, odwołała się do autorytetu ojca; to była dla niej zawsze najwyższa instancja. Adam przyznał jej rację. Naturalnie miała ją, tylko dlaczego tak się zaciętrzewiła?

* * *

„Młody i niezaradny” przede wszystkim nie okazał się młodym, natomiast o jego zaradności na razie nic nie mogłam powiedzieć; pojęcie młodzieży stało się teraz bardzo rozciągliwe — na ogół gdy się jej urąga, ma się na uwadze zarówno pędraków z przedszkola, jak też ludzi pod dwudziestkę, zaś gdy się chwali, okazuje się, że trzydziestolatki to także młodzież.

Kazimierza Omerowicza do młodzieży zaliczyć nie można, jest stanowczo przerośnięty; skończył trzydzieści pięć lat, na które jednak nie wygląda.

Nie mogłam ukryć zaskoczenia, gdy wzięłam do ręki jego dowód osobisty, musiałam go przecież u nas zameldować — Niepoważnie wyglądam, prawda? — zauważył moje zdumienie.

— Nic na to nie mogę poradzić! — ułożył w smutny grymas ładnie wykrojone usta.

Z pewnością nie zależało mu na tym, aby wyglądać na swój wiek. Przeciwnie, nosił się młodzieżowo; chodził w zniszczonych wranglerach i kurtce typu safari na kolorowej koszuli.

Miał długie włosy, ale gładko wygoloną twarz. Był bardzo przystojny, wyglądał na dwudziestoparoletniego chłopca.

Młody plastik! Być może w tym zawodzie trzydzieści pięć lat to jeszcze młodość, a może liczy się tam nie wiek, tylko dojrzałość twórcza. A może on naprawdę ma dwadzieścia parę lat, a ten dowód osobisty nie jest jego. Może to sfałszowany dokument, w który wklejono jego zdjęcie?

Zanim mu zwróciłam dowód, obejrzałam go starannie. Na oko wszystko było w należyтым porządku.

Wprowadził się do nas na kilka dni przed moimi imieninami: mimo fatalnego nastroju nic nie mogłam zrobić, aby uniknąć przyjęcia. Od wielu lat zaprzyjaźnieni z nami ludzie wiedzieli, że tego dnia nasz dom jest otwarty i że ich oczekujemy.

No i kto by powstrzymał Anielę od przygotowań: miała umowę z gospodynią Winiarskich.

Jeśli w którymś z naszych domów szykowało się coś niecodziennego, pomagały sobie wzajemnie. Pomoc sąsiedzka, bo Winiarscy mieszkali obok nas.

Teraz było to samo, Aniela dyrygowała i zaprzęgała nawet Dorotę, która na próżno usiłowała się migać; Adam został naturalnie delegowany po szynkę, bo, zdaniem Anieli, ekspedientki litują się nad mężczyznami i kroją im ładniejszą.

Zaprosiłam Omerowicza; pomijając inne względy, byłoby niezręcznie, aby siedział sam na górze. Propozycję przyjął z nieukrywaną radością, a z samego rana w dniu imienin przyniósł snop bladozłocistych róż na niebotycznych łądygach; skrupulatna Aniela, układając je w wazonie, naliczyła trzydzieści kwiatów.

Wieczorem zrobił konkiętę; zachowywał się bez zarzutu, pił z umiarem. Żywy, dowcipny, jednak nie narzucający się — szczególnie podobał się paniom.

Ubrał się w romantyczny garnitur z ciemnoślwiłkowego weluru; marynarka przypominała krojem mickiewiczowską czamarę, lecz bez szamerowania. Pod spodem miał jasnioletkową

koszulę z miękkim kołnierzem, podwiązanym śliwkową aksamitką.

Takie wieczorowe garnitury widziałam tylko na ilustracjach w Vogue. Uważałam je za ekscentryczne, stosowne na estradę; na Omerowiczu ten strój nie raził — umiał go nosić, należał do tego gatunku mężczyzn, którym w każdym ubraniu jest do twarzy.

Miał niepospolity wdzięk i wiedział o tym. Umiał nim operować, toteż na kobiety działał jak szampan.

Zaniepokoiłam się o Dorotę; obserwowałam ją przez moment. Boże, co ona na siebie włożyła? To była jej najbardziej kusa sukienka, na dodatek wychlastała w niej olbrzymi dekolt. Nie miała pod nią nic, nawet stanika; przez cienki jedwab wyzywająco sterczały sutki. Podszedł do niej Omerowicz, coś mówił, czarował tym swoim zniewalającym uśmiechem, nie odrywał od niej oczu — dużych, brązowych, w oprawie nieprzyzwoicie długich, jak na mężczyznę, rzęs.

Zawróci jej w głowie ten playboy — pomyślałam w popłochu i dopiero teraz poczułam cały ciężar walącej się na mnie przeszłości; to z mojego powodu ten podejrzany typ znalazł się w naszym domu. Sama wydałam go na pastwę tym łajdakom, łudząc się, że potrafię chwycić ich za gardło.

Nie mogłam odwołać Doroty, wypadłoby to zbyt ostentacyjnie, więc przeszłam blisko nich, niemal się otarłam, żeby ta moja mała odczuła, że czuwam. — ...wygląda pan jak marchesino Del Dongo — trzeba było słyszeć ten ton: trochę ochłonęłam, bo w głosie małej zmijki brzmiała miazdząca ironia. — Pewno pan nie ma pojęcia, kto to jest? — mądrzyła się; Boże, jaka ona czasami jest jeszcze dziecinna.

Omerowicz nie odpowiedział, możliwe, że nie wiedział nic o marchesino Del Dongo albo dlatego, że pomyślał to samo co ja: bryluje przed dzieckiem.

Poszłam do kuchni i poprosiłam Anielę, aby wywołała Dorotę.

— Coś ty z siebie zrobiła? — natarłam na nią.

— Co ci się nie podoba? — wlepiła we mnie zdziwione oczy.

— Pójdiesz i zmienisz sukienkę albo przynajmniej załóż stanik. Wyglądasz jak...

— Szansoneta! — odpowiedziała Aniela.

— Nieprzyzwoicie — znalazłam potrzebne słowo.

— Tylko dla tych, którzy nieprzyzwoicie myślą — odcięła się Dorota i spojrzała na mnie spode łba; poczułam, że nie poradzę sobie z nią w tej chwili. Miewała takie ośle humory.

Najwyżej się obrazi i pójdzie do siebie. Właśnie dzisiaj nie chciałam się z nią poróżnić. Stałam bezradna, nie wiedząc, jak się wycofać z tego, co powiedziałam.

— Moje panie, dlaczego znikacie, i to razem? — wszedł Adam; był po kilku kieliszkach i w znakomitym nastroju.

— Mama uważa, że mam niecenzuralną sukienkę — uprzedziła mnie Dorota — a naprawdę to boi się, aby ta ozdoba barów nie zawróciła mi w głowie i...

— Jaka ozdoba barów? — nie zrozumiał Adam.

— Omerowicz...

— Tak dobrze znasz bary, moja panno? — droczył się Adam.

— Miałam na myśli bary mleczne, oczywiście — Dorota zrobiła oko do ojca. — Wiesz, stary, że on nie ma pojęcia o literaturze? — trzepała prędko.

— Sukienka? — Adam nie dał się zagadać i odsunął Dorotę na długość ramienia; — hm!

Bardzo ekonomiczna, bardzo... Starczyłyby chyba na to dwie chustki do nosa, ale zakrywa więcej niż kostium kąpielowy, a odsłania zupełnie niebrzydkie kawałki naszej córki. Ujdzie!

— A widzisz?! — Dorota zwycięsko potrząsnęła pejsami; skręcone w grajczarki pasma opadały na policzki przy uszach, miała kok z grubych loków, wyglądała poważniej. W tym uczesaniu dotychczas jej nie widziałam.

Dałam za wygraną.

Prawdopodobnie Omerowicz ma jednak coś wspólnego z plastyką. Po kolacji w bibliotece tańczono, a brydżyści obstawiwszy się butelkami zapadli w pokoju Adama. Szukali kart, oczywiście znalazły się, jest w domu kilka kompletów, ale przy tej okazji Omerowicz przyniósł i podarował Adamowi dwie bardzo ładne talie, zrobione i malowane przez siebie. Były nieco dłuższe, ale węższe niż fabryczne.

— To dzieło sztuki, szkoda nimi grać — zachwyciła się Winiarska. — Jak gdyby dzieła sztuki nie mogły być przedmiotami użytkowymi.

W sumie wieczór był udany. Wieczór! — było już widno, gdy rozeszli się ostatni goście; Aniela skomentowała to na swój praktyczny sposób: imieniny się udały, nikt nie ściągnął serwisu na podłogę, nie wysmarował dywanu majonezem i nie zarzygał łazienki.

Omerowicz zajmował się nie tylko Dorotą; sumiennie obtańcowywał i zabawiał wszystkie panie. Dwa razy zatańczył ze mną.

— Ma pani uroczonego, czupurnego dzieciaka — powiedział to specjalnym tonem, abym zrozumiała, że Dorotę uważa za dziecko; nie uwierzyłam temu zapewnieniu. Bo biorąc obiektywnie, Dorota nie jest już dzieckiem, i każdy to widzi. Spostrzegł, że nie jestem zachwycona zainteresowaniem, jakim obdarza moją córkę, i nie chciał mi się narazić. Dobrze i to.

— Zrobiła mi repetycję z klasyków, jest bardzo odczytana i inteligentna — był bardzo giętki, w lot dostosował się do nastroju osoby, którą właśnie czarował; mnie także pragnął oczarować i uznał, że najlepiej trafi w konwencję: matki tego inteligentnego dzieciaka.

Ten człowiek nie wzbudził we mnie sympatii i ani za grosz zaufania: nigdy nie zapomnę, k t o go zaprotegował. Ale pomijając już ten fakt, wydał mi się nieprawdziwy, po prostu grał swoją rolę: młody plastyk, czarujący chłopiec... Pozer!

Postanowiłam zasięgnąć o nim języka. Przypomniałam sobie pewnego adwokata — cywilistę,

pacjenta naszej kliniki; bardzo mnie polubił. Odnalazłam jego bilet wizytowy.

* * *

Skąd ten prymitywny cham ma takie znajomości? A jednak Zasławska nie poprosiła go na imieniny. Nie mam złudzeń, ja także znalazłem się tam tylko dlatego, bo niezręcznie byłoby pozostawić mnie na mansardzie, gdy w domu taka feta; przestrzegają form, więc tak wypadało.

Zanim mnie jednak zaprosiła, przezornie zapytała, czy mam wolny wieczór, może miała nadzieję, że jestem już umówiony, a może była to sugestia, abym zrezygnował. Nic z tego, byłem nieinteligentny i zapewniłem, że będę w domu.

Ciekawe, co tę kulturalną kobietę, żonę faceta na takim stanowisku, łączy z tym chamem?

Przecież z punktu wyczułem, gdy tylko ją zobaczyłem po raz pierwszy w „Homarze”, że wręcz nie cierpi Banaszczaka; stąd i do mnie ta rezerwa. Widocznie uważa, że taki chomąt nie może mieć ciekawych kumpli... Ale wydaje się, że po tym wieczorze nabrała do mnie nieco

przekonania, a przynajmniej przestała mnie mieć za faceta tego samego formatu co Banaszczak.

Oto są skutki zadawania się z chamem i prostakiem. Jego protekcja miast pomagać szkodzi, w oczach innych człowiek staje się figurą dwuznaczną i trzeba nie lada wysiłku, aby zmienić tę opinię.

A ten buldog pewno nie omieszkał się pochwalić: mój przyjaciel! A niech go syf ogarnie! W czasach gdy byłem kimś, butów nie pozwoliłbym sobie wyczyścić takiemu p r z y j a c i e l o w i !

Miałem cholerną ochotę pokazać się na tym wieczorze i to nie było interesowne; trudno mi żyć bez pewnego klimatu, a w tym domu on jest. Komfort i ta szczególna atmosfera swobody, pewnego rodzaju nonszalancji, którą stwarzają tylko odpowiednie środki, czyli zwyczajnie forsa.

Tu się nikt nie trzęsie nad rzeczami, są po to, aby służyć. Wydaje się, że oni nie zauważają przedmiotów i jakby nigdy nie znali ich ceny. Z takim stylem ludzie albo się rodzą, albo tworzy go długoletni dobrobyt. Ja nigdy nie umiałem być taki, mimo że nie żyłem w nędzy, no ale i dom

moich starych był przeciwieństwem tego.

Ciekawe, ile Zasławski zarabia? Chyba dużo, jeśli stać ich na ten standard, a mimo to nic tu nie ma krzyżącego, nic nie rzuca się nachalnie w oczy. To gust tej babki. Tak, ona ma smak, i nie obwiesza się błyskotkami; ubiera się z wielką prostotą, chociaż ten brylant na palcu ma na oko ze trzydzieści karatów. To nie z pielęgniarskiej pensji. Jej pensja starcza akurat na kosmetyki, salon piękności i fryzjera, no! może jeszcze na papierosy: stary pali „Caporale”, a ona jakieś bułgarskie.

Pan profesor daje na luksusowe życie, a pani bawi się w służbę społeczną, pomoc bliźnim.

Jakież to szlachetne!

— Mieszkacie jak burżuje — potem byłem zły na siebie za ten niezręczny żart wobec Doroty.

— Moi rodzice żyją z własnej pracy — ton był mentorski, mina jaśnie panienki — a że ojciec zarabia wyżej przeciętnej? To człowiek nieprzeciętnego intelektu i ogromnej wiedzy!

Byłby z niego wcale przyjemny teść: oczywiście, jeśli wszystkiego nie przejadają. Czyby byli tak lekkomyślni i nie dbali o przyszłość jedynaczki? Na przezornych nie wyglądają...

Jeśli stary nic kombinuje, to akurat starcza im na ten wysoki standard. Chociaż? Ten zagraniczny trybunał to nie może być jego jedyny dochód. Z pewnością coś pisze, publikuje w pismach zagranicznych, tłumaczą go na obce języki. Może mieć zupełnie przyzwoite dziadźki, odłożone na czarną godzinę albo na przyszłość dla córeczki.

Tylko że inteligenci miewają dziwny stosunek do swoich dzieci. Masz wykształcenie i fruważ o własnych siłach! Nie to, co prości ludzie, jeśli oczywiście mają środki. Wystarczy pokazać dyplom, a już rozwiązują mieszek. Taki był mój stary, jednak przestał być...

Wołałbym jednak pozycję zięcia w tym domu niż kokosy z Banaszczakiem On nawet nie umie wydać z wdziękiem tego, co zarobi. A poza tym t e n i n t e r e s trzymający się na jednej, zakochanej babie, i to jakiej babie! Mam już dość tej histeryczki; nachalna, tępą rura. I ona

wierzy, że może się nią naprawdę interesować taki mężczyzna jak ja? Nie widzi nic, jak ślepa. Uch, jak ja nie cierpię tej krowy, a odkąd poznałem Zasławskich nie cierpię jej jeszcze bardziej. Cisnąć by w diabły Banaszcza, Halinę, Monopol i wżenić się w tę rodzinę. Mała jest rozpieszczona i zarozumiała, ale nie takie siksy mi z ręki jadały. W gruncie rzeczy nie wiem, którą bardziej wolę: tę małą czy matkę? Ideałem byłoby małżeństwo z małą i romans ze starą, lubię dojrzałe kobiety, a ta jest szczególnie pociągająca.

Niestety, pani odnosi się do mnie bardzo poprawnie, ale z chłodną rezerwą; dotychczas nie zaryzykowałem najniewinniejszej nawet poufałości. Trudna do rozgryzienia. Jeśli w tym ponętym ciele tkwi naprawdę żona i matka–Polka, to obiekt wymaga długiego oblężenia. Takie zdobywa się na klęczkach. Przedwczesna zuchwałość może się skończyć wyrzuceniem za drzwi. Kobieta–zagadka, kobieta–sfinks, ile ich już było? — a po jednym, umiejętnie podlanym, nastrojowym wieczorze musiałem je z łóżka wytrząsać, takie miłośnice.

Chyba jednak zrobiłem na niej jakieś wrażenie, tylko to maskuje; pociągam ją, ale boi się o córkę. Złękła się o to swoje cielątko, pewno uważa, że jestem dla małej za stary, no i moja pozycja pewno niezbyt jej odpowiada; plastik bez nazwiska, zaczepiony na posadce w Monopolu Spirytusowym — fe, jak to pospolicie brzmi! Ona nie wie, że to nawet nie posadka, tylko prace zleczone...

Między innymi i przez to miałem opory, czy iść do nich na ten wieczór, a do tego bałem się spotkać kogoś z dawnych znajomych. Wiadomo, zaraz plotki, a to mogłoby mi zaszkodzić.

Później, gdy już zapuszczą korzenie, to nie będzie miało znaczenia.

No i znakomicie, że poszedłem; sukces pod każdym względem. Z punktu podbiłem przyjaciółki pani — topniały jak łojowe świece, bez względu na wiek. Wprawdzie to nic nowego, prawie wszystkie baby tak na mnie reagują i często to jest kłopotliwe.

Nie zaskarbiłem natomiast specjalnej sympatii mężczyzn, ale także nie naraziłem się żadnemu,

a Zasławskiego ująłem sobie darowując mu karty; rzeczywiście są udane. Muszą być udane, aby spełniły swój cel.

Stary wydaje się być całkowicie zawojowany przez swoje panie, często wyjeżdża za granicę — co jest okolicznością bardzo sprzyjającą. Niebawem będę jedynym mężczyzną w tym domu.

Swoją drogą ten prymityw ma spryt! Wyszukać taką metę, trzeba mieć nosa!

Spróbuję użyć Zasławskiego już teraz, przed jego wyjazdem we wrześniu. Tak czy owak, okazując uwagę pani trzeba podbić tę przemądrzałą małą, ale tak, aby nie połapała się przedwcześnie matka; gdy cielątko zaskoczy, to mamusia z chęcią czy bez, będzie musiała istniejący stan rzeczy zaaprobować.

Zaraz po imieninach pani, Banaszczak pchnął mnie do Świnoujścia. Chciałem do Szczecina polecieć samolotem, bo nie cierpię długich podróży pociągiem.

— Pojedziesz wozem, po drodze zbadasz możliwości w małych miastach — niedawno kupił warszawę; trzymał ją na zapleczu „Homara”. Musiałem się zerwać o świcie, bo nie pozwolił zabrać wozu pod willę Zasławskich; nie nalegałem, nie było czym zaimponować ludziom mającym mercedesa. Ale do reszty zgłupiałam, gdy Banaszczak dał mi dokumenty samochodu.

— Po co Zasławskiej warszawa? — wykrzyknąłem jak palant.

— A co cię to obchodzi? — mruknął ten buldog.

Nie odpowiedziałem nic. Jeszcze nie nabyłem wprawy w stosunkach z Banaszczakiem, dopiero raczkowałem na tym gruncie, wiedziałem jednak, że nie należy zbyt wiele pytać.

Czyżby Zasławska brała udział w interesach Banaszczaka, w naszych interesach? A to ci szpas! Jednak schowałem tę myśl dla siebie, ale setnie mnie bawiło, że posag Doroty i moja fortuna mogą pochodzić z tego samego źródła.

Długo nad tym myślałem, zastanawiałem się, jaką korzyść mogę mieć z tego odkrycia. Żadną!

Bo to mało prawdopodobne. Ot, wypożyczyła samochód Banaszczakowi i to wszystko. Po co jej

taki wóz?

Nic mi tu nie pasowało.

W Świnoujściu przyjęła mnie pani Maryla; także willa, także brylanty na palcach — tylko nie ten styl co u Zasławskich; z daleka zalatywało kantem, snobizmem i w ogóle jakimś draństwem.

— Przysłała mnie Lameta — Banaszczak podał mi takie hasło.

— Nie wiedziałam, że Władek ma takich rajcownych przyjaciół! — zagruchała głosem zakatarzonej hieny; wysoko uniosła podbródek, napinając zwiotczałą szyję. Spojrzenie znad ciemnych worów, których żaden tynk nie był w stanie ukryć, obmacało mi twarz, ramiona, uda. Pomyślałem, że zaraz się obliże jak kot. Znałem takie spojrzenia.

Ogarnęła mnie wściekłość na Banaszczaka. Zrozumiałem, dlaczego właśnie mnie przysłał do tej okropnej baby. Co on sobie myśli, że z każdą zdziwą będę się kładł do łóżka dla interesów?

Wystarczy mi Halina. Halina! W porównaniu z tą zmumifikowaną wiedźmą to kwiat!

Wionęła do serwantki, figurę i nogi miała jeszcze niezłe; na stoliku pojawił się koniak.

— Na ile się cenisz? — w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co jej chodzi; musiałem

Wyglądać jak harcerz, ale z czymś takim spotkałem się po raz pierwszy w życiu, a . przeżyłem trzydzieści pięć lat i przecież nie w ogródku jordanowskim!

— W każdym razie na taką sumę p a n i ą nie stać! — trzęsła mną wściekłość. Jak to monstrum może przypuszczać, że mnie można wynająć! Wyglądam na to?

Zasławscy i ta tutaj, jakże jej? Maryla, jak oni mnie traktują? Oczywiście każdy na swoją miarę, lecz upokarzająco. Nie ma wątpliwości, to Banaszczak daje mi takie tło. Z kim ja się, u diabła, związałem?

— A więc pracujesz dla Lamety? — nie wydawała się obrażona moją odpowiedzią. — I co ty u niego robisz?

Dopiero teraz zorientowałem się, że Lameta to przezwisko mojego współnika. Nierówna gra,

on o mnie wie niemal wszystko, a ja o nim prawie nic. Niedobrze, że mnie poniosło, po odprawie, jaką jej dałem, nic z niej nie wyciągnę.

— Łaskawa pani się myli, to Lameta pracuje dla mnie... — może jednak puści farbę na temat Władka, jeśli uwierzy, że to ja jestem szefem.

— Czyżby, mój milusi chłopcze? — zarechotała, jakby m powiedział przedni dowcip.

To chyba przez ten młodzieńczy wygląd; czasami moja twarz cholernie mi przeszkadza, a przecież nie mogę zacząć przekonywać tej starej lufy, że jestem dojrzałym mężczyzną.

— Jeśli to panią interesuje, wyciągnąłem go z dna... — akurat było odwrotnie.

Banaszczaka znałem z widzenia z nocnych lokali, tak jak mniej więcej znają się wszyscy stali bywalcy, no bo w końcu, ile jest tego typu knajp w Warszawie, naturalnie tych na pewnym poziomie? Prawie można zliczyć na palcach jednej ręki..

Więc znałem go jako gościa ze szlaku i nieraz widywałem jego fizys przy barze lub gdzieś przy stoliku, ale nie znałem nawet jego imienia; nic mnie nie obchodził, jak wiele innych, tak samo powtarzających się i anonimowych twarzy, które pojawiają się w knajpach z nastaniem nocy i nikną o świcie. Są częścią wnętrza jak sprzęty, parkiet, bar i butelki z gorzałą.

W tych czasach, w czasach mojej świetności, stale otaczał mnie dwór. Miałem swoich błaznów, cmokierów i intrygantów, swoich szpicli i przyjaciół.

Gdzie oni wszyscy teraz? Zniknęli wraz z tłem tamtych nocy i często mi się wydaje, że istnieli tylko jako koloryt tych sal z przyćmionym światłem, z dźwięczącym szkłem, wśród zawodzenia saksa i w grzmocie perkusji, a rozpływali się, niknęli o świcie, gdy dzień odzierał knajpę z przytulności i elegancji. Fantomy! A jednak brakuje mi tamtych iluzji i tamtych postaci z trójwymiarowego kina, nawet tych pijanych, głupich dziewczyn, które umowny świat jednej nocy w knajpie biorą śmiertelnie serio i usiłują wymienić parę długich nóg, świeże ciało, młodość, na jakieś lepsze, ciekawsze życie i jeszcze nie wiedzą, że za tę monetę mogą najwyżej

kupić jeszcze ileś tam podobnych nocy i nic ponadto; w końcu pojmują jednak tę banalną prawdę, więc niektóre znikają ze szlaku, a inne przechodzą na zawodowstwo.

Pewnego dnia obudziłem się bez pieniędzy i bez przyjaciół; taki impas, po którym nie bardzo mogłem się pozbierać. Zajrzał mi w oczy niedostatek i nawet dziewczyny mnie opuściły. Takie małe kurewki... wiadomo, że przyciąga je sukces, stanowisko lub pieniądze, chociażby nic z tego nie miały, a krach odstrasza. Ja natomiast byłem zupełnie skrachowany — znalazłem się w punkcie zero.

Któregoś dnia, zupełnie zniechęcony do ludzi, wylazłem z barłogu, bo wygnał mnie z niego głód, i wstąpiłem do jakiejś małej knajpki, w której nigdy dotąd jeszcze nie byłem. Usiadłem przy stoliku — pomyślałem, że nie mam pieniędzy — obszukałem kieszenie, zebrałem cały bilon; starczyło na bułkę z masłem i herbatę.

Wtedy spostrzegłem znaną mi twarz faceta stojącego opodal baru; nachalnie mi się przyglądał. Męczyło mnie, skąd go znam, wiedziałem tylko, że to gęba ze szlaku.

— Znamy się z widzenia — usiadł przy mnie, nie pytając o pozwolenie. — Niefart jakiś? — przyglądał się wymownie mojej samotnej bułce; była pora obiadu.

— Jestem zupełnie przegrany — przyznałem się; od wielu tygodni nie było przy mnie żadnego człowieka, to był pierwszy, który objawił zainteresowanie i dlatego od razu się rozprułem.

— Co pan umie? — zapytał; powiedziałem, że jestem plastykiem. Postawił porządny obiad, wypiliśmy razem butelkę gorzałki, potem pożyczył mi pięćset złotych i kazał przyjść za tydzień — to był Banaszczak.

Po jakimś czasie załatwił dla mnie prace zleczone w Monopolu i tak się to wszystko zaczęło.

— ...towar do odebrania loco Warszawa — dobijałem interesu z Marylą. To była maszyna do liczenia, a nie kobieta. Targowała się o każdą złotówkę. — Należność naturalnie chcemy w

dolarach...

— Dobrze, zapłacę w dolarach — błyskawicznie przeliczała w pamięci kurs waluty w najkorzystniejszych dla siebie relacjach.

Walczyłem o każdy cent, aż osiągnąłem cenę, poniżej której Banaszczak nie pozwolił mi schodzić; ten typ orientował się doskonale, jaki jest kurs waluty na Wybrzeżu. Zażądałem zaliczki, chociaż mój szef nie stawiał takich wymagań.

— Nie dam — powiedziała krótko. — Uprzedzę was po załatwieniu transportu.

— Proszę zadzwonić... — podałem jej numer telefonu Zasławskich: to było polecenie Banaszczaka. Wszelką łączność miałem utrzymywać za pośrednictwem tego telefonu. — A kiedy forsa?

— Załatwię z Lametą, tobie nie dałabym do rąk miękkich, chłopysiu! — ton był bardziej obraźliwy niż te lekceważące słowa; nie uwierzyła w moją historyjkę, miała mnie za podrzędnego u Banaszczaka i nie dała się sprowokować do rozmów na temat przeszłości tego buldoga. Chyba stary cinkciarz?

— Kiedy ci się sprzykrzy terminowanie u Władka, to pamiętaj, że u mnie zawsze możesz znaleźć zajęcie, jeśli oczywiście staniejesz — powiedziała mi na pożegnanie i znów miała gębę wygłodzonego kota. Obrzydliwość!

— I powiedz jeszcze Lamecie, że dam w papierkach, bo złoto znowu zdrożało.

Złoto znowu zdrożało — wiem.

Zasławski wyjechał w początkach września. Przed wyjazdem, z odpowiednim certoleniem się, manifestując delikatną nieśmiałość, poprosiłem go o grzeczność; o przekazanie drobnego upominku dla mego przyjaciela na rue La Fayette w Paryżu.

— Jeśli nie sprawi panu kłopotu.. — zawahałem się i byłem ładnie zażenowany. A ten prostak Lameta zastanawiał się, czy już mam zastartować, czy poczekać, aż będą bardziej oswojeni. A

cóż to dla mnie, przy moim sposobie bycia, przy mojej ogładzie... On oczywiście zaraz wydałby się podejrzany. No pewnie, z tą jego ponurą, chamską mordą jak gdyby dwóch zabił, a trzeciego miał zamiar...

— Ależ żaden kłopot — uśmiechnął się Zasławski. — Proszę to dać Dorocie z wyraźnie napisanym adresem — zgodził się chętnie. — Moja córka szykuje mnie do drogi, bo ja sam zapomniałbym o najpotrzebniejszych rzeczach.

Jakżeż mi to było na rękę! Mogłem ją niemal za przyzwoleniem tatusia zaprosić do siebie na górę, a jeszcze nie była dotychczas na mojej mansardzie.

Nadspodziewanie chętnie przyjęła moje zaproszenie. Cały czas dbałem o to, aby w pokoju utrzymać stan artystycznego bałaganu — w każdej chwili mógł przecież ktoś wejść, bo w tak wytwornym domu nietaktem, wręcz afrontem byłoby zamykanie drzwi na klucz w czasie nieobecności w mieszkaniu. Miało to swoje dobre, ale i złe strony.

Dobre: bo ten pokój wyrażał niebanalną osobowość lokatora, a one nie byłyby kobietami, gdyby chociaż raz nie zajrzały tam pod moją nieobecność.

Złe: bo stałe musiałem się mieć na baczności i pewne rzeczy trzymać pod kluczem, ale oni nie byli ludźmi skłonny do penetrowania cudzych szuflad.

Dorota ciekawie rozejrzała się po pokoju, przypuszczam, że chyba nigdy nie widziała prawdziwej pracowni malarza. Mój Boże, ten pokój był marną namiastką mojego dawnego atelier; tam takie siksy z punktu traciły głowę. Ale były na tej mansardzie sztalugi z jakimś zagruntowanym płótnem i zaczęty kilka lat temu szkicem. Farby, palety, pędzle przykładnie moczyły się w wodzie. Kilka rzeźb w drzewie z okresu młodzieńczego prymitywu; kilkanaście naprawdę udanych grafik z czasów, gdy bawiłem się linorytem.

Na długim stole z surowych desek — to było arcydzieło, a nie stół, jeden z tych nielicznych sprzętów, jakie ocalałem z wyposażenia mojej pracowni — akwarele, werniksy, cały ten kram

potrzebny do wykonywania drobnicy.

— A gdzie portret Doriana Graya? — zapytała wodząc oczyma po ścianach. Ta smarkata miała hopla na punkcie literatury, a odkąd zagięła mnie na imieninach tym marchesino Del Dongo, niemal przy każdej nadarzającej się okazji byłem egzaminowany z obowiązującej lektury.

Ale „Portret Doriana Graya” Wilde’a czytałem i wyjątkowo pamiętałem, o co tam chodzi.

— Ukryty — wpadłem w jej ton. — Ale chętnie pokazuję go życzliwym osobom.

Nie, nic nie odpowiedziała, ale schowała te swoje kolce, zaczęła być nawet miła, widać chciała mi pokazać, że należy do życzliwych.

— Etui także pan robił? — zainteresowała się pudełkiem, w którym podałem jej słynne już u nich, malowane przeze mnie karty do gry.

— Oczywiście — kasetka niemal nie miała tła, cała była pokryta motywami ornamentu zdobiącego karty i tak samo zawerniksowana; to był ów drobiazg przeznaczony na rue La Fayette.

— Mógłby pan wymalować tkaninę na sukienkę? — zapytała, gdy kaligrafowałem adres.

— Dla pani? — skinęła głową. — Ależ oczywiście i nawet coś bardzo oryginalnego! Zrobię dla pani piękny batik, słyszała pani o czymś takim?

Potrząsnęła głową; byłem zadowolony, odegrałem się — i to jak elegancko — za te repetycje z klasyków. Tak, koniecznie zrobię im batiki, tej małej i matce też. Przy ich orientalnej urodzie będą wyglądały przepysznie i zrobią w tych szmatach furorę, a autor zyska trochę sławy.

— Batiki to stara jawajska technika barwienia tkanin... Pozwoli się pani zaprosić na kawę, gdzieś w mieście... oczywiście, jeśli pani mama nie będzie miała nic przeciwko temu — chwyt był stary jak świat, ale jak zwykle skuteczny. Tych małych nic tak nie rozwściecza, jak podejrzenie o brak samodzielności.

Umówiła się ze mną na koniec tygodnia; stary już wyjechał, matka miała dyżur — sprytna była ta smarkata. Pozostawał tylko ten cerber Aniela, więc spotkanie zorganizowałem od razu w „Homarze” i poszedłem tam wprost z miasta.

Od dawna już unikałem eleganckich kawiarni, aby nie spotykać ludzi z mego dawnego kręgu; nie zniósłbym obojętności lub zdawkowego współczucia, a jeszcze bardziej nie chciałem dostarczyć taniej satysfakcji, płynącej z faktu, że patrzcie! Ten świetny Omerowicz poszedł na dno i teraz stać go tylko na kawkę dla jakiegoś uczennicy.

Poza tym chciałem się pokazać Banaszczakowi z córką Domu; ale zbaranieje, niech zobaczy klasę!

On, gdyby tam mieszkał nawet pięć lat, oczywiście o ile by go przyjęli, co jest mocno wątpliwe, to i tak żadna z tych kobiet nie poszłaby z nim do lokalu. Jeszcze był i trzeci powód, dla którego poszedłem właśnie do „Homara” — miałem tam otwarty rachunek.

I wpadłem! Pierwsza gęba, jaka zobaczyłem w „Homarze”, to była ta stara rura, ta tufta — Halina! Boże!, ona z siebie robi — pomyślałem — bo rzeczywiście, o, i pewnego czasu tak tynkuje tę swoją uwiędłą czterdzieczę, że tylko patrzeć, jak pozostaną same farby. Ale Bóg z nią! Nic by mnie nie obchodziły te wysiłki, zresztą dające czasami zabawne efekty, gdyby nie fakt, że ona robi to dla mnie: za każdą cenę chce się podobać!

I teraz wlepiła we mnie oczy usmarowane tuszem zapewne od Diora, bo odkąd ma pieniądze, dostała bzika na punkcie francuskich kosmetyków — i powitała mnie spojrzeniem niedorzęniętej gazeli, szczerząc zęby w słodko-tęsknym uśmiechu; była pewna, że przyszedłem tu dla niej, że jej szukam.

— Niedobry! — pogroziła mi z wdziękiem starej krowy krótkim, grubym „paluszkiem”, ze szponiastym, na sino lakierowanym pazurem; miała łapy jak kleszcze homara, więc wydłużała je hodując olbrzymie paznokcie.

Przez kilka dni nie zajrzałem do niej, nie miała także okazji spotkać mnie w Monopolu, bo akurat nie było tam dla mnie żadnych zleceń i oto były skutki; zwyczajnie tropiła mnie po mieście.

Niedobrze, bo w głębi sali siedziała już przed filiżanką kawy Dorota, upozowana z grubym tomem przed nosem, świetnie udając, że czyta.

Przyszedłem punktualnie, tak jak się z nią umówiłem, to znaczy, że ta mała przybiegła tutaj wcześniej. Taką była śliczna! Udawała, że mnie nie dostrzega, zajęta swą lekturą.

Przystanąłem przy telefonie, że niby gdzieś dzwonię i nie mogę uzyskać połączenia, bo znalazłem się w zupełnej kropę e.

Nie, nie bałem się Haliny, tak źle jeszcze ze mną nie było, ale wcale nie miałem gwarancji, że ona nie chwyci mnie za rękaw, gdy będę przechodził obok niej, albo polezie za mną i uwali się przy stoliku małej. A jeśli się zorientuje, o co nietrudno, że motam małą, ot tak sobie, a nie w interesach? Bóg raczy wiedzieć, co ona wówczas zrobi; ta histeryczka może po prostu zmieszać małą z błotem. A do tego wszystkiego bardzo wstydziłem się przed Dorotą takiej flamy.

Najchętniej dałbym drapaką, ale na szczęście z zaplecza wychynął Banaszczak; z mety pojął, o co chodzi, i pokierował ruchem. Udał, że mnie nie widzi i unieruchomił Halinę.

Odetchnąłem. Dorota siedziała w głębi, więc musiałem przejść koło Haliny i Banaszczaka, skłoniłem się im, on przytrzymał mnie za rękę.

— Ta mała czeka tu już dobre pół godziny, jak już się coś załatwia, należy być punktualnym — szpakami karmiona bestia; powiedział to takim tonem, jak gdyby to on zlecił mi załatwienie jakiejś sprawy z Dorotą.

Halina nie odezwała się do mnie ani słowem, lecz gdy zmierzyła małą wzrokiem, miała śmierć w oczach. Zrobiło mi się nieswojo i byłem Banaszczakowi wdzięczny za przytrzymanie Haliny; zaczynałem się jej bać, nie w ten banalny sposób, w jaki mężczyźni boją się kobiet, i którymi

żyją, lecz jak ślepego żywiołu. Jej namiętność miała w sobie coś z pożaru lub powodzi.

— Pamiętaj, że na ciebie czekamy — dodał Banaszczak, ale takim tonem, że ciarki przeszły mi po grzbiecie; wyraźnie był wściekły, widząc tu małą Zasławską.

Ogarnęła mnie złość; co to do cholery za kuratela? Bez jego przyzwolenia nie mam prawa poderwać sobie dziewczyny? Będzie mi wybierał baby do łóżka? Wygarnę mu i ustawię chama na właściwym miejscu. Opieprzę za napuszczenie mnie na tamtą w Świnoujściu. Wybiję te pomysły z jego zakutego łba! Nie będę obskakiwał każdej dziwki, z którą on prowadzi interesy.

Alfons!

A tę nachalną krowę także muszę ustawić; niech wreszcie zrozumie, że żaden Banaszczak nie zmusi mnie, abym ją kochał. I że nie ma takiego interesu na świecie, dla którego poświęciłbym swoją niezależność. Z Dorotą posiedziałem z godzinę i chociaż bardzo się starałem, nie wypadłem tak, jak bym chciał, bo obecność tej pary za plecami cholernie mi przeszkadzała. Toteż kiedy już chciała odejść, nie zatrzymywałem jej; odwiozłem do domu i tą samą taksówką wróciłem do „Homara”. Byłem napompowany złością, mógłbym mordować...

Wisieli tam jak para sępów; Halina miała czerwone placki na policzkach — na stoliku stała prawie opróżniona butelka. Gdy mnie zobaczyli, zaraz Banaszczak zmył się na zaplecze, pozostawiając mnie na pastwę tej podrajcowanej gorzałą zdziry.

Rzuciła się na mnie jak na padlinę; nie było takich plugawych słów, których nie wysyczałaby na Bogu ducha winną Dorotę, ta pani magister uważająca siebie za osobę kulturalną. Następnie mieszała z błotem mnie. Przeczekałem ten huragan.

— Zamknij się — powiedziałem wreszcie — i won! — tak jak i ona nie podniosłem głosu; czuliśmy mores przed Banaszczakiem i baliśmy się dać przedstawienie w knajpie, której on patronował. Oboje mieliśmy wyższe wykształcenie, oboje byliśmy ludźmi inteligentnymi i żywiliśmy dla niego pogardę, bowiem nie należał do naszego świata, a jednak górował nad nami

ten męć, był silniejszy, umiał narzucić swoją wolę.

Wyjątkowo w tej sytuacji było mi to na rękę, wyobrażam sobie, do czego byłaby zdolna ta klempa, gdyby nie strach przed szefem.

Skonsternowana po mojej brutalnej odzywce wlepiła we mnie spojrzenie wściekłej ropuchy, ale zaraz jej oczy złagodniały, zaszklily się łzami; wyprztykała się i teraz będzie ryczeć. O Boże prawosławny!

Dawniej używała tanich kosmetyków i od łez powstrzymywała ją obawa, że to świństwo natychmiast się rozmaże, ale teraz, gdy tynkuje się farbami Diora, a Soir de Paris chlapie na siebie jak wodę... Nic jej nie powstrzyma.

— Zapominasz, ile dla ciebie zrobiłam! — jej program był jak opoka, nie ulegał zmianom i żadne okoliczności nie miały nań wpływu; myślę, że nawet grzyb nad Warszawą nie zmieniłby jej repertuaru. Znikając w atomowej mgłę do końca ciągnęłaby nieugięcie swój monolog.

Nie było żadnego sposobu, aby przerwać ten potok słów, ale i mnie już poniosło, musiałem wkroczyć ze swoją kwestią. — Porzuciłaś dla mnie męża i cześć niewieścią, chociaż dalibóg jest to ostatnia rzecz, jakiej pragnę — dławiała mnie wściekłość, znów byłem brutalny — przeze mnie zostawiłaś dwa pokoje z kuchnią i wygodami, glazurę w łazience, dywan, telewizor, lodówkę i pralkę. Poniżasz się dla mnie i upokarzasz, także kradniesz dla mnie, narażając swe dobre imię, które zachowało się nie tknięte niemal przez pół wieku. Chyba z grubsza wszystko, jeśli coś pominąłem, to jakieś nieistotne drobiazgi! — jak ja jej nienawidziłem! Mógłbym w tej chwili z zimną krwią skrócić jej kark. I pomyśleć, że na początku tego związku, który był przecież związkiem dla interesu, była mi tylko obojętna.

— Porozmawiam sobie z tą małą kurwą i jej mamusią! — pragnęła krwi.

— Słuchaj, pulardo! Nie pokażesz się nawet w pobliżu jej domu, jeśli nie chcesz, aby

Banaszczak p r z y w o ł a ł cię do porządku!

Nieco otrzeźwiała.

— Umywam ręce, nie chcę mieć nic wspólnego z tobą ani z Banaszczakiem, już dosyć długo pozwalałam się wam wyzyskiwać — przestałem się wściekać, ogarnęła mnie bezbrzeżna nuda; program, mimo urozmaicenia z mojej strony, rozwijał się planowo i bez zakłóceń, nic nie pominęła, szło jak z taśmy.

— Umyj się cała! Wykąp w skrusze, wróć do męża, wyznaj publicznie grzechy. Adieu! — chciałem naprawdę wyjść.

— Kazi... — tak kabotyńsko zdrabniała moje imię, znów spojrzała na mnie pokornie, położyła mi na ramieniu tę swoją szeroką łapę. — Kazi... jesteśmy oboje podenerwowani, zapomnijmy o tej drobnej sprzeczce.

Ona to nazywa drobną sprzeczką! Była beznadziejna, była groźna przez tę swoją ustepliwość, nie było takiej obelgi, której by w końcu nie przełknęła, ale odetchnąłem, bo spektakl miał się ku końcowi.

Kazi... to wszystko przez to, że nie mieszkamy razem... — wydarła z siebie westchnienie krowy morskiej.

Przecież wiesz, że nie możemy... — powtórzyłem to, co mówiłem wielokrotnie.

Mieszkać z nią! Nawet Banaszczak — zdolny sprzedać własnego brata — też rozumie, że takiej ceny nie można zapłacić za żadne kokosy, za żaden szmal, jaki przy jej pomocy robimy.

— Gdy zakończymy pomyślnie nasze interesy, przecież to jeszcze tylko rok, ułożymy wreszcie i nasze prywatne życie! Za rok postaram się być zięciem Zasławskiego, ty stara małpo. Konflikt wygaś; skończyło się jak zwykle, przyniosłem jej trzydzieści czerwonych róż i odwaliłem szarwark. Ale przedtem miałem przeprawę z Banaszczakiem — pierwszą i jedyną w swoim rodzaju, i zdaje się dopiero wówczas zrozumiałem naprawdę, z kim mam do czynienia. Wtedy przestałem być harcerzem.

Zawołał mnie na zaplecze — ułagodzona Halina pomknęła już przygotować kolację — i wsiadł na mnie z punktu jak na łysą kobyłę.

— Zabraniam ci zbliżać się do małej Zasławskiej!

— A ja ci zabraniam w ten sposób do mnie mówić! Będę sypiał, z kim mi się podoba.

— Tylko nie z małą Zasławską.

— Nikt mi w tym nie przeszkodzi, a najmniej ty! — i już zupełnie niepotrzebnie, w sposób ordynarny, powiedziałem mu, co jeszcze dzisiaj będę z nią robił. To go rozjuszyło, nigdy nie widziałem go takim, chyba wziął mój bluff serio; dostałem bykiem w splot słoneczny i zwałem się na podłogę, skręcił mnie ból.

Nie miałem żadnych szans, zdałem sobie sprawę z jego zwierzęcej siły; dołożył jeszcze tylko dwa razy i ja już nie mogłem się bronić. Wtedy wziął mnie pod fleki, ale oszczędzał twarz.

Pastwił się nade mną w zaciętym milczeniu, zimno, metodycznie. Poznałem zawodowca; owadziim sposobem udałem nieżywego — wtedy przestał.

— Podnieś się — chlusnął mi w twarz wodą.

— Nie mogę — jęknąłem; naprawdę byłem zbity, ale także bałem się pokazać, że mogę się ruszać, aby znów nie rzucił się na mnie.

— Możesz — usiadł z dala ode mnie i zapalił papierosa.

Dźwignąłem się ostrożnie i czujnie patrząc na tego goryla, także usiadłem; skulony — już nie udawałem, bo podbrzusze rwał mi tępy ból.

Wtedy zacząłem się go bać, i być może właśnie tamta chwila zdecydowała o moim późniejszym postępowaniu, rozstrzygnęła wszystko.

— Małą Zasławską pozostawisz w spokoju! Będziesz ją omijał z daleka.

— Myślałby kto, że to twoja córka.

— U dużych psów jest taki moment, dzieje się to wtedy, gdy przestają być szczeniakami, że

rzucają się na swego pana. Wtedy należy przywołać je do porządku, w przeciwnym wypadku będą zawsze lekceważyły i gryzły swego lidera. Przypominasz mi takiego psa.

— Nie mam doświadczenia w stosunkach z bandytami!

— Nie masz. Bo i gdzie je miałeś zdobyć? Szlifując parkiety i barowe stołki? Pieprząc dziwki, dość głupie, aby się dać nabrać na twoją gładką gębę? Byłeś pod kreską, byłeś goły, a ja dopuściłem cię do poważnej roboty, wziąłem...

— Aby mnie wypuszczać na baby!

— Bo do niczego innego się nie nadajesz!... Tak patrzę na ciebie i widzę, że ty niczego nie zrozumiesz i pewno z takim cholernym felerem przyszedłeś na świat; Pan Bóg musiał być już bardzo zmęczony, kiedy cię zrobił, i żadnej rady na to nie ma, do śmierci taki pozostaniesz, więc muszę wkuć w twój wybrakowany mózg pewne prawa rządzące światem. Pierwsze: nie paskudzi się tam, gdzie się żre!

— Ty chamie! — jaki ja wtedy byłem jeszcze głupi, stać mnie było tylko na epitety.

— Od salonów trzymam ciebie i za to ci płacę — nie reagował na obelgi. — A teraz dobrze nastaw anteny! Drugiego ostrzeżenia nie będzie, i proś Boga, żeby matka tej małej nie przyszła ze skargą na ciebie. Żeby nie było żadnych zażaleń!

— Dotychczas nie ma — nienawidziłem go teraz i cholernie się bałem, ale pojąłem, o co chodzi; on miał rację, Zasławska była w tej hewrze, przecież jej wozem, nie czyim innym, goniłem do Świnoujścia i na różne inne mety.

— Musisz się bardzo starać, aby nie było — i jakby czytał w moich myślach: — stale pamiętaj, na jakich warunkach tam jesteś. Żadnych poufałości, żadnych zwierzeń i niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy wspominać o tym samochodzie... Matkę także z planów erotycznych wyłącz... Cymbał jesteś, więc muszę ci abecadło wykladać, najprostsze prawdy w łeb wbijać, jakie każdy facet ze szpany wie. Ale cóż, ty jesteś ni to, ni owo, czyli ni to, ni to, a

tacy są najgorsi... Intelligent jesteś i artysta, a do tego masz wielkie wyobrażenie o sobie, chociaż zdolny jesteś do każdego świństwa, każdemu gnoja możesz zrobić i jeszcze gorzej, jeśli ci się tylko uda... W tobie nie ma do nikogo żadnej lojalności, bo ja dla ciebie prostak i cham, to się nie poczuwasz, inni za mało cię podziwiali i uważałeś, że mają mniej talentu, że są mniej od ciebie niezwykli i te ich miałeś może nie za chamów, ale za gorszych od siebie... A ty jesteś zgrana karta, taki knajpiany as... Jedyne twój atut to ta gładka gęba i wzięcie u bab... To chyba nie twoja wina, że taki już jesteś, ale zaufać ci nie można... Nikt ci nie zaufa i nie powinien Ja ci też nie ufam... Dzisiaj potraktowałem cię ulgowo. Uczyłem cię dyscypliny, odrabiałem zaniedbania wychowawcze, tak to się teraz modnie nazywa, prawda? No, więc pamiętaj, szefa należy słuchać!... drugie ostrzeżenie będzie cięższe. Twój cały kapitał to ładna twarz, więc uważaj, aby ci jej nie przefasonowano... do tego trzymam specjalistów, po ich zabiegu żadna operacja plastyczna ci nie pomoże... Trzeciego ostrzeżenia się nie daje. Potem takiego wyławiają z rzeki albo znajdują z kilkoma piórami w plecach.

— Przyjemniaczek z ciebie... Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś wcześniej, zanim wciągnęłaś mnie w tę aferę.

— Dzisiaj jeszcze możesz zrezygnować, namyśl się — znowu mnie zaskoczył: nie byłem jednak pewny, czy tylko mnie próbuje, czy mówi serio. Nie chciałem być wyłowiony z rzeki ani znaleziony z nożem w plecach.

— A co zrobisz z Haliną? — usiłowałem go jakoś wymacać.

— Moja sprawa. Bierzesz dolę i żebym o tobie więcej nie słyszał. Ale o rękę małej Zasławskiej będziesz zabiegał już nie jako ich sublokator.

Przejrzał mnie; czytał we mnie ten prostak jak chciał, a ja dotychczas grosza bym nie dał za jego przenikliwość.

— Jesteś pewny, że mi wymówią?

— Spróbuj, to się przekonasz — powiedział to z niezachwianym przekonaniem; musiał mieć ku temu podstawy, bo i to już poznałem, że był cholernie odpowiedzialny za każde swoje parszywe słowo, a im było parszywsze, tym było bardziej pewne, że zostanie dotrzymane. Sytuacja była jasna; ten goryl może być niebezpieczny, ale byłbym głupi, gdybym się teraz wycofał; interes był nareszcie nakręcony i prawie pewny, nareszcie zaczynał sikać forszą. Ja ryzykowałem najmniej, gros hazardu spoczywał na Halinie i Banaszcaku. Miałem cholernie wygodną pozycję w tej spółce, bo nie byłem uwiązany jak pies, a moje talenty towarzyskie, wzięcie i obrotność sprawiały, że byłem prawie niezastąpiony przy akwizycji, toteż moja dola wynosiła niewiele mniej niż kaniota Banaszcaka i Haliny; inni opłacani byli znacznie skromniej, oczywiście według zasług, po odliczeniu tego, co pochłaniał transport, łapówki i w ogóle koszty manipulacji. Więc musiałbym upaść na głowę, aby właśnie teraz zrezygnować.

Muszę mieć pieniądze, zanim dobiore się do kasy papy Zasławskiego! Inaczej mnie będą wówczas oceniali — nawet oni, rzekomo nie przywiązujący wagi do tak prozaicznych spraw — jeśli dowiedzą się, że wchodzi do rodziny nie golec, a przeciwnie, facet rozporządzający ładnym kapitałem i to w mocnych walorach.

Moje plany względem Zasławskich, a z każdym dniem bardziej chciałem zahaczyć się tam na stałe były więc w jakiś sposób uzależnione od tego męta; wyglądało na to, że trzymał w szachu Zasławską, a może i profesora.

Nie może mi szkodzić, gdy będę z nim szedł ręka w rękę; a jako zięć profesora–doktora Zasławskiego i ojciec jego wnuka będę się mógł spokojnie wypiąć na Banaszcaka.

— Nie mam zamiaru rezygnować ze spółki... Chyba nie dziwi cię, że nie jestem zachwycony sposobem, w jaki mnie potraktowałeś.

— Konie w jednym zaprzęgu muszą iść równo — lubował się w takich przypowiastkach. — Masz się słuchać, nie pytać, nie mędrkować, rządę ja...

— Przez rok jestem twoim niewolnikiem — podkreśliłem ten rok, ponieważ na początku, gdy wciągał mnie do gry, mowa była o roku.

— Później nie będziesz potrzebował pieniędzy?

— Przecież sam mówiłeś, że nie można tego ciągnąć w nieskończoność — przypomniałem mu jego własne słowa.

— Moje słowo nie dym... Ale przez ten rok pamiętaj, żadnych zagrywek z małą Zasławską.

— Ja o niej poważnie myślę, słowo! Mam trzydzieści pięć lat i chcę się wreszcie ustawić życiowo. Przecież przy moich oficjalnych dochodach nawet syrenka na raty jest podejrzana... A w końcu po to z tobą kręcę, żeby ten szmal wreszcie wydawać. Mnie nie bawi złoto w pończosze, tylko to, co mogę za nie otrzymać! Pomijając inne względy, jako zięć profesora Zasławskiego będę mógł wydawać forszę bez obawy, bo to murowany szyld... I o co ci chodzi, żałujesz mi tej dziewczyny? Zachowujesz się jak pies ogrodnika...

— Tak jak powiedziałem: wycofasz się z interesu, wyprowadzisz od Zasławskich i wtedy startuj, Bóg z tobą! A teraz dość gadania o tym!

— A wtedy nie będziesz mi rył?

— Wtedy to mnie będzie gównem obchodziło! Ale teraz wiąże mnie słowo dane jej matce...

Gnoju! Ludzie wiele zniosą, ale każdy ma swoją barierę, a dla niej to ta dziewczyna. I ja ją rozumiem, bo ostatnią rzeczą dla matki byłoby pragnąć za zięcia taką kanalię jak ty!

* * *

Jakżeż mi jej było żal, tej mojej biednej, znękaney starej. Wszystko jej wybaczyłam widząc ten jej rozpaczliwy niepokój o mnie. Chwilami łapię się na tym, że mam dla niej uczucia starszej siostry.

— Matka, ty się o mnie nie martw, ja w niego nie wdepnę, czy nie widzisz, że on jest nieprawdziwy? Tylko go nakłuć, a zwiędnie w oczach i nie zostanie z niego nic... może ten

śliwkowy garnitur?

Pogładziła mnie po głowie i nie uwierzyła; przytuliłam się do niej jak wtedy, gdy jeszcze byłam małą dziewczynką.

Och ty moja jawnogrzesznico — tak mi się jakoś biblijnie pomyślało, pomogę ci, zrobię wszystko, aby cię uwolnić od tamtej zmory.

Podczas imieninowego przyjęcia miałam przeprawę z tą moją piękną Mutter o sukienkę; rzeczywiście kieca była ekscentryczna, wycięłam w niej dekolt do pępka, bo chciałam wyglądać trochę doroślej i w ogóle zwrócić uwagę.

Zrobiłam to naturalnie ze względu na Omerowicza, aby mnie zauważył w tym tłumie kobiet.

Imieniny matki to istny spęd.

Zagranie z sukienką było zupełnie zbyteczne i tylko niepotrzebnie napędziłam stracha mojej matuli. Omerowicz dostrzegłby mnie nawet w habicie i nawet gdybym była pryszczata i koślawa; byłam w jego programie — takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Nie domyślałam się na razie, czy to jego oryginalny pomysł, po prostu chce się ze mną przespać, czy też zalecenie tamtego draba Banaszczaka. Bo co do tego, że Omerowicz to pajac tego wstrętnego typu i że to tamten pociąga za sznurek, sam pozostając w cieniu — od początku nie miałam żadnych wątpliwości. Tego pamiętnego wieczoru zastanawiałem się także, dlaczego Omerowicz tak się wszystkim podlizuje. Aż się skręcał z ochoty, aby wszystkim dogodzić, usłużyć, podobać się. Czy to cecha charakteru? Czy chce coś osiągnąć wkręcając się jak owsik.

Przyuważyłam dzień, kiedy wyjechał. A jakże, nie omieszkał poinformować mnie, że obowiązki służbowe niosą go do Świnoujścia.

— Do Szczecina polecę samolotem — pochwalił się, abym broń Boże nie pomyślała, że swoją niezwykłą d... będzie deprecjonował w pociągu. Kabotyń!

Szczecin, Świnoujście — na te nazwy będę chyba wyczulona do końca życia; i to nie mógł

być prosty zbieg okoliczności. Na pewno ten błazen w jakichś ciemnych sprawach jedzie do Madame Kulik. Znając profesję tej pani podejrzewałam, że ci dwaj naganiają dziewczyny do willi „Rusałka”.

Sutenerzy! O Boże, wciąż nie mogę strawić tej okropnej wiedzy, jaką posiadałam w czasie letniej wyprawy do Szczecina. I pomyśleć, że moja matka, a z nią ja i niczego nie przeczuwający ojciec, musimy kogoś takiego tolerować pod wspólnym dachem. W dniu, w którym wyjechał, nie poszłam do szkoły, tylko zakradłam się do jego pokoju; inspekcję przeprowadziłam dokładnie, uważając, aby żaden ślad nie zdradził mojej wizyty na mansardzie.

Wszystko tu było na efekt; istna wystawa. Przewidywał zatem ten pozer, że ktoś może zajrzeć do pokoju w czasie jego nieobecności.

Na sztalugach rozpięte zagruntowane płótno z zaczętych szkicem i mogłabym się założyć, że tkwiło tam od dobrych kilku lat, ale farby, paleta, a nawet pędzle były upozowane w taki sposób, jak gdyby dopiero co przerwano robotę. Artysta!, może, ale aktor kiepski.

Na długim stole, wspartym na rzeźbionych krzyżakach, wśród pstrych plam od farb i lakierów, niezliczone słoiczki, flaszeczki; w specjalnym stojaku piórka, pędzelki, jakieś rylce. Leżało także kilkanaście prostokątnych kartonów. Jedną ich stronę w całości pokrywała złoto–błękitno–czerwono–czarna arabeska. Poznałam koszulki kart.

Ale druga strona była gładka, miała tylko wyciśniętą jak gdyby ramkę, tak że brzegi o jakiś ułamek milimetra były wyższe niż prostokąt w środku.

Oddzielnie leżał stosik kartoników, z zaznaczonym konturem figur karcianych, jeszcze nie pokrytych polichromią, ale i te miały na awersie odcisniętą taką samą ramkę.

Aha, on je skleja z dwóch płaszczyzn.

Szuflady komody były zamknięte — kluczy nie było, a żadne z tych, którymi dysponowałam, nie pasowały. Próbowałam, czy nie da się wyjąć pleców komody, ale pseudoantyczny mebel miał

solidną stolarkę.

Ciekawe, co też ukrywa w szufladach? Ale ja znajdę sposób na te schowki.

Czego mu naprawdę zazdrościłam, to magnetofonu; szwedzki, stereo. Masa nagrań.

Żałowałam, że nie mogę ich przesłuchać. To nic, wymyślę pretekst, aby tu przyjść w czasie jego obecności i wtedy przesłucham. Ciekawe, co to za nagrania, czy także na pokaz, jak ta jego pracownia malarska?

Zaintrygowała mnie prasa. Dwie masywne, dębowe dechy w imadle na żeliwnej podstawie; skromnie stała w kącie pod oknem, przysłaniała ją stora.

Do czego mu to potrzebne? — medytowałam. Poruszyłam rączką — była dociśnięta do oporu.

Porządnie się namęczyłam, zanim ruszyłam śrubę zwalniającą gwint i uniosłam górny przycisk.

Między dechami leżała dopiero co przygotowana talia kart; miała już symbole i wykończony kolorowy ornament, ale była jeszcze matowa, nie powleczona werniksem.

Nie dotykałam ich, aby nie zmienić położenia; zakręciłam prasę i wymknęłam się z pokoju.

Wtedy sądziłam, że nie dowiedziałam się niczego istotnego i byłam zła.

Trzeba pogadać z kumplami — pomyślałam — może pomogą sforsować komodę, tylko, psiakość, nie mogę się przyznać, po co mi ta cała zabawa!

Zaczęło mnie coś nurtować, coś zupełnie nieokreślonego, gdy Omerowicz poprosił mnie do siebie na górę, bo wrobił ojca w przekazanie prezentu dla kogoś do Paryża. Rzecz sama w sobie zupełnie niewinna.

Poszłam po ten prezent, rozglądałam się po mansardzie, jakbym tam nigdy przedtem nie była.

Przyglądał mi się spod oka i widać było, chociaż starał się tego nie okazywać, jak pęcznieje z dumy, jaki to on, panie dziej, niezwykły, jaka z niego indywidualność, że nawet sublokatorski pokój potrafi zamienić w przybytek sztuki. Zapytałam go wtedy o portret Doriana Graya i złąłam się, że aluzja jest zbyt przejrzysta.

Gdzie tam! ten wałkoń ma tak znakomite zdanie o sobie, że żadna myśl się przez to nie przebije. Na przyszłość jednak muszę powściągać ten swój wężowy ozór, bo a nuż zorientuje się, że ja coś wiem...

Prezenterem przeznaczonym do Paryża na rue Lafayette okazały się malowane przez Omerowicza karty, identyczne jak te, które wzbudziły taki zachwyt Winiarskiej, aż uznała je za dzieło sztuki.

Owszem, są ładne, nawet przyjemna chałtura, ale żeby aż dzieło sztuki? Duża przesada. Jeśli to szczyt jego możliwości, to do śmierci zostanie artystą zapoznanym.

Talia, którą pakował, to była ta spod prasy.

Wypisywał adres — nie omieszkał poinformować, że ulica Lafayette leży na Montmartrze — i wciąż gadał. Udawałam zainteresowanie jego głędzeniem, ale myślałam o kartach.

Przypomniałam sobie te połówki leżące na stole w czasie gdy myszkowałam po jego pokoju, a najbardziej nie dawała mi spokoju wklęsła ramka, chociaż nie zdawałam sobie sprawy, dlaczego właśnie ten szczegół tak zaprzęta moje myśli.

Cały czas dręczyły mnie nieokreślone podejrzania.

Prezent Omerowicza zaniiosłam do siebie, zamknęłam się na klucz i obejrzałam każdą kartę; nic szczególnego nie zauważyłam, ale wtedy nareszcie z r o z u m i a ł a m , dlaczego ramka jest wklęsła!

Te kartoniki są klejone z dwóch płaszczyzn, obie płaszczyzny mają wewnątrz niewielkie wgłębienie w kształcie prostokąta, rodzaj niezwykle płaskiego pudełeczka, w którym można ukryć... na przykład cienki papier lub bibułkę!

Eureka! Zaslawska, jesteście inteligentna! Dostałam wypieków, w głowie kłębiły mi się fantastyczne przypuszczenia. Uczennica na tropie afery szpiegowskiej — pomyślało mi się tytułem z popołudniówki.

Przemknęłam się do biblioteki i jak sroka chwyciłam tamte karty подарowane ojcu; szkło powiększające miałam — pochodziło z epoki pasjonowania się kolekcjonowaniem znaczków pocztowych.

Znów zarygłowałam się u siebie i zaczęłam dokładnie badać kartę po karcie. Mój domysł potwierdził się. Były spajane z dwóch płaszczyzn, tylko ta talia miała nieco odmienną polichromię, zarówno w kolorze, jak i w technice.

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami wzięłam żyłkę i usiłowałam rozdzielić jedną z kart. Kiepsko mi to szło, klej trzymał jak beton, karton był twardy, zacięłam się w palec, ale róg rozdwoiłam — pociągnęłam!

W środku nie było afery szpiegowskiej, tylko prozaiczne sto dolarów!

Stałam dobrą chwilę i gapiłam się jak cielę na ten niewielki zielony papierek.

Co robić? — ocknęłam się wreszcie; wzbierała we mnie wściekłość. Przede mną leżał kompletnie rozbebeszony i podarty kierowy as. Tego już żaden mistrz nie naprawi! Banknot na szczęście był cały.

Co teraz masz zrobić, Zasławska, rusz mózgiem! Szlag mnie trafił! Jak ta kreatura śmie, jak śmie wykorzystywać mojego ojca do swoich parszywych machinacji!

Byłam tak wściekła, że w pierwszej chwili chciałam, nie zważając na nic, biec do ojca i pokazać mu ten numer... Nie miałam wątpliwości, w jaki sposób stary załatwi faceta, usiłującego ordynarnie zrobić go w konia; da pajacowi po mordzie, co mu już się dawno należało, i z punktu wyrzuci za drzwi!

I co dalej? — z wolna trzeźwiałam po pierwszej furii. Co robi Banaszczak, gdy sprawa przyjmie taki obrót? Tego nie umiałam przewidzieć, ale czułam, że to może skończyć się fatalnie dla mojej matki. I jeśli zupełnie nie umiałam sobie wyobrazić, jak ojciec odniósłby się do spraw sprzed lat dwudziestu, to prawie byłam pewna, że obecna uległość matki wobec tego gangstera

spowodowałyaby u starego reakcje nieobliczalne.

Potem mógłby tego żałować, bo to przecież impetyk, ale skutki takiej draki bywają czasami nieodwracalne. Matka ma rację, gdy twierdzi, że czasami jestem dziecinna; no bo proszę, po raz pierwszy w życiu staję wobec sytuacji zmuszającej mnie do podjęcia samodzielnej decyzji, a to z mety wyzwala we mnie pragnienie, aby polecieć do „tatusia” i zwalić na niego cały paszтет!

Stop!

Schować te faszerowane karty i kazać wynosić się Omerowiczowi do diabła? One wprawdzie są jakimś atutem, ale tylko wobec tego błazna, natomiast nie dotyczą Banaszczaka. W każdym razie zbyt mało na szantaż! A jeśli przedwcześnie zaczepię jego współnika, ten gangster zemści się na matce...

Tak źle i tak jeszcze gorzej.

Jedno jest pewne. Żeby czort na diabła laził — jak mawia Aniela, ojciec nie powiezie tej cholernej kontrabandy.

W takim razie i wyjście jest tylko jedno; nafaszerowane dolcami talie zostaną u nas, zamiast nich zapakuję karty podarowane ojcu przez Omerowicza, i niech się dzieje co chce! Nie mogę rozdzielić wszystkich tych kart, bo kto to potem naprawi, ale jestem pewna, że we wszystkich tkwią niemałe pieniądze; przecież do zbadania wyciągnęłam pierwszą z brzegu, a ten pajac nie zadawałby sobie tyle trudu dla przemycenia tylko stu dolarów!

Zrobiło mi się śmiesznie, gdy wyobraziłam sobie minę adresata, tego cholernego faceta, który na rue La Fayette w Paryżu czeka na suvenir z Warszawy. Szkoda, że nie zobaczę jego gęby, gdy nie znajdzie oczekiwanej forsy w tych wspaniałych kartach. Zbaranieje prostaczek boży!

No dobrze, ale co ja mam zrobić z tym parszywym kierowym asem?

Ten w Paryżu otrzyma pełne talie, ale w nadziejących, które pozostaną u nas, także nie może żadnej brakować!

Muszę mieć natychmiast drugiego kierowcę asa!

Zakrać się do Omerowicza i rąbnąć mu jeszcze nie sklejoną kartę? Dolicz się, przecież ta robota jednak wymaga precyzji, on tych kart nie trzaska taśmowo.

Kiedy już byłam w czarnej rozpacz, spłynęło na mnie olśnienie; uratować mnie może tylko Pinokio! Oczywiście Pinokio — zupełnie o nim zapomniałam.

Nazywał się Stefan, przezwaliśmy go Pinokio, bo poruszał się podobnie jak baśniowy pajacyk z drewna i był podobnie sympatyczny.

Pinokio był dziwak, a w którejś tam klasie nagle objawił się u niego talent do malarstwa. Malowanie stało się jego wielką pasją i z latami wcale mu to nie przeszło. Przeciwnie, spotęgowało się, stało się stanem chronicznym.

Zapamiętałem uczył się historii sztuki i w tej dziedzinie był erudytą, ale z fizyki i chemii najczęściej zbierał dwóje. W taki sposób oblał w ubiegłym roku maturę i tu zaczął się dramat. Jego rodzice bardzo chcieli wykierować go na porządnego człowieka, czyli inżyniera, zaś Pinokio nie mógł być inżynierem, natomiast bardzo pragnął skończyć liceum plastyczne, a potem Akademię.

Konflikt przebiegał burzliwie i Pinokio odszedł z domu; starzy nie zatrzymywali go, byli przekonani, że marnotrawny syn nabierze w końcu rozumu i skruszony wróci. Pinokio był twardy, nie wrócił.

My, jego koledzy, byliśmy zdania, że być może społeczeństwo straciło na tym kiepskiego inżyniera, ale są widoki, że zyska ciekawego artystę.

Pinokio koczował po kolegach, i jak to często bywało, dłuższy okres czasu gościł także u nas; miał tu spokój, nikt mu nie zatruwał życia, toteż malował po całych dniach na kartkach, na gazetach, jeśli akurat nie miał pieniędzy na materiał i farby. Był bardzo ambitny, nigdy nie przyjąłby pieniędzy, których by sam nie zarobił.

Pinokio nie był wyjątkiem—; przyprowadzałam do nas różnych „lokatorów” i moi starzy traktowali ich zawsze przyjaźnie. Mieli tak rzadką wśród innych rodziców cechę, że odnosili się z dużą wyrozumiałością do życiowych impasów młodych ludzi; poszukiwanie odrębności czy to w sposobie życia, czy tylko w wyglądzie zewnętrznym traktowali naturalnie — jak prawo natury! Stąd też przyjaźniłam się z gromadą bardzo różnych chłopców i dziewcząt, w większości jednak byli to chłopcy; młodszy ode mnie i starsi, nie zawsze najlepsi uczniowie, nie zawsze kryształowi — niektórzy pochodzili z tak zwanych złych rodzin i z tak zwanego marginesu. Często trudni, szorstcy, ale myślący, wrażliwi. Nikt ich u nas nie indagował a przecież nieraz trzeba było takiego przenocować, nakarmić — nikt nie wypytywał o sprawy trudne, jeśli sami o nich nie mówili.

Może za to zaufanie właśnie moi koledzy tak lubili moich starych, ba! szanowali ich i nigdy nikt nie zrobił żadnego gnoja!

Ostatnio Pinokia przygarnął jakiś malarz z pokolenia Kolumbów, mający pracownię z prawdziwego zdarzenia i dobre warunki mieszkaniowe. Facet okazał się człowiekiem bezinteresownym, nie był także pederastą jak kilku innych, którzy poprzednio wyrażali gotowość zaopiekowania się młodym adeptem sztuki.

Pojechałam na Stare Miasto.

Pinokio, ratuj! — pokazałam mu strzępy karty, nie wtajemniczając go w szczegóły.

— Ma być identyczna — obejrzał polichromię, a nawet te wklęsnięcia wewnątrz; obiecał na następny dzień.

— Tylko nie sklejjaj płaszczyzn, sama to zrobię!

Dziesięć tomów encyklopedii zważyłam na duplikat kierowego asa, gdy już umieściłam w środku sto dolarów, a brzegi posmarowałam klejem.

Kiedy wreszcie wyjęłam kartę i zgodnie z zaleceniem Pinokia pociągnęłam werniksem, który

także dał mi nieoceniony chłopak, kierowy as nie różnił się na oko niczym od pozostałych kart.

Teraz obie faszerowane dolicami talie włożyłam do szuflady ojca, a tamte подарowane mu przez Omerowicza zapakowałam — następnego dnia ojciec wyjechał do Paryża.

Omerowicz zaprosił mnie na kawę do „Homara”; oczywiście skorzystałam. Przyszłam wcześniej i pierwszą twarzą, jaką zobaczyłam, była gęba tego typu; poznał mnie, uklonił się z daleka i zniknął na zapleczu. Wychynał dopiero wówczas, gdy pojawił się Omerowicz.

Omerowicz był nieswój; wyraźnie krępowała go obecność Banaszczaka, który przysiadł się na sali do jakiejś kobiety. Ona gwałtownie gestykulowała i ukradkiem spoglądała w stronę naszego stolika — pili wódkę.

Upłynęło kilka dni i wydawało mi się, że nasz lokator mnie unika, może był mocno zajęty?

Nie, to nie to. Zdaje się że Banaszczak był zły na niego za sprowadzenie mnie do „Homara”.

Czyżby ten drań się czegoś domyślał?

Ale w jaki sposób! Widział mnie jeden raz przez niespełna pięć minut, i to kilka miesięcy temu, wtedy, w naszej bibliotece.

A może „Homar” to coś w rodzaju pensjonatu madame Kulik ze Świnoujścia?

W jakiś czas po tej nieudanej kawie zapukał do mnie Omerowicz. Przyniósł dwie, rzeczywiście ciekawe tkaniny. Okazało się, że to właśnie są batiki. Nie przyjąłem, odesłałem go z tym do matki. Tak będzie o wiele zręczniejsze.

— Ma pani wolny wieczór? — skinęłam głową. — Mam nowe nagrania, posłuchamy?

Zgodziłam się, ciekawa, co się za tym kryje; zdążyłam już zauważyć, że on nic nie robił spontanicznie, wszystko było mniej lub więcej wyrozumowane. Odnotowałam także, że szukał mego towarzystwa zawsze pod nieobecność matki i możliwie z dala od oka Anieli. Widocznie miał jakieś plany w związku z moją osobą, to nie ulegało wątpliwości, ale nurtowało mnie pytanie, które o dziwo wciąż nie było mi obojętne, czy interesuję go jako dziewczyna, czy też

działa na polecenie swego protektora?

Wieczorem przyszedłam na mansardę; w pokoju palił się tylko boczny kinkiet pod miodowym abażurem; z boku, na smoliku na kółkach, wykładanym ceramicznymi płytkami, stało wino i koniak. Magnetofon i taśmy były przygotowane na podłodze obok tapczanu.

Chata, gęśle i szkło! Czy ten wałkoń ma nadzieję spoić mnie w moim własnym domu? Porę wybrał właściwą — dom był pusty. Aniela śpi na dole, matka z dyżuru wróci nazajutrz rano.

Przycupnęłam w fotelu jak ostatnia cielęcina. Na razie postanowiłam zagrywać prostaczka bożego, co o życiu nie ma pojęcia. Usiadł obok mnie — włączył adapter. Czarował mnie Mozartem, taki koneser!

— Trochę wina? — przysunął barek; miauknęłam, że tylko troszeczkę.

Sączyłam wino, słuchałam, jak tokuje i chciało mi się śmiać, bo takie to było tanie, wręcz prostackie i w ogóle okropne. A on niczego nie dostrzegał, siedział już twardo w roli, był smutny, niezrozumiany przez świat, subtelny i liryczny, oczarowany... mną, dziewczyną jego życia!

Ach ty bałwanie — wewnątrz ziewałam; stanowczo go przeceniałam, posądzając o lepszy repertuar. Stary koń, trzydzieści pięć lat i takie banały, widocznie tak się rwało dziewczyny za czasów jego młodości, skostniał w tej manierze.

Bardzo zręcznie znalazł się blisko mnie, pięknie upozowany na poręczy fotela, na którym siedziałam. Wlepił we mnie te swoje naprawdę ładne oczy, brązowe, ciepłe, pełne wyrazu, tak znakomicie maskujące to nijakie wnętrze.

— Nie cierpię obłapek! — strząsnęłam jego rękę, bo już się wila na moich udach.

— Nie zrobię pani żadnej krzywdy, Doroto!

Uuch, co za cymbał, gdzie on się taki uchował? Amant z przedmieścia.

— Córce profesora Zasławskiego nie można zrobić krzywdy! — strzeliłam to, zanim pomyślałam, i doprawdy nie wiem dlaczego powiedziałam taką bzdurę; chyba przejęłam jego

styl, bo on oprócz tego swojego nic emanował snobizmem.

— Ale można się z nią ożenić! — powiedział to ze śmiertelną powagą i... ucałował moją rękę. Tak, u c a ł o w a ł , a nie pocałował, uroczyście i z namaszczeniem, jakby się oświadczał. Otóż i jego plan! Chciał zapaść korzenie w naszym domu. Chciał się ożenić z naszą willą, tytułami i pieniędzmi mojego ojca i na dodatek ze mną. Moje ojczyisko nawet nie przeczuwa, kto się ubiega o jego rękę.

— Pan mówi poważnie? — zrobiłam minę zachwyconej idiotki, co mi to szkodzi.

— Najpoważniej! Myślę tylko, że należałoby zaczekać do pani matury — szybko zmierzał do celu ten stary młodzieniec; nawet szczegóły miał już obmyślane.

— Muszę się pozbierać... to takie nagłe... — nawet nie bardzo udawałam oszołomienie, bo temu zarozumiałemu wałkoniowi nie mogło przejść przez myśl, że tak wspaniałomyślna propozycja, od tak świetnej osoby mogłaby nie olśnić takiej gęsi jak ja.

— Chodźmy do „Homara” na resztę wieczoru — zakaprysiłam jak kobieta, której się dopiero co oświadczone. Przednie się przy tym bawiłam. Dla samej zgrywy warto było tu przyjść.

Oklapł nagle jak nakłuty balon; z tego lwa, jaguara, tygrysa, został nagle nędzny, przyczajony w kącie, lękliwy kotek. Widocznie nie był przygotowany na taki obrót sprawy i zaczął kręcić; nie lubi lokali, tu jest tak przyjemnie, napijmy się wina...

— Za krótko się znamy, obłapek nie będzie — zawiadomiłam ostentacyjnie i pożegnałam go z pewnym chłodem.

Usiłował mnie zatrzymać, ale już bez żadnych poufałości.

— Proszę nikomu nie mówić o moim wyznaniu... Oczywiście, dopóki się pani nie zdecyduje

— wydukał na zakończenie tego szampańskiego wieczoru.

— Zgoda, mój dobry człowieku — kiwnęłam mu głową; czułam pogardę dla tego szczura.

Domyślałam się, że Banaszczak niechętnie toleruje mnie w „Homarze” i stąd te wykręty.

Postanowiłam się przekonać.

Następnego dnia poszłam do „Homara”, zamówiłam sobie kieliszek wina. Posiedziałam dobre pół godziny, zanim mnie spostrzegł Banaszczak. Wszedł w towarzystwie kobiety, którą widziałam już z nim, gdy byłam tu poprzednim razem, i zaraz podszedł do mnie.

— Dzień dobry — nie pytając o pozwolenie przysiadł koło mnie. Odpowiedziałam na pozdrowienie. — Czeka pani na kogoś?

Milczałam. Spojrzałam na niego z miną: a co cię to obchodzi?

— Panno Doroto, bardzo proszę, aby pani więcej nie przychodziła do „Homara”. Było więc tak jak przypuszczałam; teraz najrozsądniej byłoby wstać i wyjść, ale tego nie mogłam zrobić, bo w końcu jakim prawem ten facet wyprasza mnie z lokalu dostępnego dla wszystkich.

— Równie dobrze ja mogę pana wyrzucić z tej budy!

Zbaraniał; przez moment na amen go zamurowało. Wlepił we mnie oczy, tylko zwarły mu się szczęki.

— Mam identyczne prawo — atakowałam, bo się go bardzo złąkłam. — W szatni wisi taka tabliczka: lokal agencyjny, agent Brygida Kostrzyca... O ile znam się na anatomii, pan nie jest Brygidą Kostrzycą?

— Pani jest bardzo rozpieszczona... — wysyczał, odwrócił się w stronę baru: — Bisiu! — barmanka przybiegła jak karny żołnierz.

— Pani obecność w moim lokalu jest niepożądana — wyskandowała jak z dawna wyuczoną lekcję i wróciła za bar.

— Moje dziecko — podjął z podejrzaną dobroduszością Banaszczak. — Jeśli nas nie posłuchasz, na przyszły raz... spiorę ci dupsko, bo to skuteczny i wypróbowany sposób na krnąbrne dzieci... Wówczas będziesz się mogła poskarżyć mamusi, a ja zawiadomię ją, że musiałem naprawić jej zaniedbania wychowawcze!

Boże! jak ja go w tej chwili nienawidziłam. Zdolna byłam rozedrzeć go na sztuki. Jak on śmie tak do mnie mówić? W taki sposób nikt w całym moim życiu do mnie się nie odnosił.

Nie powiedziałam już nic, ani słowa, aby nie narazić się na dalsze upokorzenia. Wstałam i wyszłam jak niepyszna. Z wściekłości chciało mi się płakać.

I ja chcę walczyć z tym brutalem? Przecież na niego trzeba siły, dosłownie fizycznej siły, która by rozkwaśła tę bezczelną mordę, ugięła ten byczy grzbiet, zmusiła do respektu.

Jeśli nie siłą, to sposobem, ale tego mu nie daruję!

Wychodząc z „Homara”, zauważyłam wlepione we mnie oczy kobiety, z którą przyszedł Banaszczak. Tragiczne oczy — pomyślałam. Patrzyły na mnie nieżyczliwie; były cierpiące, krzyczały i nienawidziły!

Ale dlaczego mnie wyrzucił, czyżby coś podejrzewał? A może chce być lojalny względem mojej matki. Bez skrupułów używa szantażu dla załatwienia swoich ponurych spraw, ale ściśle przestrzega umowy... Chce oszczędzić jej dziecko, utrzymać mnie jak najdalej od swego procederu. Robi to brutalnie, lecz konsekwentnie. I chyba Omerowiczowi zakazał zbliżać się do mnie, dlatego ten tchórz nie chciał iść ze mną do „Homara”.

A więc plany matrymonialne tego wałkonia to jego własny pomysł. Ciekawe, jakby zareagował Banaszczak, gdyby się o nich dowiedział?

O zajściu w „Homerze” nie wspomniałam matce, nie wspomniałam, że w ogóle znam tę knajpę. Miałam nadzieję, że Banaszczak także jej nie zawiadomi.

Następnego dnia zadzwoniła do mnie pani Halina Klim; zaproponowała spotkanie w kawiarni „Bristolu”; nie miałam pojęcia, kto to jest, była tajemnicza, nie chciała powiedzieć, w jakim celu chce się ze mną zobaczyć.

— Proszę przyjść do mnie... — podałam adres.

— Nie, to niemożliwe, tylko w kawiarni! — gwałtownie zaprotestowała; nalegała rwącym się

ze zdenerwowania głosem.

— Jak panią poznam? — nie mogłam jej odmówić, zaintrygował mnie ten telefon.

— Ależ ja p a n i ą znam! — zawołała — Dwukrotnie widziałam panią w „Homarze”.

Naturalnie, ja także poznałam ją natychmiast; gdy przyszłam do „Bristolu”, ona już tam była.

Miała te same udręczone oczy i smutną twarz. Zrobiło mi się jej żal; co jej jest, nawiedzona, obłąkana? Starsza od mojej matki, no i nie tak piękna, ale w ogóle niebrzydka. Bardzo zadbana, starannie umalowana, w kostiumie koloru jesiennych liści, przybranym rudawym futrem.

— Pani jest bardzo młodą i bardzo piękną dziewczyną — miała rozbiegane ręce, które wciąż coś chwyciły; łyżeczkę, papierosy, zapalki.

— Jakie to ma znaczenie — bąknęłam, aby coś powiedzieć; czułam się skrępowana tymi komplementami.

— Pani ma przed sobą życie, a ja! — usta wykrzywił smutny grymas — ...może pani będzie trudno to zrozumieć, ale niech pani spróbuje... Kobieta z biegiem lat traci świeżość ciała, lecz nigdy nie traci świeżości uczuć, nie przestaje odczuwać potrzeby miłości... Także byłam młoda i okrutna! Wyśmiewałam namiętności starzejących się kobiet, to wydawało mi się wręcz nieprzyzwoite...

Siedziałam jak trusia, bo nie tropnęłam się, do czego ona zmierza; wyglądała jak szalona święta, mówiła z obsesyjną pasją, która mnie fascynowała.

— Kiedyś i pani to pojmie... tę codzienną walkę z siwiejącymi skroniami, ze zmarszczkami, z wiotczącym ciałem, chociaż z góry się wie, że to przegrana sprawa, bo katastrofa zbliża się nieuchronnie i... człowiek z lękiem wstaje na spotkanie każdego następnego dnia, i wreszcie przychodzi ten dzień, przynosi starość, rezygnację, samotność... Starość się Bogu nie udała..

Odpowie mi pani szczerze na jedno pytanie? — Na ile pani chce! — poruszyły mnie jej słowa; widać było, jak bardzo się męczy, chciałam zrobić dla niej wszystko, co tylko było w mojej

mocy.

— Bardzo pani zależy na Omerowiczu? — to nie zabrzmiało jak pytanie. W jej głosie było przekonanie, że na tym facecie każdej musi cholernie zależeć; nareszcie pojęłam. Siedziała przede mną kobieta nieprzytomnie zakochana w tym trutniu. Opętana niepohamowaną namiętnością. Wcale nie była śmieszna. Serdecznie jej współczułam, trudno gorzej ulokować uczucia. Oczywiście nie powiem jej tego, bo i tak nic to nie zmieni, dopóki pożera ją ten ogień.

— Wcale mi nie zależy — podkreśliłam z naciskiem. Wpatrywała się we mnie podejrzliwie, nie wierzyła.

— Niech pani nie kłamie, ma pani taką miłą twarz!

— Naprawdę mi nie zależy, jak panią mam przekonać?

— Niech się pani z nim nigdy więcej nie umawia! — jej głos błagał i groził zarazem.

— Daję pani na to słowo.

— On mieszka u państwa, czy... przychodzą tam kobiety?

— Nie. Nikt u niego nie bywa, nawet mężczyźni.

— Widzi pani, to nawet nie jego wina, kobiety nie dają mu spokoju, a mnie to okropnie męczy, doprowadza do szaleństwa... On jest taki lekkomyślny, ma usposobienie młodego chłopca... Proszę mi wierzyć, ja nie mam z nim lekkiego życia i żadna kobieta by go nie miała. Na co dzień to bardzo trudny człowiek. Żyję z nim już jakiś czas, więc dobrze poznałam jego usposobienie; egocentryk i hipochondryk, kapryśny jak niemal każdy artysta. Jest nieżyciowy, niezaradny, potrzebna mu rozsądna, samodzielna i zrównoważona kobieta...

Samodzielna to ona pewno była, może była i rozsądna, ale na zrównoważoną nie wyglądała.

To był kłęb odsłoniętych, obolałych nerwów.

— ...on wymaga stałej troski, stałej opieki... — wyliczała.

Widocznie za wcześnie drania odstawili od cycka — przemknęło mi przez myśl; ugryzłam się

w język, aby nie powiedzieć, co myślę o jej kochanku.

— Zapewniam panią, że nie mam żadnych zamiarów względem pana Omerowicza, mam uroczonego chłopca, którego bardzo kocham... — zaczęłam improwizować i wyszedł z tego lotnik, nad wyraz urodziwy, porucznik–inżynier, ujeżdżający odrzutowce.

Ludzie to dziwne istoty, prowokują do kłamstwa; nie uspokoiły ją moje zgodne z prawdą zapewnienia, chyba były zbyt bezbarwne, natomiast wydumany lotnik podziałał jak balsam i załatwił sprawę.

Uspokoiła się i rozgadała; meła jak młyn wodny słowa wzniosłe i głupie, jakieś babskie intymności. Byłam nieco spłoszona, ale jej nie przeszkadzało, że zwierza się facetce co najmniej o połowę młodszej, która z powodzeniem mogłaby być jej córką. Widocznie nie miała koło siebie nikogo bliskiego, komu mogłaby to wszystko powiedzieć. Ale przy okazji pojawiło się trochę szczegółów, interesujących mnie.

Halina Klim, z zawodu inżynier, pracowała w Monopolu Spirytusowym w Jeziornej. Pełniła funkcję inspektora szczególnego nadzoru. Co to takiego? — nie śmiałam ją wypytywać.

Musiało to być jednak dość wysokie stanowisko, skoro załatwiła pracę Omerowiczowi; nie etat, podkreśliła, tylko prace zleczone.

Wprawdzie nie powiedziała wyraźnie, ale z pewnych niedomówień — po prostu jej się ułało — zorientowałam się, że ona wspomaga go finansowo. Nawet mnie to nie zdziwiło, skłonna byłam podejrzewać go o najgorsze. Truteń i tyle!

Dowiedziałam się, że Banaszczak także pracuje w Jeziornej, jest magazynierem w Monopolu, a żyje z agentką „Homara”, Bisią, czyli Brygidą Kostrzycą.

Rozstałyśmy się jak dobre znajome. Na pożegnanie pani Klim powiedziała:

— Omerowicz nigdy by mi nie darował, gdyby się dowiedział o tej rozmowie... Czułby się ośmieszony, a mężczyzna nigdy tego nie wybacza! Pani mnie nie zdradzi, prawda? — miała psie

spojrzenie i głos taki, jakby chodziło o śmierć lub życie. Wyraźnie bała się Omerowicza.

Przyrzekłam, że nie zdradzę.

— Jeśli będę mogła pani w czymś pomóc — była mi naprawdę wdzięczna — to proszę, tu jest mój numer telefonu... Właśnie otrzymałam nowe mieszkanie.

Oczywiście dotrzymałam danego słowa, bo leżało to także i w moim interesie.

Dorota—serce na dłoni, Dorota—szczerą Kasia — zdaje się zniknęła bezpowrotnie. I chwilami żał mi było tamtej naiwnej dziewczyny, pełnej wiary i ufności do ludzi. Ta nowa, która zajęła jej miejsce, niekiedy mnie przerażała, była zdolna do wielu niegodziwych rzeczy.

Po tym, co usłyszałam od Haliny Klim, unikałam Omerowicza; oprócz pogardy czułam do niego fizyczny wstręt. Brzydziło mnie nawet podawanie mu ręki.

Niełatwo zresztą było mnie zdybać sam na sam: jak zwykle w naszym domu kłębiło się bractwo różnej maści, płci i zapatrywań.

W pokoju ojca ulokowany został ten hinduski chłopak, studiujący w RFN: Ravi — przezywany przez nas Maharadzą. Znowu przyjechał do Warszawy na kilka dni i chociaż miał tu znajomych studentów, zaprowadził się u nas. Zwąchali się z Michałem Winiarskim, bo już latem przypadli sobie do gustu i znikali nieraz na całe noce.

— To chart na dziewczyny — powiedział o nim Michał.

Z Maharadzą porozumiewaliśmy się po angielsku, ale facet w sposób zadziwiająco szybki przyswajał sobie polskie słowa i już wcale zgrabnie budował z nich zdania.

Był zabawny; ktoś mu wmówił, że w Polsce totalnie brzydzą się kapitalistami, więc aby nie stracić naszej sympatii, długo ukrywał, że jego ojciec jest dyrektorem w jakimś tam koncernie.

Dyrektorem, a nie udziałowcem! — podkreślał z naciskiem i uważnie badał twarze rozmówców, czy został właściwie zrozumiany.

Podczas konfliktu Indii z Pakistanem Ravi został zmobilizowany, ale nie zdążył wziąć udziału

w wojnie. Cieszył się z tego, do wojny miał taki sam stosunek jak i my — że to świństwo!

Więc co wieczór kłębiła się u nas kupa luda; Aniela taśmowo produkowała kubiki kanapek.

Kanapki! To były grube na palec pajdy chleba z wędliną, serem czy rybą.

— Co wieczór ta szarańcza samego chleba pożera trzy bochenki...

— Nic dziwnego, gdybyś go cieniej kroїła, szłoby mniej — drażniłam się z nią i wytykałam jej skąpstwo.

— Gdybym się inaczej rządziła, to oni by mi zjedli wszystko, co pani daje na cały miesiąc na dom — nie dała się skłonić do cieńszych kromek i nie pozwalała mi bobrować w lodówce.

Wtykała mi w ręce tacę z furazem i wyganiała z kuchni.

— Czy im w domu nic nie dają jeść? — dziwiła się. — Ciągłe są głodni!

Ale często sama przynosiła półmisek: — Pewno byście coś przegryźli!

Omerowicza nigdy nie zapraszałam, gdy byli u mnie koledzy. Nie pasował do nas, a i nie chciałam dziewczyn wystawiać na próbę. Przecież nic o nim nie wiedziały i któraś mogłaby sobie zawrócić głowę tym ananasem.

A on jednak czatował na mnie; zręcznie się wykręcałam, starając się nie warczeć, gdy zaczepiał mnie w przedpokoju. Zasłaniałam się nauką, zbliżającym się okresem w szkole.

Akurat się uczyłam! Odbębniałam godziny, często obecna, ale nieprzytomna, ściągałam, na kolanie odpisywałam zadania od kolegów, urywałam się z lekcji, zarywałam całe dni.

— Dorota, nie masz ambicji ani za grosz — powiedziała do mnie kiedyś w czasie „serdecznej rozmowy” pani Lachowiczowa — wychowawczyni.

— Nie mam — niegrzecznie przyznałam jej rację i poczułam w sobie osła; gdy ocknie się we mnie to zwierzę, lepiej już dać mi spokój. Lachowiczowa wiedziała o tym i nie próbowała kontynuować rozmowy.

Co ty wiesz o życiu, wyleniała kuropatwo — myślałam bezwiednie językiem Gorgony i

Melki. Musiałam bardzo uważać, aby nie powiedzieć tego głośno. — Gdybyś zobaczyła, kto mnie do łóżka ciągnie, tobyś z krzesła spadła! Czułam się teraz mądrzejsza i wtajemniczona. — Dorota! Dlaczego pani się na mnie gniewa? — wreszcie Omerowicz przyszedł do mego pokoju.

Powiedziałam, że się na niego nie gniewam. Nie uwierzył, molestował. Rozdrażniła mnie zarówno jego obecność, jak i to namolne wypytywanie.

— Pani mnie wyraźnie unika, dlaczego?

— O to niech się pan zapyta swojego protektora, pana Banaszczaka, i proszę mnie nie nachodzić w m o i m pokoju! Do pana dyspozycji jest mansarda, a nie cały dom, na przyszłość proszę o tym pamiętać! — powodowała mną chwilowa wściekłość i nie powściągnęłam języka. Te wypowiedziane w złości słowa były jak kamień rzucony w psa. Omerowicz zmienił się na twarzy, przypominał szczeniaka, któremu niespodziewanie przygnieciono ogon. Zdobył się, aby bąknąć: — przepraszam! i poszedł jak zmyty. Ta kreatura na sam dźwięk nazwiska swego współnika dostawała gęsiej skórki.

Zaczęłam sobie powoli, i to dopiero teraz, zdawać sprawę, że podjęłam walkę z bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Bo przecież podjęłam. Czy potrafię kiedyś skoczyć mu do gardła, i czy skutecznie?

Moim atutem jest fakt, że on nie wie, że ja wiem. Muszę być bardzo ostrożna, aby nie stracić tego atutu.

Zadzwoiła madame Maryla Kulik; gdyby się nawet nie przedstawiła, w piekle rozpoznałabym ten ochrypnięty głos wampirzycy. Poprosiła Omerowicza, więc przełączyłam rozmowę na górę, ale słuchawki nie odłożyłam.

Jeszcze kilka miesięcy temu nie poniżyłabym się do podsłuchiwania czyjejś rozmowy. Teraz nie miałam najmniejszych skrupułów.

— Mieszkam w „Saskim” — donosiła moja niedoszła patronka. — Co słyhać? Gdzie towar?

Z wrażenia zatkało mnie; byłam podniecona pikanterią sytuacji i bardzo z siebie rada. Miałam się za nie łąda spryciarę — wprost puchłam z dumy, bo przecież sama bez niczyjej pomocy wytropiłam tę szpanę, tę hewrę starych świń, babrzących się w najbrudniejszych interesach. — Chłam do odebrania wieczorem... — powiedział Omerowicz. Nie wiedziałam, co znaczy chłam — ...dwudziesta pierwsza trzydzieści... Proszę zapamiętać adres: Wilanów, ulica...

Ja także zapamiętałam ten adres.

Teraz musiałam się pilnie dowiedzieć o „chłame”, znajdującym się w Wilanowie przy ulicy... Musiałam także wreszcie dobrać się do stylowej komody Omerowicza.

Tu sama nie dam rady. Nawet śledzić ich nie mogę, bo te bestie mnie znają, a kluczy dorobić także nie potrafię. Muszę poprosić o pomoc kumpli. Ale czy można wciągać porządnych ludzi do takiej gry? A jeśli z tego wynikną przykrości? Nie mam moralnego prawa mieszać w to kolegów.

Ja to co innego, walczę o swoją matkę, ale oni?

Przecież nie mogę powiedzieć chłopakom, o co chodzi, a kłamanie w takich okolicznościach albo pół prawdy to dopiero świństwo!

Jeśli mieliby się narażać, musieliby wiedzieć dlaczego! To znaczy całą prawdę, a całej prawdy ja im nigdy nie powiem, nie przejdzie mi przez gardło, a przy tym to nie moja tajemnica, tylko tajemnica mojej matki, którą w dodatku wydarłam podstępem.

Komeda może jeszcze poczekać, ale ów tajemniczy „chłam” ma być odebrany dzisiaj, o wpół do dziesiątej wieczorem; miałam przed sobą pół dnia, aby coś postanowić.

Jakże byłam niemądra! Przecież ja nie muszę ich śledzić, przecież znam adres.

Jesień rozpanoszyła się już na dobre; dni niewiele różniły się od zmierzchów, a wieczory były długie. Padał natrętny, drobny deszcz.

Włożyłam stare džinsy, moherowy golf i nieprzemakalną kurtkę z kapturem. Szarówką

wysiadłam na końcowym przystanku tramwaju linii trzydzieści sześć.

Miejsce, które mnie interesowało, leżało daleko od turystycznego Wilanowa. Szłam kawał szosą, potem w bok drogą ulicą.

Ten dom niczym nie odróżniał się od innych zabudowań na tej ulicy; stał w zadrzewionym ogrodzie, otoczony parkanem z siatki. Natomiast zabudowania gospodarcze położone były dalej za nim. Tam już nie było ogrodzenia. Z tyłu przepływał kanał, zaś boczne granice posesji wytyczały szpalery smukłych drzew. Chyba topoli.

Z murowanego baraku, dotykającego tylną ścianą brzegu kanału, słychać było zgrzyt jakiegoś urządzenia mechanicznego, przez uchylone drzwi padała smuga światła, również oświetlone były podłużne, wąskie okienka o mętnych szybach.

Kuźnia, jakiś warsztat?

Obejrzałam i sąsiedni teren; to samo: pojedyncze parterowe domy, nie sposób było zasadzić się tutaj na dłużej. W obejściach ujadały psy, na ulicy z rzadka przemykał przechodzień.

Gdyby te topole miały mniej gładkie pnie i liście na koronach, mogłyby służyć za niezły punkt obserwacyjny. Ale pomysł był mało realny, tym bardziej że siąpiła obrzydliwa mżawka i kostniałam z zimna.

Opuściłam ulicę, okrążyłam szosę i zapuściłam się nad kanał; prowadziła tu błotnista ścieżynka, zarośnięta uschłymi burzanami, wybujalym łopianem i jakimś innym, nie nazwanym bożym zielskiem — spodni czepiały się rzepy. Na zapleczu domostw stały przycumowane przy brzegu łódki puchówki, przeważnie przegniłe, napełnione wodą; posesje oddzielały od siebie parkany lub zwoje kolczastego drutu — istne zasieki. W ogrodzeniach były jednak otwory i dzięki temu, omijając przeszkody, dotarłam do pasa topoli, strzegących tej kuźni czy warsztatu, z którego w dalszym ciągu dobiegał świst jakby piłowanego żelaza. Widziałam uchylone drzwi i smugę światła, ale dalej iść nie śmiałam.

Dochodziła siódma; skostniałam i czułam, że nie wytrzymam na tym posterunku do wpół do dziesiątej. Rozpoznałam drogę, wiem, jak się poruszać, wystarczy, gdy przyjdę tu na pół godziny przed umówionym przez nich terminem.

Wróciłam do szosy, w świetle latarni oczyściłam się z rzepów, lecz dopiero w „Kuźni” — stylowej restauracji, gdy portier zmierzył mnie pogardliwym i nieprzyjaznym spojrzeniem, zorientowałam się, że niezbyt porządnie wyglądam, a już na pewno zbyt młodo i za mało elegancko, jak na wymagania szatniarza.

Trzeba go zażyć, bo inaczej nie wpuści — pomyślałam.

— Dobry wieczór — pozdrowiłam po angielsku, najczystszy akcentem, jaki tylko można było zdobyć na kompletach u Metodystów.

Facet zmierzył mnie od stóp do czubka głowy, z ociąganiem wziął ode mnie przemoczoną kurtkę, więc aby rozwiać jego wątpliwości dorzuciłam jeszcze kilka zdań o pogodzie — że fatalna, wskazałam w gablotce paczkę Pall–Malli, wysupłałam pięćsetkę i nonszalancko położyłam na ladzie.

To były pieniądze z mego „zegarkowego” kapitału, nad którym trzęsłam się jak Gobseck, ale teraz byłam ciekawa, czy on mnie natnie czy nie?

Nie. Wydał rzetelnie resztę, głośno odliczając banknoty. Mogłam wreszcie wejść i napić się gorącej kawy.

Dopiero w ciepłym wnętrzu poczułam, jaka jestem zziębnięta; panował tłok, wszystkie stoliki były obsadzone do ostatniego miejsca. Nawet żadnego wolnego stołka przy „ściennych bufetach. Rozejrzałam się bezradnie, tu nie było samoobsługi, jeśli nie znajdę wolnego krzesła, nie otrzymam nawet szklanki wody.

Trzeba się było do kogoś przysiąść; wszędzie siedziały większe grupy, ale w drugiej salce, naprzeciw drzwi, dostrzegłam samotną parę. Blokowali czteroosobowy stolik, jednego krzesła

brakowało, ale jedno było wolne.

Dopiero po dobrej chwili zdałam sobie sprawę, że bezwiednie gapię się na tego faceta. Miał ciekawą twarz. Smagłą, o nieco wydatnych kościach policzkowych, przez to ciemne oczy wydawały się wąskie i trochę skośne, zwłaszcza gdy się uśmiechał. Czoło cięta krecha czarnych brwi, zrosniętych u nasady nosa, policzki i wydatny podbródek powlekał sinawy cień wygolonego zarostu.

Nie wiadomo dlaczego poczułam satysfakcję, że jego towarzyszka to wprawdzie młoda, ale wyblakła, nijaka blondynka. Nie wiadomo! Oczywiście, że wiadomo — podobał mi się, a w niej nie widziałam konkurencji.

Nagle poczułam idiotyczne rumieńce, bo mój wzrok ściągnął jego uwagę. Spojrzał na mnie przelotnie, zmarszczył brwi, jak gdybym mu kogoś przypomiwała — przecież nie mógł mnie znać, przynajmniej ja go nigdy nie widziałam — i skłonił mi się.

Wrócił mi tupet — ruszyłam w ich stronę i doprawdy nie wiem, dlaczego znów uruchomiłam swój angielski.

— Proszę, może się pani przysiąc — odpowiedział na moje pytanie także po angielsku, z fatalnym akcentem; z bliska wydał mi się znacznie młodszy, ale nic nie traciła na tym jego chmurna uroda. Nie, z pewnością nigdy go nie widziałam — upewniłam się wreszcie.

— Dziękuję, chciałam się napić kawy — poczułam, jak znów się czerwienię, i byłam na siebie wściekła; oni jedli kolację, jakieś gorące danie, przy nakryciach stały pękate kieliszki, napełnione chyba koniakami.

Przywołał kelnera, zamówił dla mnie kawę.

— Wydało mi się, że już gdzieś panią widziałem — powiedział do mnie wciąż tą swoją murzyńską angielszczyzną.

— Przepraszam, że przeszkodziłam państwu, ale tu taki tłok, a ja bardzo zziębłam.

— Drobiazg, czy mogę jeszcze w czymś pani pomóc?

— Dziękuję — siorbałam swoją kawę; poczęstowałam ich papierosami. Sama także zapaliłam. Nie byłam palaczką, ale na tyle potrafiłam obchodzić się z tym świństwem, że nie krztusiłam się dymem. Jednak papieros zamącił mi w głowie jak kieliszek wódki. Przestał mi poświęcać uwagę, zajął się wymokłą dziewczyną — zwyczajnie jej zazdrościłam. Rozmawiali głośno, toteż pilnie strzygłam uchem, chociaż nie powinno mnie to wcale obchodzić. I uradowałam się jak kto głupi, gdy zorientowałam się, że to jest jego koleżanka dziś jeszcze wracająca do Krakowa.

No i co mi z tego przyjdzie, skoro najprawdopodobniej nigdy go już nie zobaczę? A jednak cieszyło!

Wyszłam o dziewiątej — oni jeszcze zostali, pożegnał mnie obojętnie; zaczynały się jakieś występy, miała śpiewać Wanda Warska. Kocham tę pieśniarkę, ale cóż, musiałam iść.

Szatniarz z ukłonem podał mi mój poczciwy ortalion, wręczyłam mu dychę, aby tylko nie wypaść z roli. Nie wydawał się olśniony wysokością napiwku, widać było, że przyzwyczajony jest do większych.

Nadal nostalgicznie kapał kapuśniaczek, przez opary mgły dostrzegałam tylko żółte reflektory samochodów.

Przemknęłam się rozpoznaną już trasą, zesłam z szosy i zanurzyłam się w burzany. Nad kanałem nie było żadnego oświetlenia, panowały egipskie ciemności, nie miałam jednak odwagi zapalić malutkiej latarki, ot takie kocie oczko, na akumulator ładowany z kontaktu.

Przedzierałam się po omacku, aż zamajaczyły kontury szpaleru topoli.

Byłam na miejscu; z szopy, jak przed dwiema godzinami, przez uchylone drzwi padała smuga światła, tak samo przeraźliwie dobywał się świst jakiejś maszyny.

Stałam tam może kilkanaście minut, gdy od strony ulicy — drogi na majdan między rzędy

topoli wjechał samochód i jego reflektory omiotły cały teren. Aż rozplaszczyłam się w chaszczach nad kanałem, bo wydało mi się, że mnie widać jak na dłoni; trwało to jednak tylko moment, bo wóz zawrócił i podjechał tyłem do uchylonych drzwi, które teraz rozwarły się na oścież.

Zgasły reflektory; samochód — była to olbrzymia ciężarówka, okryta plandeką — dobił skrzynią do samych wrót szopy.

Coś się tam działo, coś ładowano na skrzynię, ale ani na sekundę nie ustał ciągle ten sam jazgot, a przeciwnie, jeszcze się wzmógł.

Z mego punktu obserwacyjnego nie widać było ani jednej ludzkiej postaci, ale przecież ktoś tam był, słychać było wyraźne odgłosy pośpiesznego załadunku; ale co ładowano?

Oczywiście chłam Omerowicza. Cóż to jest ten chłam? Na pewno coś, co nie znosi dziennego światła... Gorączkowo kojarzyłam znane mi fakty: najpierw wypłynęła z pamięci twarz Haliny Klim, potem Omerowicza; Bisia z „Homara” i Banaszczak...

Inspektor szczególnego nadzoru... magazynier... prace zlecone... Monopol Spirytusowy!

Nic innego nie może być! Oni kradną w Monopolu Spirytusowym, kradną wódkę!

Wprawdzie nie miałam na to żadnych dowodów, tylko przypuszczenie, ale oparte na logicznym rozumowaniu. Poczułam przyływ dumy ze swej przenikliwości i aż żal, że nie da się z tego wydusić najmniejszej trójki z takiej chociażby fizyki. Ostatnio bardzo uwierał mnie ten przedmiot, ale który nie uwierał...

No tak! jeśli mój domysł jest prawdziwy, to mam wreszcie w garści tego ohydneho typu.

Teraz nie umknie mi ten złodziej, tylko muszę mieć więcej faktów. Ale po co im do kradzieży wódki potrzebny nasz dom i nieszczęście mojej matki?

A ta kobieta, ta Halina Klim, magister–inżynier, przecież pasuje do nich jak pięść do nosa.

Ona w spółce z takim zbirem jak Banaszczak?

I przypomniały mi się jej oczy, nieprzytomne, nawiedzone! Ależ ona obłądnie kocha tego pasożyta, tego niewydarzonego malarzynę. Czy miłość może doprowadzić człowieka do takiego dna?

Poczucie rzeczywistości przywróciło mi oślepiający blask reflektorów, znowu jakby wymierzonych we mnie; to odjeżdżała ciężarówka. I zaraz, jak nożem uciął, ucichło wszystko, nawet ten wibrujący, wysoki dźwięk, a w szopie zgasło światło. — Zapadła dzwoniąca w uszach cisza, a ja przestraszyłam się i siedziałam przyczajona, bez oddechu, aby jeśli ktoś tam jeszcze jest, nie usłyszał szelestu uschłych burzanów.

Nie wiem, jak długo tak trwałam, wydało się to wiekiem, aż dobiegł mnie szczęk zamykanych drzwi szopy i człapiące kroki. Wreszcie umilkło wszystko.

Zrobiło mi się straszno, bo nagle zdałam sobie sprawę, że jestem sama, w nocy, obok meliny tych gotowych na wszystko łotrów. Więc poderwałam się ze swojej kryjówki. Biegłam przed siebie, jakby mnie ktoś ścigał, i ten bieg zamiast uspokajać, wzmagał panikę — złowrogo szeleściły łopiany, potraçałam coś nogą.

Ze strachu straciłam orientację; pędziłam z dala od kanału, bo pamiętałam o dziurach w płotach i wyrwach w zasiekach rozdzielających siedliska, ale zupełnie nie wiedziałam, gdzie się znajduję; wtedy usłyszałam: — Jest tam kto?

Sparaliżowało mnie przerażenie, znieruchomiałam wstrzymując oddech. Wydawało mi się, że słyszę odgłos zbliżających się kroków, więc zerwałam się i pognałam na oślep przed siebie.

Teraz znów znalazłam się tuż nad kanałem.

— Stój, bo poszczuję psem! — zawołał ten sam głos.

Dotarł do mnie sens tej groźby, ale nic nie było w stanie zatrzymać moich kangurzych skoków strach wszedł mi w nogi; biegłam zapomniawszy o przeszkodach i niewiele widząc w zalegających ciemnościach, aż runęłam jak długa na zasieki kolczastego drutu, oddzielającego

posesję, i przerażona miotałam się w tym drucie, bo wydawało mi się, że słyszę węszenie psa.

Nie przyszło mi do głowy, że gdyby właściciel głosu dysponował psem, to zwierzę dawno by mnie dopadło, bo chociaż uciekałam ile sił w nogach, byle jamnik byłby ode mnie szybszy.

W beładnej szamotaninie podarłam wiatrówkę, pokaleczyłam ręce i rozprułam nogawkę.

Czułam, jak ostre kolce ryją mi udo i bok. Wreszcie szarpnęłam się rozpaczliwie, straciłam do reszty równowagę i runęłam do kanału wraz z tymi kolczastymi kajdanami.

Poczułam jeszcze tylko ból w tyle głowy, zdążyłam pomyśleć, że wyrznęłam potylicą w krawędź na pół zatopionej krypy, przycumowanej tuż przy brzegu.

Tak mnie zamroczyło, że nawet nie próbowałam chwycić się rękoma burty; jeszcze tylko dotarła do mnie stęchła woń butwiejącego drewna i gnijącej wodnej rzęsy — ten charakterystyczny zapach leniwej wody.

Zakrztusiłam się śmierdzącym szlamem. Tonę! — przemknęło przez myśl, więc z największym wysiłkiem zdobyłam się jeszcze na kilka rozpaczliwych i zapewne bezsensownych ruchów, bo kłęb drutu ciągnął mnie w dół, dusiło błoto.

Ostatnią świadomą myślą było: Boże, chcę żyć! A pierwszą, gdy się ocknęłam: jestem w rękach Banaszczaka albo jego zgrai.

Nie otwierałam oczu i nie dawałam znaku życia. Ostrożnie spojrzełam spod przymkniętych powiek. Leżałam na wersalce, byłam przykryta kocem, na sobie miałam tylko stanik i slipy.

Wersalka stała we wnęce, na przeciągniętym drucie była upięta kretonowa zasłona, spoza niej widać było dalszą część izby, obszerną kuchnię z kaflowym piecem.

Moja wnęka tonęła w półmroku, bo umocowana na ruchomym bloku lampa — pod białym emaliowanym kloszem w kształcie płaskiego talerza — zwisała nisko tuż nad stołem przykrytym ceratą.

Miałam wrażenie, że zamiast głowy mam źle posklejany garnek, w ustach ohydny posmak

szlamu, włosy pachniały zatęchłą wodą. Piekącym bólem pulsowało udo, ostrożnie powiodłam po nim także obolałymi palcami — było obwiązane jakąś szmatą. Bandaż czy resztki spodni? — fakturą nie przypominało ani jednego, ani drugiego.

Dobiegły mnie głosy; męski i kobiecy. Nie rozumiałam, co mówią. Z początku wydawało mi się, że to jakiś obcy język. Potem ogarnęło mnie przerażenie — to tak jest kiepsko z moją głową, że nie pojmuję ludzkiej mowy?

Rozległy się kroki: zamknęłam oczy, przywarowałam jak trusia. Ktoś pochylił się nade mną, poczułam na czole chłodny kompres, pachnący octem.

— Oddycha równo — to było pierwsze zdanie, jakie zrozumiałam z ich rozmowy; to powiedziała kobieta. Ale mężczyzna odpowiedział jej szeregiem dźwięków znowu dla mnie zupełnie nie pojętych. Nie przypominało mi to żadnego znanego języka.

I znów ścisnęło mnie przerażenie, że z moją głową nie jest w porządku. Zaczęłam sobie gorączkowo przypominać, jakbym nie miała gorszych zmartwień w tej chwili, czy słyszałam albo czytałam o takich urazach mózgu. Jednak nie sobie nie mogłam przypomnieć.

— Jak nie oprzytomnieje, to co zrobisz? — zapytała kobieta. Mężczyzna milczał. — I po co toto było brać? — zdaje się, że toto oznaczało mnie. — Możemy napytać sobie biedy!

— A co, miałem zostawić, aby utopiła się w szlamie!

— A jeśli to chatraczka i za nami węszy? — zaniepokoiła się kobieta. Co znaczy chatraczka?

— nie rozumiałam. Chatraczka węszy — to może mieć coś wspólnego z milicją:

— Eee, za młoda... za głupia...

— Dużo wiesz, czy ona mądra czy głupia — fuknęła kobieta. — Co ona tu robiła?

— Nie wiem, leciała jak szalona, może ją kto gonił? — i znów szybkie dźwięki, jakie zaczął wydawać, przestały być zrozumiałe, spostrzegłam tylko wybijającą się w jego wymowie literę — zet.

— A jak trza będzie doktora, to co zrobisz? Może łapiduch chceć wiedzieć, skąd ona, a kto jej przypalantował, jeszcze nas w to wrobi, nie daj Boże, i salcesonów napuści.

Jakaś ręka ujęła mnie za przegub, odszukała puls, mogłam teraz nic nie ryzykując spojrzeć na tę dłoń; była to stara męska ręka, pokreślona wypukłymi, błękitnymi żyłami, ze spierzchniętą skórą, pokryta wątrobianymi plamami.

Uspokoiliam się nieco; nie znałam tych ludzi, ale ton ich głosów nie był nieprzyjazny. Tylko moja obecność sprawiła im kłopot; kobietę wyraźnie nękała obawa, że trzeba będzie sprowadzić lekarza, ten zaś może zawiadomić milicję. Widocznie ta dwójka nie cieszyła się najlepszą opinią w tej instytucji.

Jeszcze raz spojrzałam na tę rękę i wtedy dostrzegłam nikły tatuaż. Rysunek księżycy z kropką między kciukiem a wskazującym palcem.

Przez moment myślałam, że mi się coś majaczy, bo ten niezwykły znak widziałam kiedyś w książce, którą znalazłam w bibliotece niego ojca; ale znak nie znikał, trwał materialnie na tej brunatnej dłoni i wystarczyłby ruch moich palców, abym mogła go dotknąć.

Wiedziałam, co oznacza; to znak rozpoznawczy nocnego złodzieja.

Kilka lat temu, bobrując w ojcowskim księgozbiornie, natrafiłam na prace o obyczajnue i żargonie przestępców. Fascynowały mnie te wiadomości bardziej od Gibbona.

Najczystsza egzotyka! Do dziś pamiętałam, że złodziej grasujący nocą w ich gwarze nazywa się szlamiarz. Do wiedzy potrzebnej w szkole miałam znacznie gorszą pamięć.

Mężczyzna znów odpowiedział kobiecie tymi niezrozumiałymi słowami, ale ja pojęłam już teraz, że mój mózg nie doznał żadnego urazu, tylko po prostu słyszę „błatną muzykę”, autentyczną gwarę złodziejską, czyli kminę.

Zaczęłam się pilnie wsłuchiwać w prowadzony dialog; mężczyzna z wprawą operował żargonem, mówił bardzo szybko, więc dopiero po jakimś czasie upewniłam się, że on stosuje

sufiks żet.

To nie mogła być szpana Banaszczaka, bali się, abym nie rozchorowała się na dobre i bardzo chcieli mnie się pozbyć. Odetchnęłam, bo przecież nie mogłam w nieskończoność udawać zdechłego owada.

— Cieżoszęzo sięzo żezo jeszotemzo uzo przy żojażociółzo — powiedziałam najczystsza kminą. — Myślałam, że goni mnie gliniarz, bo straszył psem... — dodałam i otworzyłam oczy. Bardzo byli zaskoczeni — starszy mężczyzna o mleczych włosach i niestara jeszcze, zupełnie niebrzydka kobieta. Wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenie, ale widać było, że odetchnęli.

— A może to był ormowiec, ten co mnie ścigał? — dalej snułam rozważania gwarą; postanowiłam trzymać się tej wersji, bo już zorientowałam się, że to nie ten siwy człowiek wołał za mną i groził poszczuciem psem.

— Nie wiem, kto cię gonił... — powiedział powściągliwie — zaplątałaś się w druty na moim ogrodzie i wpadłaś do kanału.

Jak daleko odbiegłam od tamtego szpaleru topoli? A może to wszystko podstęp i ta para jest w znowie z tamtymi?

Nie. To inna kategoria ludzi, nie wiem czemu, ale prawie zupełnie uspokoił mnie fakt, że rozmawiali kminą.

— Przyznaj się, coś tu robiła? — badał stary.

— Miałam swoje powody — łypnęłam na nich spode łba; jak ja się mam od nich wydostać?

— Za czym tu łaziłaś nad kanałem, po omacku? — nie dawał za wygraną stary.

— Przecież ci mówię, że uciekałam i wpadłam w opłotki, bo musiałam zgubić smugę — jak znalazłam słowa i zwroty przyswojone z języka Gorgony i Melki — ...no to nawiewałam po zatyłcu, kiedy znów się napatoczył jakiś i przygroził psem... Czy ja cię pytam, którądy ganiasz,

jak... — dziobnęłam palcem w jego rękę, w miejsce gdzie miał tatuaż.

To był udany chwyt; już „blatna muzyka” z moich ust przyjaźniej ich usposobiła, ale ten porozumiewawczy gest prawie przekonał.

— Chatraki cię goniły? — zaniepokoił się, ale jakoś tak solidarnie; już zrozumiałam, że chatraki to milicja, więc wydałam pomruk mający oznaczać niechętnie przyznanie się. Ale przecież nie leżało w moim zamyśle aż tak ich przerazić. Szczególnie złąka się kobieta.

— Nie możemy cię trzymać! — powiedziała ze złością; odetchnęłam pełną piersią, nie byłam w łapach cerberów Banaszczaka.

— Zaraz pójdę — dźwignęłam się z kanapy, lecz gdy usiadłam, musiałam się dobrze przytrzymać, bo kuchnia, lampa, stół i moi wybawcy zawirowali mi przed oczyma w ostrym tańcu; pod czaszką obudził się koziołek, ostrymi różkami atakował oczodoły, walił bez pardonu w skronie. Musiałam się niewąsko huknąć lądując w kanale.

— Nie dasz rady, co? — zmartwił się stary.

— Dam... podajcie ubranie.

Moje ubranie było podarte, mokre i utyłane szlamem. Nie nadawało się do włożenia.

— Matka, znajdź jakieś łachy — rozkazał stary; kobieta niechętnie, pomrukując pod nosem, wyszła z kuchni i wróciła z ubraniem przewieszonym przez ramię.

— Trzymaj — rzuciła mi spodnie i gruby sweter. — A makówkę musisz obwinać, bo masz farbę na głowie — wetknęła mi w rękę wzorzystą bawełnianą chustę — Takie dobre łachy, czysta strata...

— Ty pomożesz, tobie pomogą... — stary pogrzebał w kieszeniach — wyciągnął zwitek banknotów. — Na! trzymaj, miałaś to w kieszeni — wsunął mi w rękę jeszcze wilgotne pieniądze. Była to moja rozmieniona w „Kuźni” pięćsetka.

— A już chociaż ze dwa stówaki mógłbyś zostawić — kobieta łakomie spojrzała na banknoty.

— Takie dobre rzeczy jej dałam...

— Mój sweter wcale nie jest gorszy, a przecież ci go zostawiam! — nie mogłam się powstrzymać, bo lubiłam ten moherowy golf.

— Gorszy, gorszy — zrzędziła — a poruta dla nas, jeśli za tobą trafią, to dorsz?

— Dwoma setkami ich nie opędzisz — burknęłam. — A ja muszę mieć na lekarza!

— Zamilcz, kobieto! — huknął stary. — A już Boga w sercu trzeba nie mieć. Bierz swoje pieniądze — zamknął mi dłoń na banknotach. — Nie widzisz, że dziewczyna w opresji?

— A widzę, widzę, tylko kto nas będzie z opresji ratował, jakby co?

— Gdy się tylko ustawię, to się odwdzięczę — powiedziałam jak mogłam najserdeczniej.

Byłam naprawdę wdzięczna tym ludziom za ratunek i nie budzili we mnie żadnej moralnej odrazy. Także rozumiałam ich lęk. Wzięli mnie, w czym ich zresztą sama utwierdziłam, za drapichrusta, może za złodziejkę? W każdym razie za kogoś z ich społeczności. Okazali najpierw czysto ludzkie uczucia ratując mnie z kanału, a potem zawodowa solidarność kazała im udzielić mi pomocy, lecz bali się, aby za mną nie trafiła do nich milicja i dlatego chcieli się mnie jak najprędzej pozbyć.

Ubrałam się z trudem, każda zmiana pozycji wywoływała gwałtowny zawrót głowy i poczucie nudności; jakoś jednak zebrałam się do kupy.

— Nie wykosisz się po drodze? — zmartwił się stary.

— Nie... Zostańcie z Bogiem — nagle przypomniało mi się to pozdrowienie znad Czarnej Hańczy.

— Niech Bóg prowadzi — odpowiedzieli oboje; wychodząc spostrzegłam nad drzwiami wizerunek świętego Antoniego, a pod nim miniaturową kropielnicę.

Wyszłam w ciemność; chłód razem z kroplami deszczu przeniknął natychmiast przez mój sweter, ale trochę mnie orzeźwił.

Okazało się, że dom, w którym udzielono mi pomocy, stał tuż przy szosie. Jakoś stamtąd dobrnęłam do turystycznego Wilanowa i rozejrzałam się za taksówką. Pod „Kuźnię”, gdzie był postój i parking, nie chciałam iść, bo rzeczywiście wyglądałam nieszczęśliwie w tych zniszczonych i zbyt obszernych spodniach oraz odpustowym swetrze. Tramwaje już nie chodziły, a w takim stanie nie chciałam ryzykować jazdy nocnym autobusem.

Powlokłam się aleją Sobieskiego, zaczęłam, bez nadziei zresztą, kiwać na przejeżdżające wozy; może ktoś mnie podbierze na łebka?

Byłam jednak w tym stroju stanowczo za mało efektowna, aby liczyć na zainteresowanie panów, siedzących za kierownicami markowych maszyn; nawet szara syrenka, ten parias wśród samochodów, pogardliwie oślepiła mnie reflektorami i nawet nie zwolniła.

Pójdę chyba do Pinokia i od niego zadzwonię do domu — wyobrażałam sobie panikę matki i Anieli, jeśli nie dam znaku życia do rana, a potem kosmiczną drakę za zarwaną noc, gdy już się odnajdę. Ale w tej chwili było mi to idealnie obojętne.

Kiedyś trzeba zacząć! Jestem już dorosła, skończyłam osiemnaście lat. Matura nie jest najważniejszą rzeczą w życiu! Może zajmuję miejsce lepszym, zdolniejszym? Nie muszę mieć matury, mogę iść do pracy, dość mam waszego garnuszka i nieustannej kurateli! — odruchowo w myśli odszczekiwałam się rodzinie.

O dziwo, obok mnie zatrzymała się nagle taksówka; kierowca otworzył drzwiczki. Usiadłam przy nim i dopiero teraz spostrzegłam w głębi wozu jakąś parę.

Poznałam ich. To byli ci sami ludzie, do których przysiadłam się w „Kuźni”, udając cudzoziemkę.

Wzruszenie ścisnęło mi gardło, najpierw prawie roztkliwiłam się nad sobą, a potem serce zalała mi fala wdzięczności.

Obok mnie przemknęło kilkanaście pustych samochodów, a tylko ON, bo byłam

przeświadczona, że to jego inicjatywa — tego mężczyzny o chmurnej urodzie — nie minął mnie obojętnie. Nie odstraszyły go moje osobliwe gacie ze zwisającym kuprem ani workowaty blezer, który oszpeciłby skutecznie nawet Wenus z Milo.

Zamiast zachować się jakoś po ludzku, miauknęłam coś pod nosem, co miało brzmieć jak: — Thank you, wchodząc nedorzecznie w tę swoją groteskową rolę z „Kuźni”. Zupełnie niepotrzebnie, bo przecież na ten jego ludzki odruch nie miało wpływu moje rzekomo cudzoziemskie pochodzenie. Z szosy zabrał po prostu samotną, nędznie ubraną dziewczynę. Rozpoznali mnie dopiero po mojej kretyńskiej odzywce.

Dlaczego to zrobiłam? Żle się ze mną działo, coraz częściej objawiała się we mnie jakaś nieznana dotychczas osoba i przybierała cudze skóry bez względu na to, czy było to potrzebne, czy nie, bez żadnego określonego celu. A może są to objawy jakiejś degradacji psychicznej? Siedziałam w półobrocie — chwyciłam jego zdumione spojrzenie. Dziwiła go moja odzieżowa metamorfoza — Odwożę koleżankę na dworzec — powiedział tą swoją murzyńską angielszczyzną. — Gdzie pani chce wysiąść?

— Pojadę z państwem, mnie się nie śpieszy — posłałam mu najbardziej kuszący z moich uśmiechów i przybrałam minę jagniątka. Sprawdziłam już niejednokrotnie, że budzi to, szczególnie u mężczyzn, odruch opiekuńczy, a ja jak nigdy dotąd potrzebowałam opieki, bo tak naprawdę to ledwo się trzymałam na nogach.

Nic nie odpowiedział, ale nie spostrzegłam pożądanej reakcji. Gdy kierowca hamował przed Dworcem Głównym, megafony zapowiedziały pociąg do Krakowa. Widocznie był to pociąg tej pani, bo wyskoczyli oboje i wbiegli do budynku.

— Czekam na pana — zawołałam w ślad za nimi.

Oto zamiast jechać do pogotowia i opatrzyć rozbitą głowę — znów ogarnęła mnie fala mdłości — siedziałam kamieniem w taryfie i nie wiadomo po co czekałam na tego mężczyznę,

który już i tak okazał mi wiele grzeczności; zupełnie nie zdawałam sobie sprawy dlaczego, ale chciałam go jeszcze zobaczyć.

Kierowca taksował mnie podejrzliwym wzrokiem, ale nie odezwałam się do niego ani słowa; zastanawiałam się, co mam powiedzieć znajomemu z „Kuźni”, jak wyjść z honorem z tej angielskiej mistyfikacji. O dziwo, miałam wobec niego skrupuły i bardzo chciałam, aby wiedział, kim naprawdę jestem.

Wracał; dostrzegłam go znowu, jak biegł przeskakując po kilka stopni schodów, prowadzących z dworca na podjazd.

— Dokąd teraz? — wszedł do samochodu.

— Do pogotowia ratunkowego — powiedziałam to po polsku i nagle zrobiło mi się wszystko jedno, co on sobie o mnie pomyśli i co pomyśli ten szofer, który na dźwięk moich słów znów zmierzył mnie spod oka.

Mój opiekun nie zdziwił się, przyjął to tak, jak gdyby mnie w tej chwili po raz pierwszy usłyszał, o nic nie zapytał, tylko kazał jechać na Hożą.

Kiedy taksówka zatrzymała się na parkingu przed budynkiem pogotowia, wyciągnęłam swoje zmięte i jeszcze niezupełnie suche pieniądze. Podałam szoferowi.

— Dziękuję panu — to było do mego opiekuna. Odsunął moją rękę z banknotem i zapłacił kierowcy.

— Idziemy — wysiadł i otworzył drzwiczki po mojej stronie.

— Teraz już sobie poradzę, serdecznie dziękuję i... dobranoc! — wygramoliłam się z wozu, a chociaż rozpaczliwie pragnęłam, aby nie odszedł, powiedziałam: — Proszę sobie nie robić kłopotu, już teraz naprawdę sobie poradzę.

— Przecież tak pani nie zostawię — mruknął i wziął mnie pod rękę.

W poczekalni był młyn; tłum ludzi, wyjąca z bólu kobieta ze straszliwie poparzoną ręką,

nietrzeźwy mężczyzna ze zmiążdżoną nogą. Na ten widok zrobiło mi się słabo. Spostrzegł to, pochylił się — był znacznie ode mnie wyższy — i otoczył mnie ramieniem; chustka mi się nieco osunęła, dopiero teraz zauważył sklezione krwią kosmyki.

— Dlaczego pani od razu nie powiedziała!

— Mam rozbitą makówkę i... okropnie mnie mdli — jęknęłam, bo poczułam się śmiertelnie chora i znów rozczuliłam się nad sobą, a on wydał mi się taki piękny i taki dobry, że chciało mi się płakać.

Rozkleiłam się zupełnie; po tym panicznym strachu, szalonej ucieczce przez łopiany, po kąpieli w szlamie, po tych wszystkich przeżyciach zbyt ciężkich jak na moją wytrzymałość, przyszło odprężenie. Nie mogłam już powstrzymać łez, rozplakałam się jak dziecko i zerwałam tę pstrą szmatę ze zmierzwionych włosów.

— Chodźmy — podniósł mnie z ławki i wprowadził w jakieś drzwi.

— Cześć, Konrad!... Co się stało? — filigranowa kobieta w bieli odstawiła filiżankę, podbiegła do nas.

Pokój miał ściany wyłożone glazurą; dwie leżanki, kilka krzeseł, głęboki klubowy fotel i stolik.

— Drugi zabiegowy wolny — zdążyła powiedzieć kobieta w kitlu, bo właśnie w drzwiach stanęła pielęgniarka.

— Pani doktor, Emilii Plater... atak serca — zawiadomiła, zerkając na nas ciekawie. Konrad uśmiechnął się do niej i skłonił głowę.

Drobna kobieta upiła łyk z filiżanki, płyn musiał być gorący, bo wciągnęła głęboko powietrze, zdjęła z wieszaka kozuch i już jej nie było.

Konrad! Podobało mi się to imię, niezmiennie kojarzyło z Wallenrodem.

Imiennik bohatera eposu przeprowadził mnie znów przez jakiś korytarz i znaleźliśmy się w

ambulatorium — Proszę się położyć — wskazał leżankę, sam narzucił kitel i zaczął szorować ręce.

— Ale mam szczęście... trafiłam wprost na lekarza — zagaworzyłam, aby coś powiedzieć, wstydziłam się niedawnych łez.

— Nawet na chirurga... proszę odwrócić głowę... — rozgarnął warkocz, zawyłam, bo każdy włos wydawał mi się prętem świdrującym czaszkę.

— Będzie bolało — mruknął, wycinając mi kępę włosów, potem polał czymś piekącym. — Będzie bolało, to trzeba szyć — wycięte miejsce golił żyletką — ...kto cię tak urządził, dziewczyno?

— Sama się urządziłam.

— Wpadłaś w gnojówkę? — wymownie pociągnął nosem; znów zlewał mi głowę jakimś szczypiącym świństwem.

— W kanał.

— Skok do Tamizy?

— Przepraszam pana za tę komedię, naprawdę jest mi łyso... — mówiłam nieskładnie o oporach portiera, że byłam przemoczona, zmarznięta — ...a potem to tak już jakoś poszło z rozbiegu... — plątałam jak źle przygotowaną lekcję, ale ogromnie zależało mi na tym, aby mnie nie wziął za snobkę albo mitomankę. Wreszcie gdy zdałam sobie sprawę, jak się przed nim gęsto tłumaczę, zastopowało mnie — ...a pan bardzo kiepsko mówi po angielsku... — dodałam ni z gruszki, ni z pietruszki.

— Kiepsko — przyznał. — Ile ty masz lat?

— Osiemnaście — zupełnie nie poczułam się dotknięta tym: TY.

— Mamusia już wie o kontuzji?

— Zdąży. Na złe wiadomości zawsze jest czas — rozzłościł mnie jego protekcyjny ton; nic

mu już nie powiem, poczułam, jak rozpiera się we mnie osioł, dobrze mi znane, olbrzymie, aroganckie bydlę. Nie! nie zawiadomię matki! Pomartw się o mnie, powariuj z niepokoju! — mściłam się na niej za swój strach.

Zabandażował mi głowę, przygotował zastrzyk; nie miałam najmniejszej ochoty, aby mi kłuł pośladki, tym bardziej że bolał mnie bok i pokaleczona noga.

— Penicyliny proszę mi nie dawać, jestem na nią uczulona — zełgałam.

— Przeciwtężcowy — uniósł szprycę. — A skąd wiesz o penicylinie, miałaś próbę?

— Gorzej, mam pielęgniarkę w rodzinie.

— Musisz poleżeć kilka dni i niech ta twoja pielęgniarka zaprowadzi cię potem do lekarza.

Trzeba zbadać dno oka i zrobić encefalograf, żebyś nie miała komplikacji.

— Bardzo panu dziękuję i... proszę mi wierzyć, nie jestem notoryczną komediantką.

— Poczekaj, odwiozę cię — wyszedł poszukać taksówki. Namyslałam się, dokąd mam się schronić; do Pinokia? Teraz to mi się już nie wydawało tak znakomitym pomysłem. Przecież Stefan sam korzysta z czyjejś gościnności, więc nie mogę zwalić mu się na kark.

Winiarscy? Stara Winiarska natychmiast robi raban, jak zobaczy mój turban, a Michał nie ma na swoją matkę żadnego wpływu. Ta meta odpada. Inni kumple mają ciasne mieszkania i starych na kupie. Nie mam wyboru, muszę jechać do domu.

Wbrew logice, zdrowemu rozsądkowi i okolicznościom strasznie mi się nie chciało jechać do domu. Pomijając już, że nie bardzo wiedziałam, jak wytłumaczę swój stan — coś tam wymyślę, na gorąco odstawię jakąś wielką improwizację — nasz dom nie był już dla mnie tym, czym kiedyś. Przestał być domem, ot, był dachem nad głową, zbiorem potrzebnych sprzętów, przedmiotów, lecz nie gwarantował spokoju ani bezpieczeństwa. A czasami wręcz mnie brzydził. Ciągle wracało uczucie gorzkiego żalu do matki i uczucie wstrętu do tej pięknej fasady, poza którą kryje się podejrzane wnętrze.

A do tego na mansardzie tkwił ten sługus sutenera, jeśli mnie zobaczy w takim wydaniu, mogą powstać jakieś skojarzenia...

Jednak podałam swój adres, no bo gdzie miałam się podziać?

Gdy skręciliśmy w przecznicę, zobaczyłam idącego z przeciwnej strony Omerowicza; czyżby on także wracał z Wilanowa?

— Nie!!! — chwyciłam Konrada za rękę i naprawdę nie udawałam przerażenia. Boże, Omerowicz nie może mnie zobaczyć właśnie teraz i w takim stanie. — ...jedźmy stąd, gdziekolwiek... Niech mnie pan stąd zabierze! — wszeptywałam mu w ucho.

Gdzieś tam w środku inna Dorota, rozsądna i opanowana, wytykała, że zachowuję się jak gówniarz. Ale gówniarz nie reagował, tylko garnał się do tego mężczyzny, o którego istnieniu jeszcze kilka godzin temu nic nie wiedział.

— Szefie, zmieniamy trasę — powiedział do szofera i wymienił adres.

Mieszkał w kawalerce na dziesiątym piętrze, w jednym z tych olbrzymich bloków, przypominających monstrualne termitiery.

— Nie wydaje ci się, że sufit przyciska człowieka do parkietu? — powiedziałam cokolwiek, bo przez cały czas nie odzywał się do mnie, a poza tym bardzo chciałam powiedzieć mu: TY. Ale istotnie mieszkanie było niskie, a wielkość pokoju, chyba ze trzydzieści metrów, jeszcze to wrażenie potęgowała.

— Nie wydaje mi się... Czekałem na ten sufit sześć lat! — z wnętrza tapczanu wybierał pościel i ciskał ją na fotel. Z szafy w przedpokoju wywlókł piżamę. — Trzymaj! — rzucił mi ją w ręce. — Jesteś głodna? Jajecznica, wędlna, są poza tym jakieś konserwy!

Nie byłam głodna.

— Możesz iść do łazienki, ale weź tylko prysznic... z tą twoją głową nie należy wylegiwać się w wannie.

Posłusznie pomaszerowałam do łazienki i nie wylegiwałam się w wannie; bolała mnie noga poszarpana tym cholernym drutem. Nie śmiałam bobrować w wiszących szafkach — w przeciwieństwie do pokoju, łazienka, podobnie jak i wnęka kuchenna, a także przedpokój były miniaturowe.

— Nie masz trochę bandaża i jodyny? — wytknęłam głowę.

— Co tam jeszcze?

— Noga.

— Chodź tutaj! — wróciłam opatulona w pizamę. Podciągnęłam nogawkę, demonstrując pokancerowane udo. Przyniósł środki opatrunkowe.

— Zdejmuj portki! — zawahałam się i spojrzałam na niego spłoszona. Czułam, jak się rumienię, i było mi głupio, że tak dennie reaguję.

— Panienska ma opory! — pokiwał głową. — Zdejmuj te majtki, co ty sobie wyobrażasz, szczeniaku, że w życiu dupała nie widziałem?

Ściągnęłam te nieszczęsne spodnie i upokorzona odwróciłam od niego oczy. Co za cham!

— Czy będą szramy? — usiłowałam pertraktować.

— Od dobrego pasa byłyby większe, a zdaje się, że ci właśnie tego brakuje — wysmarował mi nogę gencjaną; pochylał tę piękną głowę nad moją nogą i ani drgnął. Grubianin! — to było ze słownika Anieli.

Wiedziałam, że jestem ładna, że nic mi nie brakuje, że mam dobre nogi, tylko ten cholerny warkocz i idiotycznie dziecinna gęba upodobiały mnie do podlotka, ale przecież uda mam jak Bóg przykazał, a ten! Patrzy na mnie, jakbym była meblem, obmacuje biodra, jakby to był drewniany kloc.

— Gdzieś się tak podrapała? — skończył opatrunek, zawiązał bandaż na supeł.

— Też w kanale.

— Tam były piranie?

— Nie... mam kochanka sadystę!

— To go zmień — szykował sobie posłanie na turystycznym materacu.

— Gdybyś był grzeczniejszy, wymieniałabym na ciebie.

— Na mnie nie licz — nawet nie spojrzał w moją stronę. Gbur! Poklepał poduszkę, rozesał śpiwór, wtedy odwrócił się do mnie: — jazda do łóżka! — jednak budził we mnie respekt, posłusznie zawinęłam się w kołdrę.

— Zupełnie nie interesują cię kobiety? — wiedziałam, że zachowuję się głupio, ale powinien przecież objawić chociaż cień zainteresowania; to już była sprawa mojej ambicji.

— Kobiety? Owszem! — wpakował się w śpiwór.

— Zachowujesz się obraźliwie — miauknęłam, bo okropnie mnie dotknął jego ton; ma mnie za jakiegoś skrytopłciowego podlotka. — Nie interesuje cię, dlaczego tu przyszłam?

— Jak wymyślisz coś nowego, to na pewno mi powiesz, a teraz śpij, do cholery! I mnie także daj spać, muszę być o siódmej w klinice!

Oniemiałam, a potem ryknęłam sobie głośno i serdecznie, bo znów zwała się na mnie cała moja samotność i ogromny ciężar tej tajemnicy, którą nie mogłam się z nikim podzielić.

Zaszeleściła pościel, skrzypnęła podłoga pod jego stopami — przysiadł obok mnie na brzegu tapczana.

— No, cicho, mała... — powiedział to dobrym, już nie tym szorstkim tonem, głosem mężczyzny bezradnego wobec kobiecych łez. Znałam to. Tak reagował mój ojciec, ale ja nie chciałam od niego ojcowskich pocieszeń.

Położył mi dłoń na czole, chłodną, spierzchniętą dłoń lekarza.

— Mam na imię Dorota — zahuczałam w świeżym przypiływie żalości, bo dotkliwie pamiętałam, że nie zapytał nawet, jak się nazywam.

— Nie płacz, Dorota — pogłodził mnie ostrożnie po ramieniu — uspokój się, jutro będziesz mniej wzburzona, wtedy porozmawiamy... Wieczorem świat zawsze wydaje się bardziej ponury... — i dalej tak przemawiał jak do głupawego dziecka. — ...No, cicho, postaraj się zasnąć... Możesz tu zostać...

Spałam źle. Rano słyszałam, jak ostrożnie poruszał się po mieszkaniu, plusk wody w łazience, ale udawałam głęboki sen, bo trochę wstydziłam się swoich wczorajszych popisów, a trochę bałam, aby nie kazał mi się zabierać.

Wstałam zaraz, gdy tylko wyszedł; na bufecie w kuchni znalazłam mleko, puszkę neski, pieczywo, wędlinę, a także klucz i kartkę. Pisał:

Dorota! Gdybyś musiała wyjść, to masz klucz od mieszkania. Od windy zapasowego nie mam. Rozgość się — Konrad. Mój numer do kliniki... — widniało w dopisku.

Nie rozgościłam się i po namyśle nic do niego nie napisałam, ale klucz od drzwi, które starannie zamknęłam, schowałam jak talizman.

Pierwszą osobą, na którą się natknęłam w domu, była Aniela. — Dorota, aż ty Boga w sercu nie masz — skoczyła na mnie z punktu — ani wstydu, gdzie ty się badziasz po nocy, gdzie ty łąfrujesz, jeszcze co wyląfrujesz...

— Bliźnięta! — odszczeknęłam się, bo jednak bałam się spotkania z matką.

— Uuch, ty paskudo, bezwstydo! Tobie skórę złoić — dotychczas tak rozzartej Anieli nie widziałam; nie było co kryć, przebrałam miarę.

Pędem umknęłam do swego pokoju. Ledwo zdążyłam zrzucić te łąchy, z których diablo trudno byłoby mi się wytłumaczyć, i zawinąć w szlafrok, wtargnęła matka, a za nią Aniela.

Zbierałam siły do ciężkiej przeprawy.

— Dorota, jak mogłaś nam co zrobić... — miała taką zbiedzoną twarz i taki udęczonego głosu, że ja, przygotowana do zaciętej obrony, poczułam się jak przekłuty balonik; zanim zaczęłam grę,

moja stara wytrąciła mi kartę.

— Przepraszam cię, mamó, zaraz... — naprawdę byłam skruszona i łagodna jak baranek.

— Uuch! Pani to zawsze, za przeproszeniem, za bardzo tej dziewczusze folguje, z jedynaka to ni pies, ni sobaka... Zobaczy pani, tylko patrzeć, jak co w fartuchu przyniesie, wtedy trza będzie wziąć dudy w miech... — Aniela postawiła ponurą prognozę, dotyczącą losu mamy jako babki bękarta, nie wiem dlaczego koniecznie przyniesionego w fartuchu; ona już miała takie swoje powiedzonka. Pieniła się dobrą chwilę, pragnęła natychmiastowej egzekucji.

Opadły mnie refleksje; jakież podobne są do siebie te dwie jakże różne kobiety. „Upilnować” dziewczynę! Uchronić ją przed hańbą samotnego macierzyństwa — to najważniejsze! A cała reszta grząskich, ciemnych spraw ludzkiego życia to się nie liczy, to zostaje między nami.

— Jeśli coś przyniosłam w fartuchu — zniecierpliwiał mnie jazgot Anieli — to przecież twoje krzyki już nic nie zmieniają! — usiłowałam przemówić jej do rozsądku Ale słynny zdrowy rozsądek naszej Anieli zawodził w materii bachorów, bękartów, bastardów.

— Nie odszczekuj się!... Kto nie słucha ojca, matki, ten psiej skóry posłucha — szalała bez sensu, bo moja matka bezradnie milczała i chyba podzielała jej zdanie?

— Spójrz, mama — musiałam to jednak jakoś rozładować, a wiedziałam, że nic tak nie załagodzi konfliktu jak „kuku”, które stało się ich „dziecku”. Chwył był niezawodny, toteż zastosowałam go z całą perfidią i wyrachowaniem. — Spójrz, mama — rozchyliłam włosy, demonstrując wystrzyżoną łatę i zupełnie imponujący szew.

— Jezus, Maryja! — pierwsza skruszała Aniela. — Co ci się stało, połóż się, dziecko! — już nie byłam paskudą.

Pokaleczonego uda przezornie nie sprezentowałam, bo wystarczająco zadziałała rozwalona głowa; miałam zresztą wcale zgrabną opowieść na temat rany na głowie, a skaleczenia na nodze w żaden sposób do niej nie pasowały.

— Połóż się! — w mojej mamie obudziła się rutynowana pielęgniarka. Fachowo obejrzała szew. — Byłaś w pogotowiu?

— Mhy! — jako posłuszne dziecko nurknęłam w łóżko. Uff, najgorsze minęło, byłam znów na łonie rodziny. Uczęstowałam ją nieco szokującym opowiadaniem, rzucając na żer Pinokia — daruj, kochany chłopcze, czas wszystko załagodzi, a moja matka na pewno ci przebaczy.

A więc u Pinokia zde gustowałam starkę — było oczywiście większe towarzystwo. W łazience pośliznęłam się na zbyt wyfroterowanej posadzce i uderzyłam makówką o kant wanny.

— Ile wypiałaś tej starki? — dochodziła matka.

— Ze trzy kieliszki, tak na oko, chyba po pięćdziesiąt gram każdy — szczerze popatrzyłam jej w oczy. Uwierzyły mi obie. Przekonanie o mojej prawdomówności działało jeszcze ciągle i będzie działało nadal, dopóki nie sypnę się na jakimś głupim kłamstwie.

Ostatecznie nic dziwnego, przez osiemnaście lat pracowałam na tę opinię.

Jakaż byłam naiwna, znacznie później miałam się przekonać, że matka nie uwierzyła w ani jedno moje słowo. Nie powiedziała mi o tym wówczas, bo po prostu bała się tego, co mogę jej odpowiedzieć, jeśli zarzuci mi kłamstwo.

— I rzygałaś? — zmartwiła się Aniela; rzyganie po wódce według kodeksu Anieli było potężną ujmą na honorze, a już w szczególności kobiecym. Oczywiście to jeszcze nie to, co mieć bękarta, ale było tuż przed nim, bo prowadziło właśnie do takich następstw.

Skwapliwie przyznałam się do tej hańby, moja opowieść zyskała na realizmie.

— Musi jej coś zaszkodziło! — z mocą usprawiedliwiała mnie Aniela; jej kodeks dopuszczał subtelne niuanse. Jeśli po alkoholu rzygał ktoś obcy, to było wiadomo, że uchlał się jak świnia. Jeśli ktoś bliski, to: musi mu coś zaszkodziło.

Moją głowę obejrzał szef matki i odpalił mi dziesięć dni zwolnienia; świetny konsyliarz, chwala mu za to! Niezmiernie cieszyła mnie ta wolność. Nie będę musiała migać się od budy i

wysłuchiwać ciągłego gadania o braku ambicji cudziej zainteresowań i ponurych przepowiedni na temat mojej przyszłości.

Trochę posiedzę w domu, aby wszystko przyszło, dosłownie i w przenośni, ale działać nie przestanę. Tylko co dalej?

Wydzwoniłam Michała Winiarskiego; studiował mechanikę precyzyjną, co tam dla niego znaczy dorobienie kluczy, jeśli tylko zechce.

— Daj mi na wzór — powiedział, gdy go poprosiłam.

— Ze wzoru to byle ślusarz potrafi...

— To trzeba wymontować zamek.

— Michał, nie mam ani kluczy, ani zamka.

— Pozostaje złodziejska metoda... — przyjrzał mi się spod oka. — Dorota, co ty chcesz zrobić?

— Użyć kluczy zgodnie z ich przeznaczeniem, otworzyć szuflady.

— Nie wygłupiaj się.

— O nieodrodne dziecię kauzyperdy! Mój stary także ma na półce kodeks karny, więc nic z tych rzeczy, rozumiesz?

— Ile ci trzeba tych kluczy? — mruknął po chwili.

— Dwa... albo trzy... nie wiem — powiedziałam, bo w tej chwili olśnił mnie tak zuchwały pomysł i tak kuszący, że aż mi dech zaparło. Czy odważę się na taki numer? Gdyby tak sforsować drzwi mieszkania Banaszczaka i zrobić u niego cichy przegląd.

— Jakie to mają być klucze?

— Zwyczajne, no, klucze jak klucze — nie miałam pojęcia o technicznej stronie zagadnienia.

— Na niewidzianego nie dorobi kluczy nawet spółdzielnia „Skarbiec” — mądrzył się Michał.

— To do głupiej komody!

Michał przyniósł mi surowy klucz, okopcił go i kazał przymierzyć do zamka.

— A jeśli w ogóle nie wejdzie?

— To trzeba będzie dopasować trzon o innym przekroju — pouczył mnie z miną dżentelmena-włamywacza.

Komoda Omerowicza oparła się jednak wszystkim naszym wysiłkom. Michał był niewątpliwie świetnym żeglarzem, kochanym kumplem, korbą z mechaniki precyzyjnej, ale o dorabianiu kluczy nie miał zielonego pojęcia. Żeby mu oszczędzić frustracji, powiedziałam, że to cholernie stare i skomplikowane zamki, bo mebel antyczny.

— Pewno wielozastawkowe — stwierdził z miną eksperta.

Ale na razie odechciało mi się zagłędania do komody Omerowicza i właściwie wszystkiego, bo... zaczęła się moja cena strachu; teraz przez te kilka dni przymusowego odpoczynku, bo jednak w dzień tkwiłam w domu, składając haracz na rzecz moich wiadomości przewidzianych programem szkolnym, zorientowałam się, że wokół mnie dzieją się rzeczy dziwne.

Podśluchiwano moje telefony i to na ogół wówczas, gdy matki i Anieli nie było w domu; na ulicy kilkakrotnie wydawało mi się, że chodzą za mną jakieś podejrzane typy, a któregoś wieczoru dostrzegłam z okna sylwetkę człowieka, czającego się w cieniu drzew po przeciwnej stronie ulicy; to już nie było przewrażliwienie — facet wyraźnie obserwował nasz dom!

W dodatku ktoś bobrował w moim pokoju, grzebał w moich rzeczach. Nie, nie jestem panikara i w pierwszej chwili moje podejrzenie padło na Anielę. Aniela zawsze była trochę wścibska, a to jej wścibstwo brało się z nawyku czuwania nad d z i e c k i e m , i nic nie wynikało z faktu, że d z i e c k o skończyło w lipcu osiemnaście lat — Aniela nadal czuwała. A teraz, po tej chryi, gdy nie wróciłam na noc i rankiem objawiłam się z rozkwaszoną głową, staruszka przejęła się i zapewne profilaktycznie barłoczyła mi pokój.

Irytowała mnie ta opieka i już miałam zamiar powiedzieć jej, że jeśli nie zaniecha tych

praktyk, to narobię jej wstydu i ostentacyjnie wymienię zamek. Zaraz jednak powstrzymałam się; nie, nie mogę tak z nią postąpić, zbyt ciężko by to przeżyła, przecież czyniła to z najlepszych pobudek, z przywiązania i troski o mnie. A niech tam... starym ludziom należy ustępować, i w końcu co takiego mam przed nią do ukrycia? Te trochę kosmetyków? Wprawdzie wolałabym, aby ich nie widziała... i co jeszcze?

Karty! — te cholerne, szpikowane dolarami dwie talie, które z początku pozostawiłam w szufladzie ojca, ale po namyśle zabrałam i schowałam u siebie w pokoju.

I dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że upłynął wystarczająco długi czas, aby ten gość z rue La Fayette zdążył zawiadomić warszawskich nadawców, że wprawdzie otrzymał karty, lecz bez banknotów. A jeśli je odesłał, to Omerowicz na pewno rozpoznał w nich talie podarowane mojemu ojcu. Na pewno! Był ich autorem, a przecież nawet ja pamiętałam, że różniły się rysunkiem i kolorami arabeski na koszulkach od tych, przeznaczonych do Paryża. I niewątpliwie pamięta, że to MNIE wręczył ten p r e z e n t zaadresowany do przyjaciela w Paryżu, i to JA zapakowałam rzeczy ojca do walizki. A więc jest w domu!

Zrobiło mi się słabo — tak jeszcze nigdy się nie bałam, chyba nawet wtedy, gdy uciekałam jak szalona przez łopiany nad wilanowskim kanałem.

Wsiąkłaś, Zasławska! — zatrzepotał kitą mój osobisty zajac. O, głupia! Bałaś się Anieli, że znajdzie szminkę i pastele do oczu, nie utrzymasz się od śmiechu, jeśli ONI wyszperają podmienione talie.

Rzuciłam się do tapczanu i... odetchnęłam. Pod jego pudłem, przy ścianie, namacałam znajomy pakiecik, bo tam ukryłam te przekłete karty, szpikowane dolarami. I mimo strachu, zaczęłam się śmiać, bo ta zamiana znów mi się wydała pysznym kawałem, zrobionym szczerwanym draniom, i wiele bym dała, aby zobaczyć ich miny — byłam widać bardzo lekkomyślna, nie zdawałam sobie sprawy z sytuacji, w jaką zabrnęłam, i z oślim uporem brnęłam

dalej. Może to i dobrze, bo inaczej zbzikowałabym ze strachu. Zabrałam karty spod tapczanu, odtąd nosiłam je stale przy sobie i nie mogłam pozbyć się wrażenia, że w torbie mam granat, który w każdej chwili może eksplodować. A co gorsze, miałam świadomość, że stale mnie ktoś obserwuje, i znów się śmiertelnie bałam, już nie tylko o jakiś świński kawał ze strony Banaszczaka et consortes, ale także o swój munio. Czułam, że popadam w obsesję, graniczącą wręcz z manią prześladowczą, i oczyma duszy widziałem się już w zakładzie dra Kaczanowskiego w Pruszkowie, alias w Tworkach.

Niebawem przekonałam się, że o moje klepki, przynajmniej na razie, mogę być spokojna.

Wracałam z miasta, mogła być jedenasta — po „zgubieniu” Longinesa żadne z rodziców nie pośpieszyło, aby córeczce odbudować czasomierz, to także należało do ich metod wychowawczych — w okolicach Wawelskiej, gdy skracałam sobie drogę przez zadrzewiony i obsadzony krzewami skwer, jak spod ziemi objawił się przede mną nieprzyjemny na optykę facet.

— Laleczka tak sama... — zaszczębiotał sznaps-barytonem i zrobił ruch, jakby chciał położyć mi łapę na piersi, albo ściągnąć torbę, którą miałam przewieszoną przez ramię. Mimo cholernego boja dopisał mi refleks.

— Sierzancie, on tu jest!!! — rozdarłam się z mety, zresztą nic innego nie mogłam zrobić, tylko się drzeć, bo typ był zbyt blisko, abym mogła uciec. Trwało to moment, ale przez ten moment zorientowałam się, że tę właśnie twarz zarejestrowałam już kilka razy w pobliżu siebie na ulicy; nie była to więc mania prześladowcza. — ...sierzancie, prędzej, tutaj! — ryczałam jak gigantofon, gdy typ dawał nogę w krzaki, bo zaraz po moim pierwszym wezwaniu uwierzył w nie istniejącego sierżanta.

Mnie także charakter wszedł w pięty i jak jelonek pomykałam do domu, ale po tym zdarzeniu nie śmiałam wieczorem poruszać się po mieście.

Sytuacja była parszywa; uświadomiłam sobie, że wydałam wojnę szumowinom zdolnym do najgorszego i że sama sobie z tym nie poradzę.

Tylko nie dać się zastraszyć!

Człowiek jest dziwnie urządzony, poprzednio tylko pod wpływem wyobrażenia, co oni mogą zrobić, kwiczałam z przerażenia, a teraz przycichł mój zajac, a zaparł się we mnie wszystkimi czterema kopytami osioł, wspaniałe i cholernie krnąbrne bydlę... Muszę mieć obstawę! I wiedziałam, kogo o to poproszę; jest taki chłopak jak gladiator, z pięchą jak kowadło, i wiedziałam, że on mi pomoże....

* * *

— Kazimierz Omerowicz Akademię Sztuk Pięknych ukończył chlubnie, wyróżnił się nawet pracą dyplomową i zdaniem znawców zapowiadał się... Po tych znakomitych prognozach jego ojciec, hodowca eksportowych nerek w Kobyłce, sprawił mu świetną pracownię, godną artysty in spe, niech dziecko ma...

Adwokat mówił to monotonnie, beznamiętnym głosem, zupełnie jakby czytał z kartki, a moje myśli absorbowwała Dorota, bo z moim d z i e c k i e m działa się źle, działa się coraz gorzej. Nie wiem, czy w ogóle dojrnie do matury; Dorota nie uczy się wcale i nic nie zapowiada poprawy. Łata braki erudycją, tupetem, kłamstwem... Z rozpaczą stwierdziłam, że Dorota kłamie.

— ...a dziecko, przeszło dwudziestoletni drab — z trudem koncentrowałam uwagę na tym, co mówił adwokat — obnosiło po modnych knajpach ekscentryczne garnitury, męki twórcze i spleen. Dumny z niego tato dawał garściami pieniądze, a tymczasem pod szklanym dachem atelier bieleły puste płótna i kilka rozpoczętych, a nigdy nie ukończonych knotów, za to często gościła tam chmara modelek i pełno było zawsze młodych plastyków i ich satelitów. A Kazio Omerowicz wciąż się zapowiadał...

I w naszym domu od lat kłębi się młodzież, ale dopiero teraz coś niedobrego stało się z

Dorotą. Tego ranka, kiedy przysłała do domu z rozbitą głową, uwierzyłam jej w pierwszej chwili, ale potem okazało się, że nie była na żadnej prywatce, nie była z kolegami. A więc gdzie była? I ja, matka, nie śmiałam zapytać, bałam się, by nie wykrzyczała czegoś, co odbierze mi ochotę do życia. Ona się chyba czegoś domyśla, ale skąd mogłaby wiedzieć?

— ...upływały lata, koledzy po fachu zdobywali nazwiska — znów jak fala nadpłynął spokojny głos adwokata — Omerowicz przerzucił się na ceramikę. Senior wyłożył kilkadziesiąt tysięcy i w pracowni stanął nowoczesny piec do wypalania. W atelier zmieniło się tylko tyle że zamiast płócien wałały się teraz niewydarzone skorupy... Po okresie gliny, fajansów i porcelany nadszedł czas eksperymentów w rzeźbie, ale wtedy rozczarowany tata Omerowicz zwątpił w geniusz syna i odmówił dotacji, natomiast poradził temu przeszło trzydziestoletniemu już wałkoniowi, aby zaczął wreszcie zdobywać środki na życie własną pracą. Rozgoryczony małodusznością i skąpstwem starego artysta zerwał z rodziną i... przestał się zapowiadać. Imał się różnych chałtur, sprzedał swój ceramiczny piec, a gdy go przejadł, zniknęli satelici. Przestał także bywać w modnych knajpach, co w niektórych środowiskach równa się zniknięciu z powierzchni życia — W rok później wypłynął i pokazał lwi pazur! Na wystawę jego prac przyszli z ciekawości dawni koledzy i znajomi. Omerowicz zadziwił! Zaprezentował styl, którego nikt się po nim nie spodziewał. Pokazał ekspozycję rzeźby, a znawcy orzekli, że te stylizowane prymitywy rzezane w lipowym drewnie mówią o niewątpliwej indywidualności twórczej. Prace zawierały to coś, co odróżnia dzieło sztuki od najpoprawniejszego nawet rzemiosła...

— Jak w słońcu, zaczął w sławie chodzić Kazio Omerowicz, jego rzeźby kupowano, nazwisko dostało się do prasy, stary Omerowicz znów uwierzył w swego wałkonia i rozwiązał mieszek...

— Kazio Omerowicz znów brylował w nocnych knajpach, życie było piękne. Jego prace poszły w lud, stały się modne i przynosiły niezłe dochody.

— Bomba pękła po kilku miesiącach... Odkryto starego człowieka, który był murzynem

Omerowicza. Kazimierz poznał go podczas włóczęgi w Bieszczadach, gdy po raz pierwszy ojciec przestał mu dawać pieniądze. Namówił dziadka do życia w mieście, a ponieważ szła zima, stary dał się bez trudu skaperować i zjechał do Omerowicza wraz ze swoimi rzeźbami. To właśnie te rzeźby Omerowicz zaprezentował jako płody własnego talentu, a gdy znalazły uznanie i nabywców, bez skrupułów gonił dziadka do roboty. Zdarzało się, że gdy odwiedzali go goście, brał starego pod klucz. Płacił artyście–analfabecie po kilka złotych od sztuki, a z tego jeszcze odliczał za wikt, mieszkanie, tytoń i gorzałkę, bo dziadzio lubił wypić...

— Afera była głośna w środowisku, senior Omerowicz szukał pomocy u mego kolegi, stąd tak dokładnie to wszystko wiem. Do sprawy sądowej nie doszło, pretensje dziadka zaspokoił stary Omerowicz. No, ale Kazia Omerowicza wyrzucono ze związku plastyków i odtąd znów zginął z horyzontu.

I czegoż innego mogłam się spodziewać po człowieku, zadającym się z Banaszcakiem?

Bogiem a prawdą oczekiwałam jeszcze gorszych rzeczy i informacje adwokata zupełnie mnie nie zaskoczyły.

Tylko co on robi u Banaszcaka? Sutener i oszust, czego może nawarzyć taka spółka? Sutener i oszust usadowieni w Monopolu Spirytusowym, bo już wiedziałam, że Banaszcak nie jest agentem „Homara”, tylko magazynierem w Monopolu.

A w moim domu działa się źle; przede wszystkim Dorota! Bałam się wpływu Omerowicza, więc poprosiłam Anielę, aby czuwała nad nią w czasie mojej nieobecności. Cierpłam na myśl, że moja córka pozostaje pod wspólnym dachem z tym małym złodziejem.

Aniela okazała się utalentowanym szpiegiem, nie czułam z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Każdy sposób wydawał mi się dobry, aby tylko bronić moją małą...

Na szczęście Dorota nie orientowała się, że Aniela podsłuchuje jej rozmowy z Omerowiczem,

a ja byłam teraz spokojniejsza; dziewczyna nie złapała się na urok tego żygolaka.

Ale w związku z Dorotą odezwał się Banaszczak. Omerowicz przyprowadził ją do „Homara”, a później moja dziewczynka przysłała tam także sama. Czego ona tam szukała, bo przecież nie Omerowicza, którego mogła zawsze spotkać w domu? Od tej pory nie przestawały dręczyć mnie złe przeczucia.

Banaszczak wyprosił małą i zakazał jej wstępu do „Homara”. Podobno nie zrobił tego elegancko, sam mi to wyznał; a jeśli on tak uważa, to wyobrażam sobie, jak to odczuła Dorota. Ale z dwojga złego, już lepiej tak. Nie powinna odwiedzać tej meliny. Mimo woli poczułam do Banaszczaka wdzięczność.

— Ale w jaki sposób powstrzymasz Omerowicza, aby nie bałamucił dziewczyny? — nie mogłam się oprzeć, aby nie zadać tego pytania.

— Już ty się nie martw, na niego także mam niezawodny sposób. Daję ci na to słowo, a moje słowo nie dym! — jego styl wysławiania się prawie nie uległ zmianie, ale zauważyłam, że przy mnie nie używa teraz plugawych słów.

Nie uległ także zmianie ten jego niezawodny sposób, przekonałam się o tym niebawem.

Był późny wieczór. Siedziałyśmy z Dorotą w bibliotece i właśnie zadzwonił z Paryża Adam. Boże! jak ja teraz mało myślałam o Adamie, jaki mi się wydawał odległy, niemal obcy; byłam zadowolona, że go tu nie ma. I tak bardzo bałam się go utracić! Nawet już nie to; chwilami wydawało mi się, że gotowa byłabym nawet na rozstanie, ale żeby odejść z tą twarzą, jaką on zna od dwudziestu lat. Żeby tamte odległe sprawy nie zamąciły pamięci naszych uczuć, naszej przyjaźni i tego wszystkiego, co nas łączyło.

Odejść od Adama? Ależ ja nie potrafię, nie mogę! Chyba tylko w śmierć. Gubiłam się w sobie, był we mnie straszny zamęt, jak długo wytrzymam?

Ale tego wieczoru siedziałyśmy z Dorotą i po telefonie ojca ona jakoś tak roztajała

wewnętrznie; ostatnio była chłodna, oschła, zamknięta w sobie i taka... zbyt dorosła.

Teraz odetchnęłam przy niej, miałam złudzenie, że jest znów tak między nami, jak przed tym, zanim pojawił się ten upiór.

Oto było przy mnie moje udane dziecko. Dziecko! Wspaniały przyjaciel, dorosły, ukształtowany i myślący człowiek, człowiek z charakterem. I przecież w tym była także moja zasługa.

To była m o j a córka! Moja wspaniała córka, jakże lepsza, wewnętrznie piękniejsza ode mnie.

A przed chwilą rozmawiałam z moim mężem! Mężczyzną, którego kochałam ponad wszystko.

Kochałam za to, jakim był, i nie pragnęłam nigdy go zmieniać. Byłam z niego dumna i cieszyło

mnie, że jest wykształcony, ogólnie szanowany, mądry; że mimo tych godności, jakie piastuje,

zachował tyle młodzieńczej świeżości, jakąś ładną nonszalancję, żywość usposobienia i

niezależność. Naturalną niezależność charakteru, własne zdanie, twardy kark, którego nie zgiął

mimo zakrętów kariery, z którą przecież różnie bywało w tych poplątanych powojennych latach.

Najlepsze cechy Adama odnajdowałam w Dorocie; a i jego wady — upór, koźli upór, który

gdy się objawiał, nie było na niego rady, także porywczosć, . objawy gniewu podobne wichurze,

pewien egocentryzm i zarozumiałość. Dostrzegałam te wady, czułam je niejednokrotnie na

własnej skórze; nie, nie byli aniołami ani łatwymi we współżyciu, ale kochałam ich ślepo i za ten

brak układności. Utrudniał życie, ale należał do nich, razem z innymi — dobrymi i złymi

cechami — tworzył taką, a nie inną osobowość. Niepowtarzalną.

Robiłam wszystko, aby im dorównać, żyć z nimi, a nie obok nich. Może to źle, że żyłam tylko

nimi, tak bez reszty oddana i wciąż w nich zapatrzona... Może przez to teraz tak strasznie się

boję? Jeśli oni odejdą, dla mnie skończy się świat.

Siedziałam w fotelu z książką w ręku, pogrążona w tych myślach i nie wiedząc, co czytam,

gdy nagle jak burza wpadła Aniela; bez słowa rzuciła się do telefonu.

— Pogotowie milicji? Ady biją naszego lokatora, a my kobity same, chuligany biją, taka bezkarność, żeby pod spokojnym domem w eleganckiej dzielnicy... — grzmiała na jednym oddechu, aż widocznie przywołana do porządku po tamtej stronie przewodu, nieco przytomniej podała numer naszego telefonu, adres i nazwisko.

— Kogo, gdzie biją?! — nie bardzo rozumiałam.

— Omerowicza biją, ot!, pod naszą bramką... a kogo by — dyszała Aniela.

Dorota, zanim zdążyłam ją powstrzymać, wybiegła z mieszkania tak jak stała; a my przerażone podążyłyśmy za nią.

— Łobuzy, oprawcy, zaraz tu będzie milicja!!! — nieprzytomnie krzyczała moja córka, biegnąc przez ogród.

U Winiarskich otworzyło się okno, trzasnęły drzwi, wybiegł Michał. Po płytach chodnika zabębniły kroki — ktoś uciekał, i wszystko ucichło.

Po chwili nadjechał milicyjny radiowóz, ale spod parkanu zbierał się już tylko samotny, pokrwawiony Omerowicz.

— W którą stronę uciekli, kto z państwa widział? — dopytywał się sierżant. Dorota wskazała kierunek. Sierżant wsiadł do radiowozu i odjechał w pościg. Pozostał plutonowy.

Michał Winiarski z milicjantem pomogli dźwignąć się Omerowiczowi, kazałam go wprowadzić do biblioteki.

Wyglądał okropnie, ale był przytomny. Ściągnęłam z niego ubranie, był bardzo pobity, ale żadnych złamań nie stwierdziłam. Ciemne, olbrzymie sińce rozplęwały się po jego ciele — fioletowa plama zalewała splot słoneczny.

Opatrywałam mu rozbite wargi, podpuchnięte oczy — gdy na to weszła Dorota. Ze ściągniętą twarzą; rozszerzonymi oczyma, wpatrywała się w Omerowicza. Nie ruszyła palcem, aby pomóc, opadła na fotel jak ścięta. Pomagała Aniela — Może pan mówić? — plutonowy cierpliwie

siedział z notatnikiem w ręku. Plastyk skinął głową, ale nie umiał nic powiedzieć na temat wyglądu napastników.

Zaatakowało go dwóch mężczyzn, rzucili się na niego niespodziewanie z tyłu, był w tym momencie na wysokości naszego domu. Niewiele widział w cieniu drzew ogrodu. Dostał w kark, potem bykiem w brzuch, i wtedy upadł.

— Mówili coś? — zapytał milicjant.

— Tak... ty skurwysynu — skrzywił się nasz lokator.

— Zwięźle — mruknął plutonowy. — Nic więcej? — nie, więcej nie padło ani jedno słowo.

— Ma pan jakieś porachunki, naraził się pan jakiejś szpanie?

— Panie! — oburzył się Omerowicz — jestem plastykiem, a nie żadnym lumpem! Zamiast szukać chuliganów, napadających spokojnych ludzi, urządza mi pan przesłuchanie, jakbym to ja był przestępcą.

I wtedy poraziło mnie to podejrzenie! Otóż i ów niezawodny sposób Banaszczaka.

Czyżby to było bicie z jego ręki? A może on sam był pod naszym domem i dlatego

Omerowicz nie określił rysopisów?

Chociaż nie sędzę... Banaszczak nie ryzykowałby zatargu z milicją, na którą zawsze można się przecież natknąć. Kiedyś, w czasach, o których nie chciałam pamiętać, do flekowania miał zawsze specjalnych żuli.

A więc w ten sposób broni mojej córki?" Mrowie przeszło mi po grzbiecie na myśl, co mogłoby się wydarzyć, gdyby ten bandzior któregoś dnia wystąpił przeciwko Dorocie... Boże! Niech on nie śmie tknąć mego dziecka, bo... czerwona mgła przysłoniła mi oczy.

Zastanawiałam się, czy porozmawiać z Banaszczakiem o pobiciu malarza. Nie! Nic mnie nie powinny obchodzić ich porachunki. Mógłby uznać, że za wiele wiem lub wtrącam się w nie swoje sprawy. Żadnych rozmów z Lametą!

Następne wydarzenie wytrąciło mnie z równowagi i zmieniałam moje postanowienie. W kilka dni później ktoś wybił szybę w pokoju Adama. Okna parteru chroniły kraty, natomiast piętro nie było zabezpieczone, bo i po co?

Tak na oko nie było widać śladów kradzieży, zresztą nie było tam żadnych kosztowności poza cennym księgozbiorem fachowej literatury.

Przyglądając się bliżej, zauważyłam jednak ślady bobrowania wśród książek. Pokój Adama był starannie sprzątny, ale w taki sposób, aby wszystkie przedmioty pozostały na swoim miejscu, to znaczy tam, gdzie położył je gospodarz.

Przywykłyśmy do tego od lat i szanowałyśmy jego obyczaje. Doszłyśmy do takiej perfekcji w porządkowaniu, że żadne pismo, żadna fiszka, ba! żaden ołówek nie został nigdy przesunięty i żaden — ślad nie zdradzał naszej obecności w jego pokoju.

A teraz na regale z książkami widać było wyraźnie, że ktoś tam szperał. Przecież nikt z domowników — pomyślałam od razu o Omerowicza — nie wybijałby szyby, aby się dostać do pokoju, którego nigdy nie zamykano na klucz.

Ktoś wszedł przez okno? Ale w jakim celu, czego właśnie t u t a j mógł szukać? Wdrapywać się po murze do pokoju, w którym można ukraść kodeks karny? Nic mi tu nie pasowało.

Szczególne uwagę zwróciłam na półkę, gdzie stały stare, posiadające wartość zabytków publikacje z dziedziny prawa karnego; były tu i bibliofilskie rzadkości, grube foliały drukowane gotykiem, tłoczone na Welinie, oprawne w safian, płótno, z ozdobnymi inicjałami. Adam był do tych książek szczególnie przywiązany. Chlubił się niezwykłymi nabytkami.

Wzięłam skorowidz, aby sprawdzić zawartość półki; gdy przełożyłam pierwszy z brzegu tom, wypadła przeciążona i być może od dawna już nadwerężona deska, a może puściły uchwyty i książki runęły na podłogę.

Zbierałam je jak relikwie, pieczołowicie oglądałam każdą, czy aby się nie uszkodziła — to

byłby cios dla Adama. Ale na szczęście żadnej nic się nie stało. Sprawdziłam wreszcie według katalogu — niczego nie brakowało.

— Ruszałaś coś na tej półce? — zawołałam Anielę.

— A niech pan Bóg broni! Co to ja nie znam naszego pana? A szybę jaka szkacina wytlukła? Musi ktoś zostawił otwarte okno — pokiwała ze zgorszeniem głową.

Gdy weszłam do pokoju, okno było zamknięte, ale pozostawiłam Anielę w przeświadczeniu, że to powiew wiatru wytrącił szybę.

Dorota po obejrzeniu urwanej półki wzruszyła ramionami.

— Zawołaj stolarza, trzeba ją naprawić... Szyba? No przecież widzę, nie ma co medytować, trzeba zawołać szklarza.

Bąknęłam coś o włamaniu.

— Matka, czytałaś się kryminałów? Opanuj się! — potem przyjrzała mi się i serdecznie objęła ramieniem, ale takim opiekuńczym gestem, którego dotychczas u niej nie widziałam.

Jestem przeczulona — pomyślałam — i stałam się podejrzliwa. Ale wybita szyba i oberwana półka nie dawały mi spokoju. Nie umiem wytłumaczyć dlaczego, ale nie mogłam uznać tego za zwykły przypadek. Zdecydowałam się także zapytać Omerowicza.

— Ależ proszę pani — zademonstrował urażoną godność — czy wyglądam na kogoś, kto zakrada się do cudzych pokoi? — rzeczywiście, ten mały oszust nie wyglądał na to, ale na pewno był do tego zdolny.

Dręczyło mnie to błahe na pozór wydarzenie; zdecydowałam się powiedzieć o tym Banaszczakowi, chociaż sam widok tego człowieka był dla mnie ciężkim przeżyciem.

W „Homarze” go nie zastałam; z trudem uzyskałam jego adres od barmanki, pani Bisi; patrzyła na mnie jak na wroga, wydukała wreszcie nazwę ulicy i numer domu, a potem podała telefon i poradziła, abym najpierw zadzwoniła.

Wykręcał się, wyraźnie nie chciał mnie widzieć — nastawałam, bo nie rozumiałam, co się za tym kryje, a to nasuwało mi na myśl najgorsze przypuszczenia; wreszcie bardzo niechętnie zaprosił mnie do domu.

— Do diabła, jesteś ostatnią osobą, jaką pragnę widzieć! — ogarnęła mnie złość — więc chyba mam powody, jeśli sama cię szukam. Nie interesuje mnie, gdzie i jak mieszkasz, jeżeli ci o to chodzi. Przyjdź do „Homara”...

— Nie mogę... — stęknął — jestem chory — dopiero teraz uderzył mnie jego bełkotliwy głos — więc musisz przyjść do mnie!

— Pijany jesteś?

— Co ci przyszło do głowy — wyseplenił.

Otworzył mi drzwi jakiś taki zgarbiony; jeszcze nie zorientowałam się, co mu dolega. Dopiero gdy zaprosił mnie do pokoju, pojęłam, co to za choroba.

Już dawno nic mnie tak nie ucieszyło. Musiałam panować nad twarzą, aby mu się nie roześmiać w nos. Ta wredna gęba, ten bandycki pysk nosił ślady tęgiego lania. Zrobiono go fachowo, z wyjątkową precyzją i znajomością rzemiosła.

Tu tkwiła przyczyna niechęci do spotkania ze mną, po prostu nie chciał sprawić mi tej satysfakcji. No i zapewne ten ambit rzezimieszka.

Niezwycięzony Lameta! Mistrz kastetu i noża, największy kozak... Ale to już nie te czasy. W jego parszywym fachu także wyrosło już nowe pokolenie, godni przeciwnicy. Ile on może mieć teraz lat, ponad pięćdziesiąt?

To zaczynało być interesujące; niemal w jednym czasie, każdy w innym miejscu mistrz i jego pomocnik zostali unieszkodliwieni co najmniej na kilkanaście dni.

Omerowicz wziął odwet na szefie? Bunt żuli, konkurencja, dintojra? Boże! Nie miałabym nic przeciwko temu, aby się sami między sobą powykańczali. Amen.

— Kto cię tak urządził? — nie mogłam nie zauważyć jego zmasakrowanej twarzy. To rzucało się w oczy.

— Miałem kraksę — miał tę ambicję; kiedyś podobno najzręczniejszą władał szpadryną, więc jak tu się przyznać.

Ty ponury alfonsie, może cię wreszcie ktoś utłucze — modliłam się w duchu. — Jakieś gorsze zwierzę niż ty. Tylko czy może być gorsze?

— Rozwaliłeś wóz?

— Eee, drobiazg... Z czym przyszedłeś?

Powiedziałam, co sędzę o wybitej szybie i zerwanej półce.

— Nie dotrzymujesz umowy albo nie panujesz nad współnikami, Lameta! — specjalnie podkreśliłam to przezwisko.

— Zgubiłaś swój zawód? No, to ja też! I nie traktuj mnie z góry, ty wielka pani — po co ja go drażnię, tę bestię? — Zginęło co z domu, stratna jesteś?... Cholera, nie idzie żyć, dookoła same złodzieje, ale ja z tym zrobię wreszcie porządek... — pomstował; nie rozumiałam, o czym on mówi — Nic nie zginęło, ale ja żądam spokoju w moim domu! Mam prawo zerwać naszą umowę i to bez wypowiedzenia!

— Ty mnie nie podgrażaj! Z tobą ja sobie zawsze poradzę...

— Bywają desperaci! — Bój się Boga, jeśli nawet, dajmy na to, przestawił ci półkę, to co się stało, do jasnej cholery?

— On ma mieszkać na mansardzie, a nie w całym domu! Jakim prawem przewraca mi rzeczy, czego tam szuka? Kazałeś mu?

— Jeśli on coś zrobił nie tak jak trzeba, to już ja się z nim porachuję, bądź spokojna — mówił o Omerowiczu tak, jakby nie miał pojęcia, że tamten także liże rany.

Udaje? Nie, on po prostu nie wie! To nie z jego polecenia pobito tamtego, a Omerowicz mu

się nie przyznał.

Nie rozumiałam dlaczego, ale teraz historia z szybą wydała mi się błaha. I w ogóle po co narażałam się na to okropne spotkanie? Znacznie później miałam zrozumieć, że intuicyjnie czułam niebezpieczeństwo i usiłowałam mu zapobiec.

— Słuchaj — zatrzymał mnie już przy drzwiach — mogłabyś dać mi penicylinę?

— Jak to, dać? — nie rozumiałam.

— No, zastrzyki... popatrz — podciągnął nogawkę; pokazał opuchniętą i skancerowaną goleń. — Nie prosiłbym cię, ale trudno mi chodzić, a skubany doktor zakładowy powiedział, że niepotrzebna... Pewno! penicylina kosztuje, to mu szkoda...

— Miałeś próbę?

— No, miałem i ten palant powiedział, że szkodzi! Pewno! na państwową kieszeń szkodzi, bo ładny grosz kosztuje... Zamiast tego łapiduch zapisał mi taki żółty proszek, w wodzie rozpuszczać kazał i okłady robić... Zrobiłbym mu okład! Co to warte? Sprawdziłem w aptece, cała torebka raptem złoty osiemdziesiąt...

— Jeśli doktor powiedział, że szkodzi, to nie przez oszczędność. Widocznie jesteś na nią uczulony, a to nie są żarty, można wykorkować — przeważało moje pielęgniarskie sumienie, a równocześnie życzyłam mu wszystkiego najgorszego. — A skuteczny lek nie zawsze musi być drogi, lekarz zapisał ci właściwy środek — ironia losu, ja musiałam udzielać mu porad w sprawie jego parszywego zdrowia. Żeby się wylizał, żeby ten jego kulas znów był sprawny, aby mógł chodzić, szantażować, kraść, bić, a może i zabijać.

— Ty byś się cieszyła, jakbym okulał — prawie przejrzał moje myśli.

— To po jaką cholere zasiegasz mojej rady, napraszam ci się na pielęgniarkę?

Zanim przyszło już to bardzo złe, bo najgorsze jeszcze się czaiło przede mną, niemal wszystko przysłoniły mi kłopoty z Dorotą. W szkole nawet jakby się poprawiło — oczywiście to nie była

już ta świetna uczennica — zlikwidowała wszystkie niedostateczne, a niektóre noty dostateczne wyciągnęła na czwórki. Wtedy gdy siedziała w domu z rozbitą głową, trochę się uczyła. Ale zanim jeszcze skończyło się zwolnienie, które dał jej profesor, zaczęła przepadać na całe dni i wieczory. Nie dawałam sobie z nią rady, jednak nie robiłam scen. Nie wierzę w ich zbawienny wpływ.

Jakiegoś dnia, gdy Doroty nie było, zadzwonił Pinokio; bez żadnego ukrytego celu zapytałam: — Stefan, dlaczego z pogotowia nie przywieźliście Doroty zaraz do domu? — w słuchawce zapadła długa, żenująca cisza. I już wiedziałam, Dorota skłamała!

— A Dorota nie wyjaśniła... — odezwał się wreszcie; o nic go już nie pytałam, zdążył ochłonąć i zapewne przygotował mniej lub bardziej udany wykręt. Powiedziałam więc, że Doroty w domu nie ma, niech zadzwoni później, i zakończyłam rozmowę.

Byłam wstrząśnięta tym odkryciem. Czyżbym nic nie . wiedziała o własnym dziecku?

I cóż mam począć, przecież to już kobieta, dorosły człowiek. Nie mogę dać jej w skórę — a poza tym nic to nie załatwi; rozmowa? Ależ ona nie chce ze mną rozmawiać! Nie chce ze mną rozmawiać o sprawach, które ją trapią. Przestała mi ufać, nie widzi już we mnie serdecznego przyjaciela, któremu można wszystko powiedzieć.

Ale kiedy to się zaczęło, czyżbym przeoczyła początek tego, być może, bardzo groźnego kryzysu?

Taśma pamięci rozwinęła się wstecz; obsesyjnie dręczyła mnie myśl, że przemiana Doroty wiąże się w jakiś sposób z pojawieniem Banaszczaka.

I to przypuszczenie stało się główną przyczyną, dla której bałam się, tak! bałam się, porozmawiać z własną córką. Bo jeśli ona się domyśla, jeśli ona wie!!!... incedo per ignes! Któregoś dnia przyszła do mnie Aniela.

— Coś pani pokażę! — miała minę kota niosącego zdobycz w pyszczku; zawlokła mnie do

pokoju Doroty. Odsunęła szufladę sekretarzyka. — Proszę, uczennica! — podała mi jakieś pudełko.

— Nie sędzę, aby malowała się idąc do szkoły — odetchnęłam, bo przygotowana byłam na coś nierównie cięższego niż widok kosmetyków; kredka do ust, tusz, różne ołówki do cieniowania powiek. — A skąd ona bierze na to pieniądze? — Aniela nieustępliwie podtykała mi pod nos flakonik perfum. — Francuskie! Można dostać tylko w komisie, w PKO albo w sklepach z towarami zagranicznymi, sprawdziłam, pani wie, ile toto kosztuje? — nie wiedziałam. — Sto osiemdziesiąt złotych! W głowie się naszej pannie przewraca, tyli pieniądz za takie nie wiadomo, co!

— Pewno wydała na to swoje kieszonkowe — lakier Diora: sto pięćdziesiąt, pomadka: sto pięćdziesiąt, podliczałam w myśli ceny; nic groźnego, to wszystko mieściło się niemal w jej miesięcznym kieszonkowym. Otrzymywała sto złotych na tydzień.

Zauważyłam od pewnego czasu, jak Dorota ściboliła to swoje kieszonkowe z zacięciem Harpagona; zawsze zwracałam jej za kino, teatr, książki, pomoce naukowe, ale teraz pamiętała o każdym dziesięciu złotych. A więc to kosmetyki pochłaniały jej dochody!

— I pani tak spokojnie na to patrzy? — Aniela była wyraźnie zawiedziona moją reakcją.

— Aniela, jak to znalazłaś? — miałam dość tego szpiegowania.

— Zwyczajnie, przeglądałam jej rzeczy, ktoś przecie musi dbać w tym domu o dziecko!

— Proszę, abyś na przyszłość tego nie robiła!

— Przecież pani sama...

— A teraz bardzo żałuję, bo zbyt daleko się posuwasz. Nie życzę sobie, abyś rewidowała jej rzeczy.

— Jak pani sobie chce — obraziła się — ale odpowiedzialność przed Bogiem...

— I przed ludźmi poniosę ja! — zamruczała niepochlebnie pod moim adresem Nie byłam dla

niej autorytetem i zawsze powiedziała swoje zdanie, czy ją o to prosiłam, czy nie, ale lubiliśmy się i zżyliśmy bardzo.

Teraz boczyła się na mnie przez kilka dni i odzywała tylko służbowo. A niedługo potem ja sama nie okazałam się lepsza od Anieli.

Wracałam właśnie z kliniki i na Marszałkowskiej w pobliżu Królewskiej mignęła mi kruczogłowa Doroty.

W pierwszej chwili nie poznałam jej, bardzo zmieniało ją uczesanie, ten poważny kok, który po raz pierwszy zauważyłam u niej w sierpniu, w moje imieniny; piękna linia głowy i bogactwo włosów jakby nieco za ciężkie dla tej smukłej, kruchej szyi. Pomyślałam: jakaż ładna jest teraz ta młodzież i... zobaczyłam, że to moja córka!

Ona mnie nie spostrzegła, a ja nie zastanawiając się, bezwiednie podążyłam za nią.

Skręciła w przechodnią bramę monumentalnego budynku o elewacji z piaskowca — w latach pięćdziesiątych ta dzielnica była symbolem dźwigającego się miasta — wyszła na plac Dąbrowskiego i zniknęła w sklepie PKO.

Po co ona tam poszła? O ile wiem, nie mogła mieć walut ani bonów. Wprawdzie Adam zarabiał sporo pieniędzy, zdarzało się, że otrzymywał honoraria w walorach obcych, nigdy jednak nie dawaliśmy ich Dorocie. Owszem, otrzymywała od ojca zagraniczne prezenty, ale nie znała drogi do sklepów PKO. Adam w ogóle uważał tę instytucję za niemoralną, bo szerzącą kult dewiz, wpędzającą ludzi w kompleksy, odbierającą szacunek dla ciężko zapracowanej złotówki. Zresztą dziewczyna nie musiała mieć wszystkiego, czego tylko zapragnęła, i jeśli już ma się czymś odróżniać od swoich rówieśników, to niechaj nie będzie to krój czy marka portek, gatunek sukienki i w ogóle łachy.

Może dzięki temu Dorota nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do strojów. Owszem, lubiła ładnie wyglądać, jak każda młoda dziewczyna, ale nie stało się to dla niej najważniejszą sprawą

w życiu. Więc skąd ma bony?

Stałam się naprawdę podejrzliwa; może zwyczajnie wstąpiła, aby pogapić się na te niedostępne szmatki, jak tyle młodych dziewcząt, które tam nieraz widywałam, bo ja jednak niekiedy odwiedzałam te „niemoralne” sklepy.

Zanim zdecydowałam się odejść, znów zobaczyłam Dorotę — poszła w stronę Kredytowej.

Ruszyłam za nią. Była bardzo zajęta swoimi myślami i nie widziała mnie. Przy tym był wczesny zmrok, a ja trzymałam się od niej w przyzwoitej odległości.

W ten sposób doprowadziłam ją do kawiarni „Nowy Świat”; odczekałam jakiś czas i także weszłam do środka — w najgorszym wypadku powiem jej, że wstąpiłam na kawę.

Kawiarnia była pełna, gwarna; w hallu kręciło się sporo osób, w pierwszej sali pod oknem dostrzegłam moją córkę. Siedziała z młodym, czarnowłosym mężczyzną. Boże, jak ona na niego patrzyła!

Mogłam spokojnie stać i przyglądać się im, dla mojej dziewczynki w tej chwili nic nie istniało dookoła.

Chłopak wydał mi się znajomy. Musiałam go gdzieś widzieć; ten skupiony wyraz twarzy, nieco skośne, ciemne oczy i takie trochę zabawne przechylenie głowy.

No tak! To przecież Ramer! Oczywiście, Konrad Ramer, stażysta na pierwszym wydziale neurochirurgii, zdaniem mego szefa nieprzeciętnie zdolny. Rzadko go widywałam, chyba raz asystował memu profesorowi przy operacji, nasz oddział miał nieco inną specjalność niż pierwsza chirurgia, ale także grzebał się wyłącznie w mózgach.

Oto i tajemnica! Przepadanie na całe wieczory, francuskie perfumy, kosmetyki, bardzo poważna fryzura... Dorota, sprowadzająca do domu całe watahy chłopaków i dziewcząt, dotychczas nigdy nie przyprowadziła tego jednego! Jakież to symptomatyczne.

Miłość? Z pewnością pierwsze i wielkie zadurzenie; a chłopak miał warunki, był przystojny i

interesujący. Teraz mogę być zupełnie spokojna o wpływy Omerowicza. Tak, Omerowicz przy tym — mimo swej niewątpliwej urody — to podstarzały paż.

Byłam prawie wdzięczna temu młodemu lekarzowi.

Wieczorem przeglądałam świeże pisma fachowe — mimo wszystkich nieszczęść nie przestawałam doksztalcać się w swoim zawodzie — gdy zjawiała się Anieli. Miała taką minę, że zanim się odezwała, już wiedziałam, o co chodzi. Na pewno znów coś z Dorotą — zaczynało mnie to irytować.

— Takiego Kaktusa to jeszcze u nas nie było! Niech pani koniecznie pójdzie i zobaczy! —

Kaktusami Anieli nazywała chłopców, szczególnie tych, którzy u nas pomieszkiwali, bo na ogół zjawiali się z kilkudniowym zarostem. Rzeczywiście te młodzieńcze kępki włosów, rzadko rozsiane po brodzie, przypominały kaktusy, a najbardziej pewien ich gatunek, który Anieli nazywała stołeczkiem teściowej.

Nie, tym razem to nie był donos. Anieli sygnalizowała kogoś zupełnie nowego, a pozostawiając Dorocie swobodę w doborze przyjaciół, chcieliśmy jednak wiedzieć, kogo sprowadza do domu nasza wyemancypowana córka. Więc pod jakimś pretekstem zajrzałam do Doroty, aby obejrzeć tego niezwykłego Kaktusa, na którego nawet Anieli zwróciła uwagę, chociaż już od dawna przestała wydziwiać, że to hotel, nie dom, że jeszcze okradną albo i co gorszego. Zaakceptowała wszystkich, których przyprowadzała Dorota, i zdaje się świetnie się z nimi czuła. My zresztą także. W naszym domu gościła młodość, na naszych oczach przepoczwarzało się ludzkie życie. Wśród Kaktusów niezmiernie rzadko zdarzał się nicpoń, czasem były to istoty zagubione w tej swojej przedwcześnie otrzymanej dojrzałości, z którą nie wiedziały, co począć, niekiedy skłócone z najbliższymi, wszystkie jednakowo trudne, inteligentne i wrażliwe, były odbiciem odwiecznej ludzkiej tęsknoty do innego, doskonalszego życia.

Przypadali za Adamem; nie, za cenę życia żaden z nich nie przyznałby się, że przychodzi do nas nie tylko dla Doroty. Ale przecież widziałam, gdy Adam był w domu, frekwencja gwałtownie wzrastała, ledwo mieścili się wszyscy w pokoju Doroty.

Nie, nie pragnęli wcale, aby Adam był ciągle wśród nich, ale chcieli, by zajrzał, przywitał się, porozmawiał. A każdemu z nich zależało, aby Adam go zauważył.

Adam wcale nie starał się zaskarbić ich sympatii, po prostu traktował ich poważnie, jak równorzędnych partnerów.

Więc po tym anonsie Anieli weszłam pod jakimś pretekstem do Doroty, bo chciałam obejrzeć niezwykłego Kaktusa; Dorota zachowała się jak zwykle w takich okolicznościach.

— Pozwól, mamó, to jest Paweł!

— Usianowanie mamusi — z fotela podniósł się rosły osiłek; był jednak starannie wygolony, w schludnym ubraniu. Chwycił moją rękę olbrzymią łapą, przypominającą cęgi, ukłonił się, szurnął nogami i cmoknął w mankiet.

Wyraźnie z siebie zadowolony znów wpasował się w fotel, aż jęknęły sprężyny.

W myśl nie pisanej umowy po tej prezentacji spędziłam tam jeszcze kilka chwil i wyszłam z pokoju; Aniela miała rację, takiego Kaktusa jeszcze u nas nie było.

— Dorota, kto to jest? — zapytałam córkę, gdy Paweł sobie poszedł.

— Jeden chłopak... — udawała, że nie wie, o co mi chodzi.

— Słuchaj! Chcę wiedzieć, kogo sprowadzasz do domu! Naprawdę za wiele sobie pozwalasz, czy mam napisać do ojca?! — głupio się uniosłam.

— Ojca w to nie mieszaj — wycedziła; zwęziły się jej oczy, ściągnęła twarz.

— Jak ty do mnie mówisz? — nie panowałam nad sobą.

— Przepraszam cię... To chłopak ze schroniska... — ton jej złagodniał, twarz się rozluźniła.

— Dom poprawczy?!!!

— Ależ, mammo, to zupełnie co innego... To porządny chłopak, możesz nie zamykać na klucz srebrnych łyżeczek!

— On mi się wcale nie podoba — jęknęłam bezradnie. — Usianowanie mamusi — przedrzeźniałam jego wymowę.

— Zwykła zgrywa, ale... mammo, jak ci nie wstyd — zaperzyła się Dorota. — Zapewniam cię, że jest więcej wart od... takiego na przykład Omerowicza.

Co mogłam jej odpowiedzieć? Czy porównanie to było zamierzone, czy nasunęło się ad hoc, ale ze szczętem odebrało mi argumenty; przecież świadomie tolerowałam we własnym domu współnika zawodowego kryminalisty — A co oni robią w tym schronisku?

— Żyją lub uczą się żyć... Uczą się, zdobywają zawód, pracują, leczą się z kompleksów, urazów... Tam się próbuje odrobić zaniedbania rodziców, prostować psychiczne garby...

Normalka! — ta dziewczyna, czasami taka dziecinna, mówiła do mnie jak dojrzały człowiek.

Zawstydziła mnie. Czyżby nic o tym nie wiedząc, niepostrzeżenie przekształciłam się w paniusię, w małą mieszczkę, oceniającą ludzi na podstawie pozorów, według akcentu, jakim mówią... i dlatego od razu uznałam jego towarzystwo za niestosowne dla mojej córki.

— Czy on już u nas bywał?

— Oczywiście, tylko wtedy jeszcze Aniela mnie nie szpiegowała... Mammo, jeśli ona nie przestanie grzebać w moich rzeczach, zamknę pokój na klucz!

Dorota wiedziała.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść; Banaszczak zadzwonił do kliniki, chciał się pilnie zobaczyć. Jego ton nie był jakiś specjalnie niezwykły, ale poczułam okropny niepokój. Trudno to nawet nazwać intuicją, bo przecież wiedziałam, jakiej to kategorii człowiek. Po pracy poszłam do „Homara”

— Wieczorem przyprowadzę wóz, postoi w twoim garażu.

— Jaki wóz? — znów miałam ten strusi odruch, nie chciałam rozumieć.

— T w ó j !

— Tego nie było w umowie.

— Nie było; ale są nowe okoliczności.

— Nie chcę nic słyszeć o nowych okolicznościach.

— Musisz. Nic się wprawdzie specjalnego nie stało, ale gdzieś w Polsce ktoś przejechał człowieka.

— Na śmierć? — czułam, jak blednę.

— Na śmierć. Znowu ktoś inny zauważył markę samochodu i warszawską rejestrację, miasta lub województwa... W Warszawie i okolicach rozmawiają z właścicielami samochodów tej marki.

— Dość tego, muszę wiedzieć, czy to był t e n samochód!

— To nie był t e n samochód.

— To czego się boisz, dlaczego chcesz go podrzucić mnie?

— Cholera, jak ty nic nie rozumiesz, a tylko się trzęsiesz. Zrozum! W ewidencji wydziału komunikacji samochód figuruje jako twoja własność. Jest t w ó j ! Jeśli zechcą cię wezwać i zapytać, a diabli wiedzą, może zechcą także go obejrzeć, to co powiesz? Że oddałaś swój wóz w wieczyste użytkowanie agentowi „Homara” i w ogóle nie wiesz, co się z nim dzieje?

— Nie jesteś agentem „Homara”!

— Faktycznie jestem, tylko lokal jest na Bisię, ale to jeszcze gorzej wygląda... Żona profesora Zasławskiego firmuje swym nazwiskiem samochód przyjaciela agentki?

— Najgorzej wyglądałoby dla ciebie.

— Wszyscy jesteśmy jednakowo zainteresowani.

Podaj palec, a chwyci całą rękę — kołatało mi w głowie. Znałam przecież tę starą prawdę, a

ludziłam się, że on już niczego ode mnie nie zażąda. Wystarczy, aby znów wynikły n o w e o k o l i c z n o ś c i .

— A jeśli odmówię?

— Następstwa mogą być nieobliczalne.

Z ledwością powstrzymałam się, aby nie powiedzieć głośno, że jeśli mnie wezwą władze, a ja zorientuję się, że tego człowieka g d z i e ś w Polsce potracił właśnie t e n samochód, to nie będę milczała.

— Co ja powiem domownikom? — już kapitulowałam, już myślałam nad tym, jak wytłumaczyć przyjęcie tego samochodu do naszego garażu, jakim kłamstwem osłonić ten fakt. Strach jest złą potęgą i dlatego szantaż powinien być karany jak zbrodnia.

Jasno zdawałam sobie sprawę z następstw; jeśli i teraz się zgodzę, to już nic mnie nie wyzwoli z rąk tego człowieka, ale czyż nie byłam uzależniona odeń dotychczas? Zniszczy mnie, zanim zdobędę się na jakikolwiek skuteczny odpór.

Od razu, gdy się tylko pokazał, nie należało godzić się na żadne ustępstwa! Ale na to byłam za słaba, zabrakło mi odwagi, aby postawić wszystko na jedną kartę!

— Kiedy wraca twój mąż? — Adam jednak go niepokoił.

— W grudniu.

— Do tej pory wszystko się ustoi — wyraźnie odetchnął. — Nie możesz gdzieś wysłać służącej, powiedzmy na tydzień, dwa? — także bał się nielojalności Anieli; nie powiedziałam mu, że na Anielę mogę liczyć prawie tak samo jak i na siebie.

— Byłoby to nienaturalne.

— A jeśli ktoś z twoich znajomych szuka garażu, to czy na kilka dni nie pozwolisz mu wstawić wozu do waszego, przecież jest teraz pusty... Samochód przyprowadzi kobieta: Halina Klim, zapamiętaj nazwisko, możesz przed twoimi podać ją za właścicielkę samochodu.

— A jeśli władze zechcą także zapytać i moich domowników?

— Przecież oni nie będą prowadzili takiego śledztwa, nie jest nawet pewne, czy cię w ogóle wezwą... Profesorową Zasławską! — czyżby ten drań myślał, że zasłoni go pozycja Adama? Jest nie tylko podły, ale i głupi.

— Jesteś naiwny, ja nie mam wypisane na czole, kim jest mój mąż, a w dokumentach wozu także nie ma jego tytułów. Zresztą, jeśli w grę wchodzi morderstwo, to żaden autorytet się nie ostoi.

— Jakie morderstwo, co ci przychodzi do głowy?!!!

— A co to jest! Przejechanie człowieka na śmierć i ucieczka z miejsca wypadku...

— Jeszcze raz ci mówię: nie potrafiłem żadnego człowieka. Zupełnie przypadkowo wóz, którego poszukuje milicja, jest tej samej marki, co nasz.

— I koloru?

— O kolorze chyba nic nie wiadomo... Jeśli nie wybrniemy z tej historii, to najgorzej wyjdiesz na tym ty sama! — oto siedział naprzeciw mnie ten sutener i mówił MY. MY wspólnicy do jakiegoś nowego, tym razem krwawego draństwa. — ...I... nie zapominaj, że masz córkę! — Boże, znów ta groźba, jak gdybym przez chwilę mogła zapomnieć, w jakim szachu mnie trzyma! Przecież go znam i dobrze wiem, że jest zdolny do każdego świństwa.

— Ile kosztuje ten samochód?

— Sto czterdzieści tysięcy, ale o co chodzi?

Gorączkowo zastanawiałam się, w jaki sposób mogłabym zgromadzić taką sumę. Podliczałam w pamięci: pierścionek, brosza, zegarek z bransoletką, trzydzieści tysięcy na książeczce, trochę walut przesłanych przez Adama. Przy dużym wysiłku mogłabym zebrać około siedemdziesięciu tysięcy, ale spieniężenie kosztowności musiałoby trochę potrwać. Może zgodziłby się przyjąć je tak, jak są.

— Sto tysięcy mogłabym ci dać, a resztę spłacać ratami po jakieś dwa tysiące miesięcznie.

— Ale po co?

— Zniszcz ten samochód, żeby z niego nie pozostał nawet ślad. Spal, wrzuć do rzeki, no nie wiem... Przecież coś wymyślisz.

— Jeśli nie przestaniesz panikować, to naprawdę napytasz biedy! Opanuj się. Gdyby się teraz coś stało z tym samochodem, to naprawdę by się tobą zajęli! Co ty sobie myślisz? Samochód jest ubezpieczony, a nawet gdyby nie był, to musiałabyś zgłosić okoliczności, w jakich został zniszczony.

— Mogę zgłosić kradzież, a potem byłoby na złodziei.

— Głupio kombinujesz, wtedy miałabyś milicję na karku, a oni prędko doszliby, co to za kradzież.

— Dobrze, zrobię, co każesz, ale pod warunkiem, że po tym wszystkim — po czym wszystkim, na miłość boską? — sprzedasz samochód. W każdym razie następnego wozu nie będę już firmowała. — Zgodził się nadspodziewanie łatwo. — Lecz jaką mam gwarancję?

— Daję ci słowo — cóż mogłam odpowiedzieć, nie miałam wyboru i bardzo pragnęłam wierzyć w to jego parszywe słowo.

Banaszczak nie pokazał się u nas; tak jak zapowiedział, samochód przyprowadziła kobieta.

Elegancka, powściągliwa, małomówna. Przedstawiła się: Halina Klim, podała mi dokumenty wozu, kluczyki i zaraz śpiesznie odeszła. Nie zatrzymywałam jej, nie miałam siły na jakieś obłudne towarzyskie gesty, ona widocznie także nie. Zrobiła, co musiała.

Właśnie, jakim świństwem związał Banaszczak ze sobą i tę kobietę? Bo nie wyglądała na człowieka z jego kompanii.

Aniela nawet nie zapytała, co to za samochód, a Dorota była pochłonięta swoimi sprawami i nie jestem pewna, czy go w ogóle zauważyła. Ochłonęłam i znów się łudziłam; może to się jakoś

ułożyć.

Nie ułożyło się. Najpierw — przyszedł dzielnicowy. Zapytał, jak dawno mam warszawę i gdzie był wóz w określonym dniu.

Nie wiem, co się ze mną stało, — spodziewałam się przecież tej wizyty, a jednak przeraziłam się. Zamiast powiedzieć cokolwiek — bo jeśli samochód stał w garażu, to i tak nikt nie mógł tego sprawdzić — odmówiłam wszelkich wyjaśnień. Po prostu udałam obrażoną na dzielnicowego za nachodzenie bez żadnego istotnego powodu, za naruszenie nietykalności mieszkania, moich praw konstytucyjnych, tylko dlatego, że w jednej rodzinie są dwa samochody! Tak to zinterpretowałam. I nie dopuściłam go do głosu, nie zdążył mi nawet dokładnie wyjaśnić celu swojej wizyty.

Na jednym oddechu zasypałam go gradem słów i sama sobą byłam zdumiona. Nie podejrzewałam w sobie takich zdolności aktorskich. Odegrałam rolę anegdotycznej, groteskowej pani P r o f e s o r o w e j !

Jakkolwiek była to gra, wstydziłam się przed tym młodym i zupełnie sympatycznym milicjantem, gdy spróbowałam spojrzeć na siebie taką, jaką mu się zaprezentowałam, jego oczyma.

W kilka dni później otrzymałam wezwanie do prokuratora: oto był skutek mego nieprzemyślanego wyskoku. Zamiast krótkiej rozmowy z dzielnicowym, przesłuchanie w prokuraturze! A jeśli wezwą Dorotę lub Anielę? Nie miałam wyjścia, musiałam je uprzedzić, bo inaczej runie ta cała mistyfikacja i moje fałszywe zeznanie na nic się nie przyda.

Po raz pierwszy w życiu nakłoniłam do kłamstwa moją córkę; na marginesie świadomości zapaliła się i zgasła myśl: własnymi rękoma płaczę swoje dziecko w ciemne sprawy mojej przeszłości.

A więc nie można zerwać z tamtym życiem? Dwadzieścia lat uczciwej pracy, miłość, ludzka

przyjaźń, uznanie, to nic nie znaczy? W gruncie rzeczy liczy się tylko tamto? Czy t e r a z jeszcze tak ważne są tamte dwa lata, że wciąż dominują nad resztą?

Przecież Perły już dawno nie ma. Maria Zasławska to zupełnie inna kobieta, to są dwie różne osoby.

— Tak? — to dlaczego Maria Zasławska pozwala się wikłać w sprawy tamtej, rzekomo obcej osoby?

Nie powinnam przynajmniej udawać przed sobą. Przez lata całe uprawiałam swoistą kazuistykę, wmawiając sobie, i to skutecznie, to rozszczepienie osobowości, wszystko runęło z chwilą, gdy pojawił się człowiek z przeszłości. Bo swoją obecną egzystencję zbudowałem, jeśli nie na kłamstwie, to na istotnym przemilczeniu. Gdybym na początku naszej znajomości z Adamem powiedziała o sobie wszystko...

Tylko nie jestem pewna, czy jego miłość oparłaby się tak ciężkiej próbie. Czy Adam podjąłby się dźwigać wraz ze mną świadomość tamtego garbatego losu.

Nie zdobyłam się na taką szczerość; bałam się, aby nie przekreślić swej wielkiej, jedynej w życiu szansy. Za wszelką cenę chciałam wówczas tę szansę zatrzymać.

I teraz też nic się nie zmieniło. Nie cofnę się przed niczym, aby ocalić swój dom, cena, za jaką to osiągnę, jest, mi obojętna.

A więc wcale się nie zmieniłam! Nadal nie umiem latać, bo kurczowo trzymam się ziemi, i nie stać mnie na heroiczne gesty, nie stać mnie na rezygnację.

Przez całą bezsenną noc zmagalam się ze sobą; rano poprosiłam je obie: Dorotę i Anielę.

Ciężko mi było z nimi mówić, chociaż wiedziałam, że mogę na nie liczyć.

— Popełniłam zdaje się wielką lekkomyślność, ale nie da się już tego cofnąć — powiedziałam to takim tonem, aby odniosły wrażenie, że z przesadnym krytycyzmem odnoszę się do własnego postępowania. — Dobrym znajomym zafirmowałam samochód swoim nazwiskiem, a teraz

wynikły jakieś komplikacje. Władze poszukują wozu tej marki i wzywają wszystkich właścicieli, a ponieważ formalnie ja jestem właścicielem, więc muszę tam iść... W razie czego musicie potwierdzić, że samochód jest mój i... nic więcej. Reszta to moja sprawa.

— No pewno, samochód jest nasz — natychmiast przytaknęła Aniela. — Przecież stać panią na to!

— Mamo, przewidujesz przykrości? — Dorota przyglądała mi się w skupieniu, a ja ledwo wytrzymywałam to badawcze spojrzenie.

— Nie, córeczko, tylko... co tu kryć, boję się trochę ojca. Miałby mi za złe podjęcie takiej decyzji bez jego wiedzy.

— Eee... a co to, czy pan musi wiedzieć? — Aniela pozezowała na Dorotę, była niepewna jej reakcji.

— Nie musi — powiedziała Dorota.

I na ten temat w domu nie było już więcej mowy; o wiele spokojniejsza pojechałam do prokuratury.

Prokurator był młody, miał szare oczy i ujmujący uśmiech.

— Pani jest właścicielką wozu marki warszawa, numer rejestracyjny.. — leżała przed nim kartonowa teczka, otwarta na porubrykowanej stronie; była to lista samochodów tej marki, co i mój, z wynotowanymi nazwiskami i adresami właścicieli. Przy wielu pozycjach widniały znaki zrobione czerwonym ołówkiem.

Więc Banaszczak nie kłamał; wzywają wszystkich i ja nie jestem ani pierwsza, ani ostatnia.

Tylko skąd on o tym tak dokładnie wiedział?

Tak, samochód należy do mnie — potwierdziłam; świadome wprowadzenie władzy w błąd, odezwało się we mnie to coś, co zwykliśmy nazywać sumieniem. — Oto dokumenty wozu — położyłam przed nim dowód rejestracyjny.

To mi na razie nie potrzebne — nie patrząc na mnie przesunął z powrotem do mnie

książeczkę, a mnie się wydało, że to: na razie, powiedział szczególnie złowrogim głosem.

— Gdzie pani była w dniu... o godzinie... To znaczy przed wszystkim, gdzie był samochód!

— nie, nic nie notował, ale co to można wiedzieć przy dzisiejszej technice. Może ma magnetofon.

— Zaraz, muszę sobie przypomnieć naprawdę nie miałam pojęcia, co robiłam w tamten wieczór. O Boże! Czy to źle, czy dobrze, ale nie pamiętam. Chwileczkę — wyciągnęłam terminarzyk. Miałam w nim zaznaczone dni dyżurów. Może według nich chociaż w przybliżeniu się zorientuję, co wtedy mogłam robić, gdzie być.

— Wiem! — prawie krzyknęłam; miałam rzeczywiście szczęście. To był dzień dyżuru, można było w razie czego potwierdzić w klinice niemal każdą minutę mojej obecności i wszystko, co robiłam, aż do następnego dnia rano.

— Gdzie był wtedy samochód? — W garażu. Do szpitala nie jeżdżę samochodem, w ogóle nie lubię prowadzić wozu po mieście, denerwuje mnie ruch — to była prawda, przez miasto zawsze prowadził Adam. I nie zastanawiając się dodałam: — nie jestem najlepszym kierowcą! — dopiero teraz się przeraziłam. Po co mu to powiedziałam! Przecież on nie pyta o kwalifikacje. Wkopię się przez własną głupotę. Przyszło mi na myśl powiedzonko Winiarskiego: nawet ryba, jeśli nie otworzy pyska, nie złapie się na wędkę.

Ale nie, to prawie poufne zwierzenie rozluźniło atmosferę rozmowy. Poczułam się pewniej.

— Nie pożyczła pani nikomu samochodu?

— Nie. W każdym razie nie w tym czasie, który pana interesuje.

— Kto ma jeszcze dostęp do garażu?

— Teoretycznie cała rodzina. — znów mówiłam prawdę; zapasowe klucze od garażu zawsze leżały w biurku Adama, nawet jeśli był za granicą.

— Jak liczna jest ta rodzina?

— Córka, mąż, gosposia.

— Czyli tego dnia ktoś z nich mógł użyć samochodu.

— Niemożliwe — uśmiechnęłam się. — Gosposia nie odróżnia sprzęgła od hamulca, córka ma pojęcie o prowadzeniu wozu tylko teoretyczne, nie posiada prawa jazdy, kurs ma obiecany dopiero po zdaniu matury, a mąż od września jest za granicą, zresztą własnym samochodem. Od lat ma mercedesa — i z całym wyrachowaniem, chociaż rzuciłam to ot tak, od niechcienia dodałam: — mąż jest ekspertem przy trybunale międzynarodowym. — Odzew był natychmiastowy.

— To profesor Zasławski jest pani mężem? — ożywił się mój młody inkwizytor. Skromnie potwierdziłam. Efekt mojej taktyki przeszedł wszelkie oczekiwania.

— Miałem zaszczyt być słuchaczem pani męża — i to nie była zdawkowa grzeczność. — Do dziś śledzę wszystkie publikacje profesora... Przykro mi, ale musiałem panią poprosić tak jak i innych.

— Ależ, panie prokuratorze, przed prawem wszyscy jesteśmy równi — jakaż byłam obłudna; wewnątrznie czułam się rozszczępiona. Było mi przyjemnie, że Adam jest wspomniany z taką serdeczną sympatią przez człowieka, który już dawno się od niego uniezależnił, a więc bezinteresownie. Byłam dumna, że jego nazwisko tak wiele znaczy dla młodego prawnika, a równocześnie nękała mnie świadomość, że w tak podejrzanej sprawie nadużywam dobrego imienia mojego męża.

— To zwykła formalność — wyjaśnił prokurator.

— Ale co się stało? — zaryzykowałam pytanie.

— Zamordowano kobietę.

— Ktoś spowodował wypadek i uciekł? — nie odpowiedział wprost na to pytanie; przerzucił

arkusze i wreszcie zatrzymał się na stronie, której szukał.

— Proszę spojrzeć — przysunął mi teczkę.

To była powiększona fotografia twarzy, a raczej tego, co z niej pozostało po straszliwym zmasakrowaniu.

— Koło przetoczyło się przez głowę — wyjaśnił prokurator; ta fotografia była naklejona na sztywny karton. Obok była inna, przedstawiała coś, czego nie mogłam rozpoznać. Jakieś pokruszone odłamki. Zerknęłam na napis widniejący pod spodem: szczątki szkła odblaskowego, znalezione na miejscu przestępstwa — czytelnie wykaligrafowano, chyba flamastrem.

— Specjalnie przejechano przez twarz? — odezwałam się, aby coś powiedzieć.

— Chciałbym to wiedzieć — mruknął i zamknął teczkę; kiedy ją składał, sztywny karton z naklejonymi fotografiami nie złożył się jak należy i wysunął z teczki, więc jeszcze raz otworzył akta, a one rozwarły się nie na tym źle złożonym kartonie, tylko w innym miejscu, i przez moment ujrzałam zwykłą, przezroczystą kopertę z plastyku czy celofanu, a w niej kartę do gry. Poraził mnie widok tego asa pik; wprawdzie tylko mignął mi przed oczyma, ale dobrze zapamiętałam: to był pikowy as, no i ten ornament!

Siedziałam jak sparaliżowana i całą uwagę skoncentrowałam na mięśniach twarzy.

— Czy mam do pana przysłać córkę, gosposię? — zapytałam, jak mogłam najnaturalniej, chociaż byłam sztywna ze zdenerwowania. Po co to powiedziałam, na miłość boską? Może podsunęłam mu myśl.

— Nie, nie trzeba — schował teczkę — pani zeznanie wystarczy — a jednak zeznanie! Czy każe mi coś podpisywać?

— Widzi pan, teraz jestem w kropce — zagrałam z desperacką odwagą. — Niewiele pożytku mam z tego samochodu, przez rok nie wydam tyle na taksówkę, ile pochłania ubezpieczenie i konserwacja. Już dawno przeszło mi zamiłowanie do motoryzacji i chciałam samochód sprzedać,

ale w tej sytuacji... Proszę mi powiedzieć, czy mogę to zrobić?

— Ma pani już amatora?

— Nie, dopiero mam taki zamiar.

— Może go pani sprzedać, nie widzę przeszkód — nacisnął przycisk na biurku; weszła urzędniczka z kartką papieru, położyła przede mną: — proszę to uważnie przeczytać i podpisać, jeśli zgadza się pani z treścią.

Przebiegłam tekst oczyma; tak, musieli mieć gdzieś magnetofon, bo cała rozmowa była wiernie zanotowana. Podpisałam.

Gdy po wymianie uprzejmości wyszłam z prokuratury, nogi ugięły się pode mną; po najcięższym dyżurze nie czułam się tak wypompowana, ale gnałam do domu ile sił.

Miotały mną najgorsze przeczucia: ta karta! Ta cholerna karta przypominała do złudzenia te, które podarował Adamowi Omerowicz; nie wiem, dlaczego skojarzyły mi się one z Dorotą.

Myślałam, że oszaleję pod wpływem okropnych myśli, kłębiących się w głowie.

Ale dlaczego Dorota? — usiłowałam jakoś uładzić rozbuchaną wyobraźnię. Co może mieć wspólnego moja córka z asem pik, znalezionym zapewne przy tej kobiecie ze zmiażdżoną, nierozpoznawalną twarzą. Nie mogłam sobie wg tłumaczyć, jakimi drogami przyszło to skojarzenie.

Nieporządek w pokoju Adama, wybiła szyba... Te przeklęte karty leżały w pokoju Adama!

Gdy sprawdzałam, czy nic nie zginęło, w ogóle nie pomyślałam o kartach. Może właśnie to po nie ktoś przyszedł? Ale po co, u Boga Ojca, miałby tłuc szybę? I teraz uzmysłowiłam sobie nagle, że nie widziałam tych kart od dnia, w którym zostały podarowane.

W domu nie zastałam nikogo, więc natychmiast poszłam do pokoju Adama; przejrzałam szuflady, półki — kart nie było!

Rzuciłam się do schowków, regałów. Przekładałam nawet książki — ale już wiedziałam —

tych kart nigdzie nie znajdę. Zniknęły!

Istotnie, karty przepadły! Młoty huczały mi w głowie, biły tępo, nieznośnie rytmicznie, a serce skoczyło pod krtań. Lecz kto je zabrał, kto zabrał te po trzykroć przeklęte karty!

Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, czułam, jak niewidzialna pętla zaciska mi się na szyi, czy tylko mnie?!

Dorota! Ocalić Dorotę... Zerwałam się, jakby w tej chwili groziło jej bezpośrednie niebezpieczeństwo. Co robić? jedno wiedziałam. Z pewnością nie wspomnę o tym Banaszczakowi.

Zebrałam się w garść i poszłam do garażu, aby dokładnie obejrzeć mój samochód; teraz wiedziałam go po raz pierwszy.

Wrył mi się w pamięć i nękał jak cień ten napis flamastrem pod jedną z fotografii: szczątki światła odblaskowego!

I natychmiast wydało mi się, że jedno ze szkieł odblaskowych tego wozu jest nowsze od tego drugiego. Ale teraz już nic nie wiedziałam na pewno, może to tylko moja rozgorączkowana wyobraźnia?

Jeżeli to zrobił Banaszczak — nawet w myśli starannie ominęłam słowo morderstwo — więc jeśli zrobił to on, to mam go wreszcie w reku...

Zginął człowiek, ale nie wolno mi milczeć, muszę to wszystko powiedzieć...

I zaraz w pamięci pojawiła się fotografia tej rozjechanej protektorem twarzy. Mrowie przebiegło mi po karku.

Tak, zginął człowiek, być może popełniono morderstwo; dlaczego prokurator nie powiedział mi, jak ona się nazywała? Zaraz... Znów z pamięci wypłynął napis: zdjęcie numer jeden NN kobiety... To znaczy nie znanego nazwiska. A więc on także nie wie, kto to jest.

Wrócić natychmiast do tego młodego człowieka z szarymi oczyma... To mój obowiązek!

Obowiązek wobec kogo, wobec jakiego układu odniesienia? Zbiorowości, społeczeństwa?

Tak, to prawda! Ale moim najbliższym, najdroższym społeczeństwem jest Dorota i Adam, i ja z nimi. Z nimi! Nie widzę siebie bez nich, bez nich nie istnieję!

Zabito kobietę, ale przecież nic jej nie przywróci życia, a być może moje straszne przypuszczenia są tylko wytworem rozstrojonych nerwów.

Zbrodnia musi być ukarana — zapewne. Ale jeśli jedna zbrodnia może spowodować następną? To należy przede wszystkim zapobiec tej drugiej, która się jeszcze nie stała, i jeśli tylko od mego zachowania zależy, aby ofiarą nie stało się moje dziecko!

Nie mam złudzeń, on nie zawaha się ani przez chwilę; będzie natychmiast wiedział, skąd pochodzą informacje na temat wozu i karty. A wtedy? Ciągłe wracał obraz teczki z fotografią zamordowanej kobiety, jak ponure ostrzeżenie... I cóż z tego, jeśli nawet śmierć mojej dziewczynki zostałaby ukarana, pomszczona... nie mogłam o tym spokojnie myśleć.

Nie mam wielkiego charakteru, nie urodziłam się na herosa, nie potrafię ochronić wszystkich, natomiast muszę chronić tę moją małą społeczność, moich najbliższych, a z nimi i siebie.

To jest niemoralne! — wiem. Jestem mała i podła; gotowa byłabym zginąć sama, byle tylko zginął ten łotr, aby Dorocie włos z głowy nie spadł.

Znów musiałam pójść do niego do domu. Tym razem poraził mnie jego widok; leżał i nie bardzo mógł się poruszać.

— Co ci się stało? — zapytałam. Był straszliwie zmasakrowany i nie ukrywał, że został pobity, zresztą to było nie do ukrycia.

— Napadli mnie... Mam dwadzieścia jeden dni zwolnienia.

— Kto?!

— Dowiem się — powiedział z błyskiem nienawiści w zapuchniętych oczach.

— Byłam u prokuratora... Słuchaj, trzeba rozważyć taki projekt — miałam się na bacności.

— Otóż należy sprzedać samochód — zrobił niecierpliwy gest — słuchaj i nie przerywaj!... Ten chłopak był studentem mojego męża, potraktował mnie niemal towarzysko, na razie nie ma mowy o żadnych podejrzeniach. Na razie, rozumiesz?!... W samochodzie, który spowodował wypadek, stłukło się szkło odblaskowe, oni t o m a j ą ! Odłamki tego szkła.

Nic nie odpowiadał, lecz słuchał ze wzrastającą uwagą.

— Nie są jeszcze pewni, czy to była ta marka wozu, sprawdzają także moskwicze i wołgi — łągałam jak z nut, niech się przestanie bać, bo pod wpływem strachu może zrobić jakieś głupstwo — to im zajmie dużo czasu... Ale sprawdzają nie tak ulgowo jak u mnie. Mnie uwierzył na słowo, bo jestem żoną profesora Zasławskiego, u innych przeprowadzają oględziny — położyłam nacisk na ostatnie słowo, chociaż nie miałam pojęcia, czy tak jest.

— N a s z w ó z — podkreślił — nasz wóz jest w porządku! — Nasz! Obyś zdechł, pomyślałam.

— ...mają swoje sposoby, aby przekonać się, czy jakaś część nie została wymieniona...

— Mówił ci to?

— Nie mówił. Gdy tam byłam, przyszedł oficer śledczy z wiadomością, że jakaś wołga miała zmienione szkło odblaskowe... Prokurator, który ze mną rozmawiał, kazał natychmiast przesłuchać właściciela i sprawdzić, gdzie, kto i kiedy wymieniał szkło — kłamałam jak w natchnieniu. — Jest jeszcze kwestia protektora... — zawiesiłam głos.

Zbystrzał, ale w dalszym ciągu o nic nie zapytał. — Więc myślę tak! Gdy oni sprawdzą te wszystkie wozy i nic nie znajdą, bo jeśli znajdą, to wszystko w porządku, ale jeśli nie, to im się przypomni samochód Zasławskiej i będą chcieli poddać go szczegółowym oględzinom.

— Więc co proponujesz? — nareszcie dał głos.

— Rozmawiając z prokuratorem, powiedziałam, że od jakiegoś czasu nosiłam się z zamiarem sprzedania wozu, bo marny ze mnie kierowca, a cała impreza jest nieekonomiczna, bo przez rok

na taksówki mniej wydam niż na samo ubezpieczenie i tak dalej... Nie widzi przeszkód.

— Jeśli zechcą, to znajdą go u innego nabywcy — był wyraźnie zawiedziony, spodziewał się widać innego projektu. — Samochód jak człowiek ma metrykę.

— U innego nabywcy może zginąć... Trzeba go zniszczyć, tak aby nie pozostał żaden ślad.

Można go utopić, spalić gdzieś na odludnym miejscu... Możesz to chyba jakoś urządzić, dopóki nie wpadli na nasz trop! — ledwo mi przez gardło przeszło to: n a s z — jestem gotowa zwrócić ci sto tysięcy złotych, część w gotówce, część w biżuterii, to wszystko, co mam...

— Nieźle radzisz... — przyznał wreszcie.

— Nie robię tego ze szczególnej sympatii dla ciebie, ale nie chcę być zamieszana w jakiś kryminał. A następnego wozu nie zafirmuję! — powiedziałam ostro.

Jeśli teraz mi podskoczy — pomyślałam zdesperowana — użyję szantażu. Zagrozę prokuratorem, wspomnę o kartach, o krwi na oponie.

W rzeczywistości krwi tam nie zauważyłam, ale on tego nie wie!.. Coraz bardziej zdobywałam ponurą pewność, że to on zabił tę nieznaną kobietę. I nic mnie to nie obchodziło, czy zrobił to umyślnie, czy niechcący.

— Więc dam ci sto tysięcy — powtórzyłam — naprawdę to jest wszystko, co mam.

— Omerowicza także chcesz splawić?

Nie dałam się nabrać na ten zgodliwy ton; Omerowicza także się pozbędę, ale jeszcze nie teraz, bo nie mogę przeciągać struny.

— Omerowicz mi nie przeszkadza, a ten wóz przeszkadza wszystkim!

— Dobrze... W przeciągu miesiąca sprzedasz samochód, chociaż cholernie mi to nie na rękę; kupi go Bisia... to barmanka z „Homara”, ale przedtem ty dasz ogłoszenie do gazety.

— A w przeciągu najdalej dwóch powinien zniknąć.

— Pomyśli się... No, ładnie zadziałałaś u prokuratora...

— Już ci mówiłam, że nie pałam do ciebie szczególną sympatią — powiedziałam z

wściekłością, bo ta pochwała smagnęła mnie jak obelga.

— Wiem, nie musisz mi tego wciąż powtarzać!... Mimo to wierzę ci i to jest twoje wielkie szczęście — wycedził. — Popatrz, to już czwarty taki list...

Na kartce papieru naklejone były duże drukowane litery, pracowicie wystrzyżone chyba z jakiejś gazety Wyleniały alfonsie s... do Szczecina, jeśli chcesz jeszcze pożyć. Podpisano: Dama Pik.

Boże, czyżby posądzał mnie o smarowanie anonimów? A dlaczego by nie? On nie jest w stanie zrozumieć przemiany, jaka dokonana się we mnie, jest na to zbyt zły i zbyt prymitywny.

Dla niego ciągle jeszcze jestem tą samą Perłą, tyle że starszą o przeszło dwadzieścia lat, mądrzejszą i sprytniejszą, co to potrafiła się w życiu urządzić.

— To niby ja miałam być ta Dama Pik? — skrzywiłam się i oddałam mu anonim, ale ścierpłam ze strachu. Dotychczas mi ich nie pokazywał i nawet nie wspominał, a więc jednak mnie podejrzewał o autorstwo.

— Jesteś dość mocny, ale warto, abyś czasami także myślał, tylko siłą daleko nie zajdziesz...

— Właśnie myślę i dlatego wiem, że nie pasują do ciebie te numery! — Przeraziło mnie to wszystko, pikowy as, dama pik? Co to za pasjans i kto go stawia?

Czyżby Damę Pik wgniótł w szosę protektor m o j e g o samochodu?

Anonimy pisze ktoś, kto zna jego szczecińską przeszłość; Dama Pik — jakież to pretensjonalne... I przeraziłam się jeszcze bardziej, uświadamiając sobie dopiero w tej chwili, że do tej ciemnej gry, jaką prowadzi Banaszczak, miesza się ktoś trzeci. A ja jestem małą, nie liczącą się bierką, od której szef bandy wymusza określone świadczenia. I jeśli tylko będę mu niewygodna, usunie mnie bez żalu i bez skrpułów.

* * *

Nad ranem wyrwał mnie z łóżka telefon — dzwonił komendant dzielnicy milicji.

— Na szosie zabito kobietę, sprawca zbiegł. Czy pojedzie pan na miejsce zdarzenia? —
wiedziałem! wcale mu to nie było na rękę. Uważał, że mój bezpośredni udział w śledztwie
ogranicza jego inicjatywę, no i... uszczupla kompetencje, ale informował mnie lojalnie o każdej
poważniejszej sprawie.

— Co za pytanie, oczywiście pojedę — zacząłem się ubierać; kiedy zbiegłem na dół,
milicyjny wóz hamował pod moim blokiem.

Piętnaście metrów przed tablicą oznaczającą granicę miasta leżała martwa kobieta; właśnie
wymierzył to dokładnie technik z brygady kryminalistycznej, bo gdy przyjechaliśmy z
komendantem, wokół na szosie paliły się już ich jupitery, a oni sami zajęci byli oględzinami.
Zakląłem, gdy usłyszałem o tych piętnastu metrach.

— Mamy garbate szczęście — zgodził się ze mną komendant milicji... tym razem
rozumieliśmy się znakomicie. No, bo gdyby ten cholerny samochód trzepnął babkę piętnaście
metrów dalej, nie my sterczelibyśmy teraz o świcie na drodze, tylko koledzy z granicznego
powiatu województwa warszawskiego, i ich konto obciążałaby ta beznadziejna sprawa, bo taką
wówczas nam się wydała.

Kobieta leżała z rozrzuconymi ramionami, zwrócona twarzą ku ziemi; gdy ją odwrócono,
specjalista od toalety zwłok bezradnie rozłożył ręce. Jego zadaniem było przygotowanie twarzy
zabitej do fotografii, ale w tym przypadku nie dało się nic zrobić, ona nie miała twarzy.

Rozgniótł ją, po prostu wbił w szuter pobocza protektor samochodu, koło przejechało
dokładnie przez głowę. Mogła tu wchodzić w grę tylko jedna hipoteza: to było morderstwo, a nie
wypadek drogowy. Już sama precyzja tego przetoczenia się koła właśnie przez głowę
prowokowała do takiego podejrzenia. Tym bardziej że przy zabitej nie znaleziono nic, żadnego
świszka, który pozwoliłby rozpoznać jej tożsamość, żadnego drobiazgu z tych przedmiotów,

które zalegają zazwyczaj torebki wszystkich kobiet na świecie.

Wymanikiurowanych palców nie zdobił najskromniejszy bodaj pierścionek, na ręku nie miała także zegarka, ale ubrana była w bardzo kosztowne futro.

— Norki — powiedział komendant. — Jasnobezowe norki, tak zwane opale, to warte około stu tysięcy złotych.

W kieszeniach futra, kosztującego tyle co średniej marki samochód, nie znaleziono nawet biletu tramwajowego. Miała jeszcze torebkę z brązowej, połyskliwej skóry, bardzo elegancką i z pewnością drogą, w każdym razie bardzo oryginalną: mogła podobnie jak i futro posłużyć do identyfikacji ofiary. Prawdopodobnie starannie opróżnił ją morderca, ale w bocznej, głębokiej kieszonce, jakich kilka było wewnątrz torebki, tkwiła, jak surrealistyczna metafora, karta do gry.

Pikowy as!

Nigdy dotychczas nie widziałem takiej karty. Miała kształt bardziej wąski i bardziej wydłużony niż format kart będących w sprzedaży. Koszulkę pokrywała gęsta arabeska w ostrych barwach czerwieni, złota, indygo i czerni. W tych samych kolorach i taki sam ornament zdobił obrzeże awersu, tworząc ramę. Natomiast bierki, jak we wszystkich kartach, miały czarne serduszka; jedno większe na środku, cztery mniejsze po jednym w każdym rogu. Karta była nowa, śliska, sztywna, bez żadnych śladów zużycia.

Zabezpieczono jakieś odciski palców na połyskliwej skórze torebki, z pewnością były to ślady właścicielki, natomiast na brzegu szosy znaleziono szczątki szkła odblaskowego samochodu; na poboczu znajdował się betonowy kołpaczek i widocznie o niego otarł się wóz, rozbijając szkiełko.

I to już było wszystko, z czym wróciliśmy z miejsca zabójstwa, bo jedynym, dość zresztą wątpliwym świadkiem, i to nie samego zdarzenia, był kompletnie pijany właściciel pary perszeronów i platformy transportowej.

Ten nasz, pozał się Boże, świadek, Feliks Maćko, był dobrze znany w miejscowym komisariacie z burd, jakie wyczyniał, kiedy wypił zbyt dużo. Otóż ten, familiarnie nazywany przez milicjantów, Feluś, przytoczył się nad ranem do dyżurnego i długo bełkotał, zanim sierżant zrozumiał, o co mu chodzi.

Z początku nie uwierzył, bo Feluś i z tego był znany, że na bani opowiadał różne fantastyczne, a powstałe tylko w jego wyobraźni historie, których rzekomo był naocznym świadkiem.

— Panie, człowiek kona, a pan tu dupę grzeje! — zaczął rozrabiać Feluś, co mu się w komisariacie raczej nie zdarzało. — Jeśli łzę, zamkniesz mnie pan jak psa i pod sąd oddasz za zrobienie władzy w konia... A teraz chodź pan, bo może jeszcze dycha?

Opowiadał, jak wyszedł z bocznej drogi, biegnąc w szpalerze drzew, a prowadzącej z osady — gdzie w gospodzie Feluś balował do późna — na szosę i gdy wychynał z rozwidlenia, wtedy zobaczył wóz.

Po znalezieniu zwłok dyżurny do domu już Felusia nie puścił, bo mógłby się gdzieś zawieruszyć; teraz więc ten osobliwy świadek niezbyt komfortowo trzeźwiał w komisariacie.

Rano przywieźli go do mnie; był tak skacowany, że ledwo na oczy patrzył.

Rozmawiał z nim w mojej obecności kierownik komisariatu.

— Feluś, masz przerwę w życiorysie? — zatroskał się.

— Nie mam, panie poruczniku, tylko taką mam trzęsionkę, że po ścianach chodzę... Piwko pan zezwoli strzelić, to mi się zaraz przejaśni, bo tak to twaróg mam w mózdzku... Życie za jedno piwko, panie prokuratorze! — wlepił we mnie błagalnie podpuchnięte oczka.

Pozwoliłem przynieść piwo, bo latały mu ręce i naprawdę nic nie kojarzył, a i nie bardzo był zdolny do rozmowy.

Łapczywie przechylił butelkę do ust i bez poruszenia krtanią wlał jej zawartość za jednym zamachem do gardła. Po tym zabiegu poczuł się raźniej.

Opowiedział nam to samo, co mówił milicjantowi w nocy — ...zanim zobaczyłem ten wóz to najprzód usłyszałem wycie motoru, jakby na pierwszym biegu wystartować nie mógł. Kiedy wyturlałem się zza zakrętu, to ta warszawa właśnie ruszyła i dodała gazu, numeru nie zobaczyłem, bo był zachlapany, ale literki to były na pewno warszawskie... Niech skonam, panie prokuratorze — zwrócił się do mnie — jeśli to był zwid. Fakt! Byłem napity, ale na ostro...

Zagadka ludzkiej natury, nigdy nie wiadomo, jak się człowiek urznie. Jednym razem idzie w mózg i człek rusza się prosto, ale potem nic nie pamięta, czasem to tak, że nawet nie wie, jak do domu trafił, a niekiedy baśka pracuje jak komputer, wszystko widzi, wszystko pamięta, tylko nogi się pałętają, jakby były źle przyszyte albo cudze... A mnie takiego już Bóg uczynił, że zaprawiam się tylko do połowy, nigdy cały!

Informacji Felusia nie można było lekceważyć, być może obserwacje tej jego trzeźwej górnej połowy zasługiwały na zaufanie. Zresztą żadnych innych wiadomości o samochodzie nie udało się uzyskać.

Protokół sekcji zwłok wniósł niewiele: wiek kobiety około pięćdziesięciu lat, ślady alkoholu w organizmie, przyczyna zgonu — prawdopodobnie uduszenie. Nastąpiło to tuż przed zmiżdżeniem głowy i dlatego lekarz sądowy nie miał co do tego pewności. Sprawca mógł wywlec ofiarę z samochodu i rzucić pod koła żyjącą jeszcze, tylko nieprzytomną.

Ślady palców na torebce — poza jednym, nadającym się do identyfikacji — należały do zmarłej; tamten pochodził od kogoś innego. Poszły więc w ruch milicyjne zbiory linii papilarnych kartoteki mono-daktyloskopijnej, ale niestety wśród nich na podobny odcisk palca nie natrafiono.

Odzież tej kobiety także niewiele mogła pomóc w identyfikacji ofiary. Cóż z tego, że zarówno płaszcz, jak i torebka, a także wysokie buty z brązowego, miękkiego jak pończocha lakieru nie pochodziły z seryjnej konfekcji.

Na płaszczu nie figurował znak żadnej firmy czy kuśnierza; efektowne buty włoskiej produkcji — tysiące takich par zalegało komisy w całej Polsce, bo chociaż stosunkowo drogie, uchodziły za szyk ostatnich kilku sezonów, a w Warszawie nosiła je co piąta kobieta.

Wyłoniły się cztery, jakże pracochłonne kierunki śledztwa: sprawdzenie samochodów marki warszawa ze stołeczną numeracją, przejrzanie zgłoszeń o osobach zaginionych, pochodzenie pikowego asa — eksperci zaopiniowali, że karta jest wykonana i malowana ręcznie, a sądząc po technice, zrobił ją człowiek posiadający wysokie kwalifikacje w tej dziedzinie.

Moją czwartą nadzieją była ta torebka, cacko wykonane rzemieślniczo, z plastikowym zamkiem, imitującym szylkret. Te zamki były także produkcji włoskiej, ale sprowadzała je pewna grupa prywatnych kaletników — upewniłem się, że w kraju tego rodzaju przedmiotów nie produkowano. Dla milicji zaczęła się orka: była to cholerna masówka, tysiące sprawdzeń, na cały kraj poszły dyrektywy i fotografie rzeczy należących do zamordowanej.

Plastykom demonstrowano wszędzie zdjęcie karty Niestety, na autora nie natrafiono. No cóż, nie wszystkich, którzy umieją malować, zrzesza związek plastyków.

Komunikat o poszukiwaniu zamieściły telewizja, radio i prasa. Położyłem w nim nacisk na płaszcz z drogiego futra. Ostatecznie, nie jest to strój powszechnie noszony przez kobiety.

Samochody: to już był obłąd. Żeby to dotyczyło chociaż jakiejś mniej popularnej marki, ale warszawa?

W stolicy jest ich kilka tysięcy i niepodobieństwem było, aby każdy z nich mogli obejrzeć lub zbadać eksperci kryminalistyki.

Przed tym, aby upewnić się, że ta akcja ma jakąś szansę, poddałem Felusia testowi: w możliwie najbardziej zbliżonych do tamtych warunkach ukazywałem mu różne tablice rejestracyjne — trzeba przyznać, że bestia odczytywał je właściwie.

— Należy w niego wlać co najmniej pół litra — zupełnie serio doradzał kierownik

komisariatu.

— Z przyjemnością — ucieszył się Feluś. — Jak żyję, nie piłem na koszt władzy ludowej!

— A jeśli tym razem, jak na złość, zaleje się twoja górna połowa, to wszystko na nic — nie skorzystałem z jego gotowości.

Z wydziałów komunikacji uzyskano dane o samochodach marki warszawa.

— Robimy dzielnicami? — kombinowaliśmy, jak się do tego zabrać; musieliśmy znaleźć jakiś klucz do przeprowadzenia selekcji, aby z tej ogromnej ilości wozów wyłonić krąg podejrzanych do bardziej szczegółowego opracowania.

Wreszcie podzieliliśmy posiadaczy wozów na grupy: pierwsza — instytucje, to powinno pójść łatwo, dyspozytorzy mają dokumentację ruchu wozów. Oczywiście, braliśmy poprawkę, ta ewidencja mogła być niedokładna, a nawet fałszywa w przypadku, gdyby na przykład dyspozytor miał coś wspólnego z tą babką na szosie.

Druga grupa — taksówki MPT, sposób działania identyczny jak i przy pierwszej. Trzecia grupa — taksówki prywatne i tu już obowiązywała inna taktyka.

Czwarta grupa — właściciele indywidualni, którzy byli już karani. Tych należało sprawdzić dokładnie.

Następni — właściciele nie karani, i ostatnia grupa kobiety! Nie, nie byłem mizoginistą.

Kobiety dlatego potraktowałem oddzielnie, ponieważ od nich należało się tylko dowiedzieć, czy krytycznego dnia nie pożyczały komuś samochodów.

Kobieta — bez niczyjej pomocy — nie mogła popełnić tego morderstwa, chyba jakaś

Horpyna; udusić lub skrępować i rzucić pod koła niewiastę bądź co bądź mocnej budowy i o wadze siedemdziesięciu pięciu kilogramów, to nawet nie każdy mężczyzna potrafi.

I tak poszła przez miasto ta masówka; zrodziła, jak to zwykle bywa, fantastyczne plotki,

spowodowała wiele niepotrzebnych konfliktów, ale przy okazji odnaleziono kilka skradzionych

wozów i ujawniono sporo kantów w dyspozycji samochodami państwowymi.

Szczególnie ważna była pierwsza selekcja, pierwszy niewód z grubymi okami. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli sprawca prześliznie się przez te grube oka, cała nasza dalsza akcja nie będzie miała sensu.

Nie zazdrościłem milicji tej obłądnej roboty; na zlecenie komendy stołecznej ruszyli do niej wszyscy dzielnicowi, służba kryminalna i służba wywiadowcza. Trzeba przyznać, że działali szybko i bardzo sprawnie.

Samochodami, na które zwrócono szczególną uwagę, zajmowały się bardzo dokładnie wydzielone grupy specjalistów. To już był magiel.

Zadzwoił do mnie komendant dzielnicy:

— Prokuratorze, mam na naszym terenie taką comtesse, co to nie chciała się zniżyć do rozmowy z dzielnicowym... Żona jakiegoś faceta od trybunału międzynarodowego, a ja mam urwanie głowy przez tę cholerną akcję... — nie odmówił sobie okazji, aby nie wytknąć mi, że to milicja szuka tego wozu, a ja będę korzystał z efektów ich pracy.

— ...poza tym to coś dla pana, ja jestem za mało subtelny i mógłbym być przykry dla tej znakomitej pani, po tym, jak potraktowała mego pracownika... Może pan, panie prokuratorze, z nią porozmawia... — rozumiałem, ja byłem w sam raz do poskromienia jakiejś jędzy — ...właściwie to rzecz błaha — ciągnął komendant — ale nie powinno się ominąć nikogo... A jeszcze gotowa naskarżyć gdzieś u góry na Bogu ducha winnego chłopaka; zarzuciła mu szykany i potrząsała konstytucją — to było w nim ujmujące; mimo surowości serdecznie troszczył się o swoich ludzi. Kazałem wysłać do niej zawiadomienie i zdziwiłem się, gdy ją zobaczyłem; spodziewałem się spotkać babsko tępe, nadęte pozycją, jaką dawał jej status męża, bezczelne i swarliwe, a na dodatek pogardliwie odnoszące się do ludzi. Tymczasem zjawiła się przede mną szalenie elegancka i bardzo jeszcze piękna kobieta o ujmującym sposobie bycia, odpowiadająca

na pytania grzecznie i wyczerpująco.

Aż taka różnica? Do dzielnicowego rozzarta megiera, a tutaj urocza i świetnie ułożona pani?

Być może dzielnicowy, czując się dotknięty, trochę przesadził, ale zapewne nie bez powodu poskarżył się komendantowi.

Od początku wiedziałem, że jest żoną profesora Zasławskiego, ale nie zdradziłem się z tym, ciekaw, czy ona będzie próbowała wykorzystać jego autorytet; nie wyglądała na snobkę, a początkowo w ogóle nic nie mówiła na temat męża. Wspomniała o nim mimochodem dopiero w trakcie rozmowy.

Wezwanie jej do prokuratury miało charakter formalny i nie miałem żadnych powodów, aby ją podejrzewać, a jednak... zastanowił mnie ten zamiar sprzedania samochodu właśnie teraz.

Niby sprawa naturalna, lecz...

Znacznie później wróciło pytanie — bo jeszcze nawet nie podejrzenie — komu ona sprzedawała ten zawadzający jej wóz. Tylko że wówczas nie miało to już żadnego znaczenia.

W związku z opublikowanym apelem i fotografią futra runęła lawina informacji, listów i anonimów lub zwykłych telefonicznych donosów; w zawrotnym tempie mnożyła się ilość kobiet w nurkowych płaszczach, które gdzieś zniknęły.

Tak... Kowalska kradła, kradła, nazywała się ludzkiej krzywdy, kupiła sobie takie futro, ale już od dwóch tygodni jej nie widać, pewno ją szlag trafił. Szczery obywatel.

Sprawdzaliśmy i takie wiadomości; wyjaśniało się wkrótce, że Kowalskiej nie trafił szlag, po prostu leczyła reumatyzm w Krynicy; futro także miała, tylko nie z norek-opali, a z nie strzyżonych beżowych nutrii, kupione na raty za piętnaście tysięcy złotych.

Była to olimpiada dla zawistnych, konkurs bezinteresownej nieżyczliwości, aby tylko przyczynić kłopotów sąsiadce, podłożyć świnię koleżance z biura... Przysparzało to moc zbędnej roboty, a przecież czas odgrywał w tym śledztwie rolę decydującą.

Natomiast telefon z restauracji leżącej obok szosy, na której znaleziono zwłoki, wydał mi się bardzo interesujący.

— Tu mówi kelnerka — przedstawił mi się kobiecy głos — w tym dniu, co napisali w gazecie, jadła u nas obiad babka ubrana w takie futro... na pewno znam się na norkach, mam z nich czapkę i szalik — powiedziała tonem wyższości, gdy wyraziłem niedowierzenie.

Wypożyczyłem z depozytu ten kosztowny płaszcz i pomknęliśmy z oficerem dochodzeniowym do owej knajpy. Tak wiele innych, i ten ślad okazał się niewypałem. Informacja, na którą czekaliśmy, nadeszła z najmniej oczekiwanej strony i nie wiązała się ani z futrem, ani z torebką, ani z asem pik.

Odezwał się hotel „Saski” w Warszawie.

— Może to nie ma znaczenia — zastrzegł szef recepcji — ale czytaliśmy w prasie apel prokuratury... Dzień by się zgadzał. Mieszkała u nas taka i ulotniła się, zapomniawszy uregulować rachunek. Zdarza się, i nie zawsze jest to wyłudzenie. W takich wypadkach przysyłamy pocztą, na adres figurujący w karcie meldunkowej, wezwanie do zapłacenia należności... Wczoraj przyszedł zwrot i ktoś napisał, że owszem mieszkała tam taka osoba, ale się wyprowadziła i on nie wie dokąd...

Maryła Kulik, urodzona w Poświętnem, rok 1920, zamieszkała: Świnoujście, ulica... — przeczytałem w odcinku meldunkowym, wypełnionym przez nią w hotelu.

Jeszcze tego samego dnia poleciał samolotem do Świnoujścia oficer dochodzeniowy milicji, zaopatrzony we wszystkie fotografie, mogące dopomóc w zidentyfikowaniu ciała, znalezionego piętnaście metrów od granicy miasta Warszawy.

Wieczorem miałem telefon ze Świnoujścia, a następnego dnia i ja znalazłem się w tym mieście.

Maryła Kulik była właścicielką willi „Rusałka” i prowadziła w niej pensjonat, na który kilka

lat temu otrzymała koncesję, wydawała także obiady domowe.

Willa gwarantowała swoim gościom pełny komfort, była ładnie położona, w zacisznym miejscu, ale mimo regularnie płaconych podatków i wytwornego stylu bycia właścicielki pensjonatu od pewnego czasu miejscowa milicja, a ściślej biorąc brygada obyczajowa szczecińskiej komendy, miała poważne zastrzeżenia do przedsiębiorstwa pani Kulik.

Były pewne powody, aby przypuszczać, że pensjonat „Rusałka” zapewnia swoim gościom także usługi niewiele mające wspólnego z hotelarstwem, a jego właścicielka trudni się po prostu stręczycielstwem.

„Rusałką” zainteresowano się bliżej po tym, jak pewien Szwed, Olaf Petersen, w pijackim ataku szału zdemolował zajmowany przez siebie pokój.

Portier „Rusałki”, chociaż nie ułomek, nie potrafił zapanować nad sytuacją i kiedy poddany króla Gustawa Adolfa przeniósł się do hallu–jadalni zabierając się do stylowych mebli, przed willą zebrała się już gromadka gapiów, jako że facet wcale dobrze wyrykiwał przekleństwa po polsku; natomiast ktoś z sąsiadów zrobił madame Kulik niedźwiedzią przysługę wzywając pogotowie milicji.

Szwed stwierdził, że został okradziony i — łamie meble z rozgoryczenia, ponieważ nie jest przyzwyczajony do takich obyczajów we własnym kraju.

Otóż okradła go pokojówka pensjonatu, która nocą dotrzymywała mu towarzystwa za obopólnie uzgodnione honorarium, które on jako dżentelmen wypłacił jej z góry w koronach szwedzkich, zaraz na początku wieczoru.

Właścicielka na żądanie funkcjonariuszy natychmiast zaprezentowała wszystkie pensjonatowe pokojówki, a było ich trzy, ale Szwed nie rozpoznał wśród nich tej, z którą spędził noc.

Pani Kulik domagała się satysfakcji, odwołania kalumni, zapłacenia za szkody materialne i krzywdy moralne, ale Szwed upierał się, że okradła go dziewczyna podająca się za pokojówkę

pensjonatu.

Na tym skończyła się awantura, lecz milicjant z patrolu przekazał notatkę do brygady obyczajowej, a tam przeprowadzono dyskretne wyjaśnienie i okazało się, że mieszkała w „Rusałce”, a ulotniła się w dniu awantury ze Szwedem pewna pani ze Szczecina, dobrze znana tamtejszej milicji prostytutka.

Po tym wydarzeniu zaczęto obserwować „Rusałkę” i stwierdzono, że pensjonat upodobały sobie młode, piękne dziewczyny między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Natomiast mężczyźni to przeważnie cudzoziemcy.

Dziewczyny zjeżdżały z różnych stron Polski i w ośmiu przypadkach na dziesięć były to osoby znane milicji na terenie, z którego przybywały, jako adeptki najstarszej profesji świata. Dla obyczajówki sprawa stała się jasna, ale te informacje nie wystarczyły aby oskarżyć o stręczycielstwo lub kuplerstwo właścicielkę.

I nagle z dnia na dzień Kulikowa sprzedała dom i zlikwidowała swoje interesy. „Rusałkę” objął nowy właściciel, nadal prowadził pensjonat, załatwił bowiem w Radzie Narodowej przepisanie koncesji na swoje nazwisko.

Czy „Rusałka” pod nowym zarządem pozostanie nadal azylem dla dziewczyn spod lekkiego znaku, okaże dopiero przyszłość; na razie nabywca odprawił p o k o j ó w k i , zatrzymał tylko starego portiera.

Ściągnęliśmy z warszawskiego depozytu rzeczy zabitej, portier rozpoznał futro i torebkę swej byłej patronki.

Czy wie, dokąd wyjechała? — nie wie. Na jak długo? — nie wie. Jakie miała plany na przyszłość? — nie wie. Czy widział rachunek przysłany przez hotel „Saski” w Warszawie? — nie widział. Czy zapamiętał gości, przyjeżdżających do „Rusałki” samochodami marki warszawa? — nie zapamiętał.

Wieloletni wykidajło i prawdopodobnie zaufany pomocnik stręczycielki miał szalenie kiepską pamięć.

Nowy właściciel willi, Emil Lisaczek, bardzo się denerwował; owszem, rozpoznaje płaszcz z norek, należał do Maryli Kulik, ale to wszystko.

— Ile pan zapłacił za willę?

— Tyle, co stoi w umowie: milion sto tysięcy — podetknął mi papier rejentalnej umowy kupna–sprzedaży; z pewnością podali zaniżoną cenę, ze względu na wysokość podatku, ale i on, i ja wiemy, że fakt jest nie do udowodnienia, tym bardziej że jedyna osoba, która mogłaby coś o tym powiedzieć, nie żyje. Więc czego on się tak trzęsie?

— Całą sumę zapłacił pan w gotówce?

— A jak?... teraz nikt weksli nie bierze.

— Od jak dawna znał pan panią Kulik?

— Od dnia, w którym przeczytałem anons w prasie o sprzedaży willi.

Czy wiedział, dokąd wyjechała była właścicielka „Rusałki”? — nie. Nie opowiadała się.

W umowie Kulikowa zastrzegła sobie prawo korzystania ze swego pokoju jeszcze przez sześć miesięcy od daty sprzedaży domu. Nie zaniepokoiła go tak długa nieobecność? — nie.

Dlaczego odsyłając rachunek hotelu „Saskiego” w Warszawie napisał, że taka osoba nie mieszka, skoro Maryla Kulik była tu jeszcze zameldowana i miała umową zagwarantowane prawo do pokoju?

Po prostu nie miał zamiaru regulować jej długów, więc taka odpowiedź wydała mu się najprostszą; ta cholerna hiena i tak wyciągnęła z niego masę pieniędzy. Zwyczajnie go nacięła, bo on sądził, że „Rusałkę” kupuje z całym wyposażeniem, a tymczasem ona tak chytrze sformułowała umowę, że aby zatrzymać sprzęty, meble i resztę niezbędnych przedmiotów, musiał oddzielnie za to zapłacić; płacił jej więc niemal za każdy talerzyk, za każdą popielniczkę

— Lisaczek pluł jak lama na dawną szefową pensjonatu.

Czy ostatnio czytał gazety? — zawsze czytuje prasę. Czy komunikat prokuratury nie nasunął mu żadnych skojarzeń? Komunikatu nie czytał, w telewizji także go nie widział.

Przegląd pokoju i rzeczy Maryli Kulik nie pomógł w żadnej mierze odpowiedzieć na pytanie, w jakim celu pojechała do Warszawy i przez dwa dni mieszkała w hotelu „Saskim” ani też dlaczego wyjechała stamtąd nie regulując rachunku.

A gdzie podziały się pieniądze, oficjalnie milion sto tysięcy złotych, otrzymane za sprzedaż domu?

Sprawdziłem w Świnoujściu, w Szczecinie, a także w Warszawie — Maryla Kulik nie miała konta ani w banku, ani w PKO. Istniały jeszcze książeczki na hasło i bony PKO na okaziciela.

Milion w banknotach czy nawet w bonach to tylko niewielka paczka, a papiery wartościowe PKO są równie poręczne do obrotu nimi jak i pieniądze.

Zapytano w placówkach PKO w Warszawie, może ktoś pamięta; jednak personel nie przypomina sobie, aby ostatnio ktoś wymieniał duże sumy na bony.

Śledztwo rozłaziło się w rękach; milicja podjęła długotrwałą młockę rejestrów meldunkowych pensjonatu — oczywiście sprawca morderstwa mógł tam kiedyś mieszkać i nawet być zameldowany, więc należało spróbować szczęścia i w tym kierunku, chociaż rokowało to nader nikłe szanse.

W jaki sposób Maryla Kulik dorobiła się takiej fortuny? Wybudowała i wyposażyła willę, uzyskała koncesję i... zatrudniła dziewczyny. Jedne występowały jako pokojówki, inne jako pensjonariuszki, a wszystkie to stajnia szefowej.

Zapewne starannie dobierała personel, a mimo to nie uniknęła nielojalności dziewczyny, która korzystając z nadarzającej się okazji okradła klienta i związała.

Szefowa z pewnością zgodziłaby się, aby ten wielki Szwed zdemolował nawet cały dom, byle

tylko zostało to w rodzinie, od tej pory nie miała już chwili spokoju chociaż zdawała sobie sprawę, jak trudno jest udowodni czerpanie zysków z cudzego nierządu.

Ale w tamtejszej obyczajówce siedzą babki traktując swoje obowiązki jak posłannictwo społeczne. No i zaczęło się ciche, zażarte zmaganie: kto kogo?

Kulikowa знаła swoją płęć. Ona najlepiej wiedziała, co potrafią kobiety, gdy się uprą.

Biznes prosperował dalej, ale to już była beczka z prochem, która lada chwila mogła eksplodować. Finał mógł być tylko jeden; więzienie i konfiskata na rzecz skarbu państwa całego, dorobku, jako że źródłem majątku był proceder przestępczy.

Panie z brygady obyczajowej były ambitne; sprawa likwidacji tego interesu stała się ich osobistym punktem honoru. No bo jakże? Żeby jedna stara rajfura bezkarnie — wiedząc, że one wiedzą — dalej prowadziła swoje haniebne przedsiębiorstwo?

Po całej Polsce uganiały się milicjantki za „pokojówkami” madame Kulik. Prośby i groźby — nic nie skutkowało; dziewczyny milczały jak zaczarowane. Strach, profesjonalna solidarność?

Żadna nie kwapiła się obszczekać Kulikową, a już mowy nie było o zeznaniach do protokołu.

Długo trwała ta wojna nerwów i Kulikowa miała już wreszcie dość; zlekła się i nie chciała przeciągać struny. Miała za wiele do stracenia, ryzykowała fortunę.

Z dnia na dzień odebrała przeciwnikowi kartę; niespodziewanie zlikwidowała swoje sprawy i uciekła z Wybrzeża. Tu już na żadną koncesję nie mogła liczyć, nad morzem była definitywnie spalona. Przyjechała do Warszawy, najprawdopodobniej cały majątek miała przy sobie.

Zatrzymała się w „Saskim”, może przyjechała na rekonesans, może już miała coś upatrzonego, najpewniej jakiś dom w podwarszawskiej miejscowości albo i w samym mieście?

I oto ta milionerka nie zapłaciła rachunku w hotelu, sumy rzędu stu kilkudziesięciu złotych.

Dlaczego?

Bo wychodząc na spotkanie — może z potencjalnym współnikiem, może z pośrednikiem albo

z kimś kto jej pomagał urządzić się — była pewna, że wróci, miała z pewnością taki zamiar.

Świadczyły o tym chociażby drobiazgi toaletowe, pozostawione w pokoju.

Czyżby ta przebiegła, bezwzględna baba nosiła ze sobą tak olbrzymią sumę pieniędzy? A jeśli były to dolary, złoto lub drogie kamienie? Wówczas rzeczywiście nie miała gdzie zdeponować takiego majątku, a wszystkie domowe skrytki nie wydawały jej się dostatecznie bezpieczne. I uznała, że najpewniejsze to mieć cały majątek przy sobie.

Trzeba więc koniecznie trafić do osób, z którymi kontaktowała się w Warszawie przez te ostatnie w swoim życiu dwa dni; na razie jednak ludzie ci pozostawali zupełnie nieznani, a obsługa „Saskiego” nie mogła nam dostarczyć najmniejszej wskazówki. Nie pamiętano, czy ktokolwiek odwiedzał ją w hotelu.

Dziewczyny ze służby obyczajowej zaskoczyło to morderstwo. Nie przewidywano takiego zakończenia sprawy i chociaż w ich wojnie z madame Kulik było wiele zaciętrzewienia i motywów wręcz prestiżowych, to jednak kimkolwiek była, one nie życzyły jej śmierci. I teraz miały coś w rodzaju moralnego kaca, że być może pośrednio miały wpływ na ten tragiczny finał. Oczywiście było to odczucie irracjonalne, też kiedyś przeżywałem taki zgryz i chociaż wiedziałem, że to bzdura, męczyły mnie wyrzuty sumienia.

Z dossier Kulikowej, skompletowanego przez obyczajówkę w czasie, gdy nad „Rusałką” gromadziły się już chmury, było wiadomo, że zanim ta kobieta zaawansowała na szefową „pensjonatu”, około dwóch dziesiątków lat sama uprawiała profesję, której później patronowała w swej willi.

Z archiwalnych materiałów, pochodzących z akt tejże służby sprzed ćwierć wieku, wygrzebano rejestry i meldunki, w których madame Kulik wymieniano jako jedną z pierwszych dam szczecińskiego marginesu. A jeśli to stare porachunki? Trzeba się liczyć i z takim rozwiązaniem.

Niestrudzone milicjantki sięgnęły znowu do archiwum. Ryły się wśród pożółkłych, postrzępionych akt; często były to pojedyncze kartki, czasami kilka danych i zaledwie nazwisko. Wyszedł z tego pokaźny spis, uzupełniony aktualnie ustalonymi adresami, a nawet charakterystykami.

Gdy przeglądałem ten materiał, opadły mnie ponure refleksje. Wówczas były to młode i zapewne ładne dziewczyny, teraz dobiegały czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Plejada widm, ludzkich wraków, chorych, zdegenerowanych. Tylko bardzo nieliczne żyły w jakichś znośnych warunkach, ale i z tych niektóre pośrednio miały coś wspólnego z zawodem, uprawianym w młodości.

Po większości zaginął wszelki ślad i nie można ich było odszukać. Może udało im się odejść od tego środowiska i stworzyć sobie inne, normalne życie.

Owszem i to się zdarzało; ale z doświadczenia ludzi, którzy borykają się z rozwiązaniem tego beznadziejnego problemu, starego jak ludzkość, wiadomo, że rzadko która dziewczyna ma dość siły, aby porzucić to rzemiosło. Przyczyny są złożone: trudna adaptacja wśród nowej społeczności, w miejscu pracy, własne środowisko, otoczenie — zapewne! Ale także własna natura, odchylenia charakterologiczne, atrofia woli, ukształtowane już predyspozycje.

W taki sposób, dzięki benedyktyńskiej pracy szczecińskiej obyczajówki, trafiłem na ślad Perły, alias Marii Koziarek.

Jakaś Melania Słowikowa ze Szczecina, podejrzana o handel wódką, była prostytutka — wszystko to były świeże informacje — nie wypierała się dawnej znajomości z Kulikową, ale jak stwierdziła, tamtej się powiodło i w związku z tym nie chciała znać dawnych koleżanek: nie, Słowikowa nie miała już od lat żadnych kontaktów ze środowiskiem.

— Ich własne córki ich poszukują i nic o nich nie wiedzą, to ja mam lepiej wiedzieć? — chodziło tu o córkę Perły, która kilka miesięcy temu przyjechała do Szczecina w poszukiwaniu

matki.

Perła było to przezwisko — figurowała w tym rejestrze pod nazwiskiem Marii Koziarek, jako podejrzanej o uprawianie nierządu w roku 1946.

I chyba nie zwróciłbym specjalnej uwagi na to nazwisko, gdyby nie aktualna informacja adresowa: Zasławska Maria, zamężna, zamieszkała w Warszawie przy ulicy...

Te dane zostały zaczerpnięte z kartoteki adresowej t e r a z , Anno Domini 1973, przez skrupulatne panie ze służby obyczajowej i nic szczególnego nie mówiło im to nazwisko, jedno z wielu umieszczonych w spisie.

Oto manowce wyobraźni! — pomyślałem w pierwszej chwili o swoim skojarzeniu. A jednak? Przecież znana mi Maria Zasławska była także z domu Koziarek. Zbieg okoliczności? Prędko przekonałem się, że nie.

Żona profesora Zasławskiego to dawna portowa dziewczyna! Nie, nie byłem wstrząśnięty, jestem pozbawiony przesądów i uczułem raczej coś w rodzaju szacunku dla tej kobiety, która w swej młodości znalazła dość siły, aby dźwignąć się z takiego dna, zdobyć zawód, pracę, założyć rodzinę.

Ponad ćwierć wieku oddzielało Marię Zasławską od Perły; teraz była dojrzałą kobietą i zapewne zupełnie innym człowiekiem. Być może sama wspominała tamtą — jeśli wspominała — młodą dziewczynę jak obcą, zaledwie znaną jej osobę. Może udało jej się zapomnieć o upokarzającej przeszłości! Nie! Jeśli nie będę zmuszony, nigdy jej tego nie przypomnę...

Z nikim nie podzieliłem się swoim odkryciem. Nie miałem także zamiaru wtajemniczać w to komendanta naszej dzielnicy. Mogłem przewidzieć, co by powiedział.

— Dziwka pozostanie zawsze dziwką i trzeba ją przesłuchać, bo mogła nielicho znać tę Marylę Kulik.

Nie chciałem ingerować w zaprzeszczone życie Marii Zasławskiej i nie wezwałem jej na powtórne

przesłuchanie. Zleciłem tylko milicji, aby dyskretnie sprawdziła jej obecne kontakty, a szczególnie jej ewentualne związki ze Szczecinem, jeśli takowe istnieją. I poprzez swoich szefów załatwiłem, że zajęła się tym służba wywiadowcza Komendy Głównej.

* * *

Dorota nie weszła, wtargnęła w moje życie i od razu zajęła w nim najważniejsze miejsce.

Teraz prawie nie umiem sobie wyobrazić, jak żyłem przedtem, do tego pamiętnego wieczoru, który zaczął się w wilanowskiej „Kuźni”.

Nawet wtedy, gdy opatrywałem jej rozbitą głowę, nie zdawałem sobie sprawy, czym stanie się dla mnie, i to wkrótce, w niedalekiej przyszłości.

Po raz pierwszy poruszyło się coś we mnie, gdy ją odwoziłem z pogotowia. Jakoś nie miałem sumienia, aby dziewczynę, ot tak po prostu, wsadzić do taksówki i odesłać do domu; była taka bezradna, zagubiona, no i niepokojąca wydała mi się ta jej przygoda.

Widać było, że gdzieś się przebrała w te monstrualne łachy.

Już w „Kuźni” ściągnęła moją uwagę jej interesująca, chociaż dziecinna buzia i piękna figurka, podkreślona opiętymi farmerami i malinowym moherem; więc od kogóż i dlaczego wzięła te szmaty, a jeśli już była potrzebna ta przebieranka, to dlaczego ten ktoś chociaż prowizorycznie nie opatrzył jej głowy, dlaczego pozostawił nocą bez opieki, bez pomocy? Później powiedziała, że wpadła do kanału; jej włosy były jeszcze wilgotne, pachniały rzęsą wodną, ale co ją zaniósło nad ten kanał?

Z niechęcią, jak ostateczność, podała swój adres w pięknej willowej dzielnicy; a potem to przerażenie, ogromne przerażenie, gdy już dojeżdżaliśmy do Filtrowej.

Jak kocię wczepiła mi się w ramię, przywarła, jakby pragnęła schować się, zniknąć, i wtedy coś mnie poruszyło, bez namysłu zawiozłem ją do siebie. Co ją tak wystraszyło? Na ulicy dostrzegłem tylko samotnego przechodnia. Ale o nic nie pytałem, czekałem, aby zechciała

powiedzieć mi sama. Jednak ona najpierw zrzuciła skórę Angielki, a potem zaczęła zachowywać się nieznośnie i trochę śmiesznie, jak rozwydrzona dziewczynka.

— Jesteś jedynaczką? — zapytałem.

— Z jedynaka ni pies, ni sobaka. Jestem, ale skąd wiesz?

— To widać... — w końcu huknąłem na nią, chyba za brutalnie, ale rozzłościła mnie, bo na siłę zaczęła udawać dziewczynę doświadczoną, prawie wampa, i nie wiadomo dlaczego starała się wydać gorsza, niż była w rzeczywistości. Coś ją jednak gnębiło, bo gdy na nią krzyknąłem, rozplakała się, a ja poczułem się tak, jakbym skrzywdził chorego lub dziecko.

Rano spała jeszcze, kiedy wyszedłem do pracy. Pozostawiłem jej klucz i kartkę, aby czuła się jak u siebie w domu.

Przez cały dzień nie mogłem się doczekać końca dyżuru, aż się dziwiłem, skąd u mnie taki nastrój. Cieszyła mnie świadomość, że w moim domu jest ta znaleziona nocą dziewczyna; nie wrócę do pustych ścian, powita mnie żywa, miła istota.

Nie byłem przecież harcerzem; już niejednokrotnie oczekiwały mnie żywe, miłe istoty, młode i ładne, ale to było jakieś inne.

Dziwne i niezwykle uczucie; nie byłem Don Juanem, ale przez dwadzieścia sześć lat życia znałem różne dziewczyny, a jednak żadna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, jak ten mały, pokrętny chuligan, ta smarkata, zgarnięta na szosie z rozbitą głową, pachnąca zbutwiałym drewnem i dosłownie bajorem.

Gdy ogarnięty tym nowym, nie znanym mi nastrojem wróciłem do domu, już jej nie było; sprzątnęła moje prowizoryczne poślanie, starannie uładziła tapczan, nie pozostawiła ani świstka, ani jednego słowa, nawet dziękuję.

Przykry był ten moment rozczarowania; potem ogarnęła mnie złość na siebie i wreszcie pożałowałem tych wszystkich ostrych, niemiłych słów, które powiedziałem jej w nocy; to

prawda, zachowywałem się jak gbur, jakby jej obecność bardzo mi przeszkadzała.

Klucza oczywiście nie było, musiała go zabrać, aby zamknąć drzwi, ponieważ nie miały zatrzasku, tylko zwykłą zasuwę. Pomyślałem, że jednak ona się zjawi, przynajmniej aby zwrócić klucz.

Mijały dni — nie dawała znaku życia, i kiedy już nawet odzłowałem ten stracony klucz, zadzwoniła wieczorem:

— Czy mogę przyjść?

— Przychodź zaraz, właśnie mam wolny wieczór!

— Wiem o tym, bo najpierw sprawdziłam w klinice i w pogotowiu.

Trudno ją było poznać; oczywiście, była inaczej ubrana. W króciutkiej kiecuszce i obcisłych lakierowanych butach, ale oprócz tego nosiła wysoko upięte te swoje pyszne włosy i miała starannie zrobioną twarz. Wyglądała na starszą, prawdopodobnie o to jej chodziło.

Korciło mnie, aby się pośmiać z jej niepotrzebnie umalowanej buzi, ale powściągnąłem tę chętkę, nie chciałem jej zmrozić zaraz na wstępie.

— Przyszłam podziękować i zwrócić klucz.

— Klucz możesz zachować, jak długo zechcesz, i... możesz tu przychodzić, kiedy zechcesz

— o cholera, co ja mówię, to zabrzmiało prawie jak deklaracja; jeszcze zaprowadzi się tu na dobre.

— Nawet bez uprzedzenia?

— Mh... nawet — brnąłem dalej, bo głupio było się wycofać.

— Nie boisz się powierzyć mi klucza, przecież nic o mnie nie wiesz?

— Już ci go powierzyłem dwa tygodnie temu — nie dodałem, że nie mam nic cennego, bo wtedy moje zaufanie także byłoby mniej cenne.

— Czy wiesz, że miałam poważną propozycję od szpringowców?

— A cóż to takiego.

— Złodzieje mieszkaniowi — wyjaśniła z taką miną, jakby jej zażyłość ze złodziejami była rzeczą naturalną. — Zawsze na wabia idzie dziewczyna.

— Na wabia, powiadasz? — była zabawna z tymi swoimi rewelacjami, wygłaszanymi ze śmiertelną powagą. — Dorota, jesteś dostatecznie ciekawa, więc po co te opowieści...

— Kiedy ja wcale nie zmyślam, naprawdę! Widzisz to jest tak: dziewczyna podrywa upatrzonego jelenia, jelen, trzeba ci wiedzieć, to taki facet, co go mają okraść, idzie z nim na chatę i zdobywa odcisk kluczy, a potem oni obrabiają mieszkanie. Proste?

— Ze mną jeszcze prościej. Nie musisz się już trudzić, masz klucz. Czy zawsze jesteś taka draczna?

— Cóż w tym draczego? Przecież nie powiedziałam, że chodzę ze szpringowcami, proponowali mi tylko.

— A po co mi to mówisz?

— Bo... jesteś mi bliski i zarazem dobry — potrząsnęła głową. — Nie da się tego tak łatwo wytłumaczyć, ale budzisz zaufanie i... nie wiem czemu, wydaje mi się, że mógłbyś mnie uratować od rozpaczy!

— O jakiej rozpaczy ty mówisz? — poruszył mnie gorzki ton jej głosu. — Widzisz, są takie sprawy... Czasami chciałabym uciec od siebie, uciec od tej osoby, która jest runą, ona mnie męczy, a czasami tylko uciec z domu. No wiesz: wyszedł po zapałki i nie było go dwadzieścia lat.

— Masz rodziców?

— Bardzo fajnych! Ale to ostatnie osoby, którym mogłabym powierzyć moje zmartwienie.

— Ci złodzieje mają związek z twoim zmartwieniem?

— Pośredni... Ale to zupełnie inna historia — pomyślałem wtedy, że dziewczyną nikt się nie

zajmuje, jest zdana na samą siebie i chyba stąd ten nastrój.

— Mogę ci w czymś pomóc? — nie jestem pewien, czy zadałbym to pytanie, gdybym wiedział, o co mnie poprosi; no i nie byłem przygotowany na to, że ona ten mój, co tu dużo mówić, pusty gest weźmie natychmiast tak serio.

— Możesz — skinęła głową — tylko nie wiem, czy zechcesz. Bo nie mogę ci opowiedzieć wszystkiego, więc musiałbyś mi zaufać trochę w ciemno i pomóc bez gadania morałów i nie myśleć, że jestem kopnięta albo szukam mocnych wrażeń... A do tego to, o co cię proszę, może okazać się niezupełnie bezpieczne.

— Intrygujesz mnie.

— Nie śmieję się, nie opowiadam ci bajek, aby wydać bardziej interesująca... wprawdzie mam masę dobrych kumpli, ale uwierają ich rodziciele! Ci w życiu by mi nie darowali, że wciągnęłam, pograżyłam, wywarłam zły wpływ na ich aniołka... zepsuta dziewczyna, dno! Już ich widzę, a szczególnie... starą Winiarską.

— Wykrztuś wreszcie, w czym sedno?

— Jeśli nawet odmówisz, zachowasz tajemnicę, zapomnisz, co ci powiedziałam?

— Mam złożyć przysięgę?

— Nie, powiedz tylko, że zachowasz.

— Zachowam.

— Jest taka potajemka, gdzie rozlewają wódkę.

— Takich potajemek są dziesiątki — nie zrozumiałem sensu jej wyznania — i to jest sprawa milicji.

— To nie jest zwykły handel wódką — tłumaczyła cierpliwie — tylko olbrzymie kradzieże.

— Tym bardziej to sprawa milicji — byłem zły i rozczarowany; zwariowana dziewczyna, sądzi, że ja dam się wciągnąć w jakieś zabawy w małego detektywa. I było mi głupio; śliczna,

opuszczona dziewczyna ma zmartwienie, ja gotów jestem pocieszać i w ogóle się zająć — mężczyźni lubią zajmować się ślicznymi i opuszczonymi dziewczynami — a tu raptem handel wódką! Co za proza.

— Radziłbyś napisać donos? — skrzywiła się zawiedziona. — Z różnych względów, o których nic nie mogę ci powiedzieć, nie zawiadomię władz, tylko sama się upewnię, czy ludzie, których posądzam, robią to świństwo, to znaczy kradną!

Głos jej się załamał, była bliska płaczu. O co jej chodzi? A może ta mała posądza rodziców i stąd ten dramat... Upadek autorytetu, pogarda do najbliższych, lęk o nich. Oczywiście, w takim razie nie ma mowy o donosie i zrozumiała jest ten kategoryczny przymus odkrycia prawdy.

— A jeśli po tym, czego się dowiesz, będzie ci jeszcze gorzej? Może lepiej nie poszukiwać prawdy? Są prawdy, z którymi trudno jest żyć, pomyślałaś o tym?

— Z tą świadomością da się żyć — uśmiechnęła się.

— No więc, co mam robić? — powiedziałem z rezygnacją.

— Zadzwoń... — wymieniła numer telefonu — i poproś Kazimierza Omerowicza. Powiesz, że pracujesz dla Melki ze Szczecina, za którą ręczy Maryla Kulik ze Świnoujścia, trochę to piętrowe, więc nie pomył kolejności. Bo nie jest pewne, czy on w ogóle słyszał o Melce.

— Wymyśliłaś tę osobę? — byłem zły, drażnił mnie ten prymitywny sposób, w jaki mam podejść jakiegoś tam faceta. Wymyślałem sobie od durniów, że sam z własnej woli pakuję się w zupełnie mętą hecę, ulegając pomysłom tej stukniętej dziewczyny, o której przecież nic nie wiedziałem. Widziałem ją drugi raz w życiu! Prawda, była bardzo ładna, ale czy warto ładować się w podejrzaną imprezę nawet dla najpiękniejszej buzi; dać się użyć jak osioł tej małej?

— Możesz tego nie robić — spostrzegła moją niechęć.

— Pytam, czy Melka jest wymyślona — burknąłem, bo mimo że zdrowy rozsądek protestował, a może właśnie dlatego, wiedziałem, że zadzwonię; jeśli tak jej na tym zależy,

niezręcznie odmówić, bo pomyśli, że się boję; nie miałem czuć, jak potrząsam czerwonym grzebieniem i stroszę najpiękniejsze pióra przed tym ślicznym smarkaczem.

— Ona istnieje, tylko Omerowicz może o niej nic nie wiedzieć. I nie bój się, z tego powodu nic ci nie grozi. Po prostu pożyczasz mi swój głos, bo mój jest tam znany. — I możesz nie mieć skrupułów, bo to wredna szpana!

Szpana, szmal, rura — westchnąłem; skąd to do niej, przecież gdy nie wpada w ten bełkot, mówi poprawnie. Czy to teraz taka szkolna moda, ale niepokojąco wulgarna? Zaraz złapałem się na myśli, zaczynającej się: za moich czasów... i dałem spokój ocenom. Zapytałem:

— Dobrze, ale w końcu po co przysłała mnie Melka, protegowana przez Maryle?

— Po chłam! Ale koniecznie zapytaj, po ile liczy za matkę! Chłam to w ogóle jakiś towar, którego lepiej nie nazywać po imieniu, a matka to litr wódki — po tym instruktażu podsunęła mi telefon. — Zadzwońisz? Bo on teraz powinien być w domu.

— Dobrze, zadzwonię, ale przyrzeknij! Więcej takich spraw nie będzie.

— Nie przyrzeknę, a przecież morałów miało nie być? Dlaczego tak z mety bierzesz się do rządzenia? Czy tylko dlatego, — że robisz mi tę małą grzeczność...

— Ależ, Dorota...

— No przecież widziałam, jak cię skręcało, była chwila, że z chęcią byś mnie wyrzucił za drzwi. Ale jeśli już się zdecydowałeś, to nie targuj tym... Nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz, a już z punktu chcesz ustawiać mi życie! O rany! Co za ludzie, jeden w drugiego same Makarenki: Już nic nie powiedziałem, że złością podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer; jeszcze miałem nadzieję, że facet się nie zgłosi, a na drugi raz nie dam się wrobić w żaden chłam, zupełnie mnie nie interesuje nawet cysterna kradzionej wódki i niech ta jej Melka się w niej utopi. Amen.

Był! Wyrecytowałem więc swoją kwestię — Dorota nadstawiła uszu.

— ...odbiór loco, paczka za matkę... — odpowiedział mi ten mężczyzna. — Kiedy się pan zgłosi?

— Za dwa tygodnie — powiedziałem już z własnej inicjatywy, bo mała, przewrotna kobietka nie przewidziała takiego drobiazgu, jak odpowiedź na jego ewentualne pytanie.

— Przedtem proszę zadzwonić — przykazał mój rozmówca i odłożył słuchawkę. — Paczka za matkę, odbiór loco! — powtórzyłem nie rozumiejąc, o co tu chodzi, i mimo woli zaczynało mnie to interesować.

— To znaczy, że oni sprzedają spirytus! Bo przecież nikt nie dałby im stówka za litr wódki!... Aferzyści! Nie na darmo cerowałeś mi makówkę! — chwyciła moją rękę i ulokowała sobie na głowie. — Dzięki, jesteś wielki. Istanno, powiadam wam, nie będzie to MU zapomniane! Puściła się w szalony płas.

— Uwaga! Taniec wojowników indiańskich ze skalpami!

— Dorota, sąsiedzi — jęknąłem, bo tupała wycinając hołubce — tu są bardzo akustyczne stropy!

— Zawsze człowieka ściągną na ziemię — przystanęła przede mną. — O, ty pełzający po cienkich stropach płazie! Jam jest Czarna Stopa, czyli wielki wódz starych mokasynów!

Błaznowała, aby uniknąć pytań.

— Jak wpadłaś na tych aferzystów? — nie dawałem się spławić.

— Dosłownie, szczupakiem do kanału! — zrobiła gest, jakby rzucała się z trampoliny.

Spotykaliśmy się często; i ani się spostrzegłem, jak stała mi się człowiekiem bardzo bliskim, przyjacielem i kochaną dziewczyną.

Ona także okazywała mi wiele przywiązania i chyba też mnie kochała, chociaż co człowiek może wiedzieć o drugim sercu. Może jej się tak wydawało? Może była bardzo samotna, a ja w krytycznym momencie okazałem jej zainteresowanie i dlatego przylgnęła.

Nic nie mówiła o sobie; po kilku próbach przestałem ją pytać. Nie wiedziałem, skąd przychodzi i dokąd wraca, gdy wieczorem odprowadzałem ją do taksówki. Nigdy już nie została u mnie na noc. Jeśli adres, który podała, gdy wiozłem ją z pogotowia, był prawdziwy, to mieszkała w willi, tuż w pobliżu ulicy Filtrowej. Mogłem to łatwo sprawdzić — nie chciałem. Nie umiem sobie wyjaśnić dlaczego. Może to była uraza do niej za wyznaczenie pewnej linii, poza którą nie chciała mnie widzieć w tamtym swoim nie znanym mi życiu. Może podświadomie bałem się rozczarowania, gdyby ten adres okazał się fałszywy, a może ta tajemnica dodawała uroku naszym spotkaniom?

Wciąż mnie intrygowała; inteligentna, bardzo odczytana, operująca piękną polszczyzną, równocześnie potrafiła mówić jakimś niezrozumiałym bełkotem, twierdząc, że to język złodziejski.

Do tego stopnia pobudziła moją ciekawość, że poszedłem kiedyś do biblioteki uniwersyteckiej i przewertowałem jakieś publikacje z tej dziedziny; nie kłamała, owszem, istniał taki język.

Miała ucho czułe jak kamerton i w lot przyswajała sobie zasłyszane słowa, zwroty; natychmiast wyłapała ode mnie żargonowe wyrażenia lekarskie i kiedyś ubawiła mnie opowieścią, złożoną niemal tylko z tych słów.

— Dlaczego wybrałaś właśnie mnie? — zapytałem ją kiedyś niemądrze, bo chyba najtrudniej określić, dlaczego wyróżnia się tę, a nie inną osobę. Tak samo byłbym w kłopotcie, gdyby ona zadała mi takie pytanie.

— Dlatego, że jesteś lekarzem — zrobiła bezczelny pyszczek.

— A ja miałem wyrzuty sumienia, że deprawuję dziecko.

— Od chwili, gdy zgarnąłeś mnie z szosy, bardzo chciałam, abyś mnie deprawował.

— Wtedy najchętniej przetrzepałbym ci skórę, zresztą teraz czasami także.

— Masz coś z despoty, ale to także mi się podoba.

— Dlaczego nic o tobie nie wiem?

— Bo żyję w próżni! — sposepniała i zamilkła na dobre.

Jak to jest, żyję z dziewczyną i nic o niej nie wiem? Na dobrą sprawę nie podała mi nawet, gdzie mieszka i z kim. Nie chcę wdzierać się w to jej drugie życie przemocą czy podstępem, ale także nie widzę się w roli, jaką mi wyznaczyła.

Któregoś wieczoru zadzwoniła do mnie do pogotowia: dyżur kończyłem o ósmej wieczór.

Znała mój rozkład zajęć.

— Konrad, przyjedź, boję się! — powiedziała stłumionym, napiętym głosem.

— Zapal wszystkie światła i zrób sobie kawy — poradziłem. Byłem pewien, że dzwoni z mego mieszkania.

— Ja telefonuję z budki na rogu Filtrowej, przyjedź do mnie! — wymieniła adres, wciąż tym głosem ściszonej prawie do szeptu. — Furtka będzie otwarta, klucz od drzwi wejściowych pod wycieraczką... Z przedpokoju wejdiesz wprost do biblioteki, to centralny pokój na dole, z niego drzwi na lewo... Błagam, przyjdź! I zachowuj się bardzo cicho, staraj się, aby cię nikt nie widział.

Nie do wiary, siedziała w ciemnościach zamknięta na klucz we własnym pokoju. Otworzyła dopiero, gdy zawołałem ją po imieniu.

— Poczekaj, zaraz się zorientujesz, tu nie jest tak ciemno — nie pozwoliła zapalić światła.

Mówiła szeptem.

Zacisnęła dłoń na mojej ręce, pociągnęła za sobą. Zamajaczył krzyż ramy okiennej za pajęczyną firanki.

Poczułem się nieswojo, a potem głupio. Mania prześladowcza czy co, u licha?

Za oknem było widniej, można było dostrzec drzewa w ogrodzie, fragment parkanu i furtkę.

A więc moja dziewczyna mieszkała w dużym, nieprzyjaznym domu, bo z zewnątrz jego

przysadzista bryła z oślepienymi ciemnością oknami wydała mi się niesympatyczna, wręcz ponura.

Dorota podprowadziła mnie do fotela stojącego pod oknem i jakimś sposobem wcisnęła się obok mnie. Cisza aż dzwoniła w uszach, wydawało mi się, że słyszę trzepot jej serca.

— Świeciło się na górze, jak szedłeś? — nachyliła mi się do ucha.

— Chyba tak.

— Pobądź ze mną... w końcu on przecież musi wyjść — nie zapytałem, co to za ON, rozumiałem, że to ten jakiś ON jest sprawcą szalonego niepokoju mojej dziewczyny.

— Dorota... — miałem tego dość, przy mnie nie powinna się już bać.

— Ciii... — znieruchomiała nasłuchując. Mnie także wydało się, że słyszę szmer, potem jakby kroki i trzaśnięcie drzwi.

Rozległy się stłumione odgłosy kroków na betonowych płytach, wiodących od wejścia do furtki, i w ramie okna dojrzałem kręłą sylwetkę mężczyzny. Przystanął przy furtce, rozejrzał się, znowu ruszył przed siebie; skrzypnęła bramka — mężczyzna znikł z pola widzenia.

Dorota siedziała przez chwilę nieporuszona: — poszedł! odetchnęła głośno, ale nie zapaliła światła. Na co czekała?

Zaraz potem rozległy się lekkie, skradające się stąpnięcia, ktoś przystanął pod drzwiami pokoju, znów się oddalił i znów przybliżył. Teraz stał po drugiej stronie drzwi, wydawało mi się, że słyszę jego oddech.

Co się tu dzieje, do cholery? Co to za dom, jak z opowieści Poeego! Przygarnąłem do siebie Dorotę, żeby jej dodać otuchy. Czekałem, co będzie dalej.

Zapukano zrazu lekko, później energicznie załomotano klamką; potem wystrzelił wąski promień światła, ktoś oświetlił latarką dziurkę od klucza. Dorota wyjęła klucz?

Rozległy się szmery, zgrzyty, ktoś wyraźnie majstrował przy zamku. Dorota siedziała

nieporuszona, tylko czułem, jak na moim ramieniu coraz bardziej zaciska się jej ręka.

Dopiero teraz zrozumiałem to jej irytujące chwilami zachowanie; ta dziewczyna żyła w ciągłym lęku. Dobrze się stało, że nie zbagatelizowałem jej dzisiejszego wezwania.

Zgrzyty przy drzwiach nie ustawały, nadal ktoś mocował się z zamkiem i to coraz śmieiej, bardziej nachalnie; trzeba z tym skończyć — pomyślałem i dotknąłem dłoni Doroty, myślałem, że w ręku ma klucz. Chciałem niespodziewanie otworzyć drzwi i przyłapać gościa.

Wówczas Dorota skoczyła jak kotka i jednym szarpnięciem rozwarła drzwi; nie były zamknięte na klucz, a na mały rygielek wewnątrz, jakie się dawniej stosowało zamiast haczyków.

Równocześnie przekreśliła kontakt.

Na progu zamarł facet dostrzegłem, jak ukrył coś w dłoni.

— Mam zadzwonić po milicję? — Dorocie drżał głos mimo stanowczego tonu.

— Ależ, Doroto. — urwał, bo dopiero teraz zobaczył mnie.

Ależ to był piękniś! Nie znałem się na kanonach męskiej urody, zawsze uważałem, że jeśli mężczyzna jest trochę ładniejszy od diabła, to już jest dobrze, ale tę twarz odebrałem jak osobistą zniewagę. Ten się musi podobać dziewczynom, pewno lecą na niego jak ćmy.

Dziwnymi drogami chodzi ludzka myśl; nie byłem fajtłapą, ale także nie byłem awanturnikiem i nie pamiętam, aby bądź co bądź nieagresywny facet wywołał we mnie taką nagłą ochotę, aby mu rozkwasić gębę.

Mam się za kulturalnego, brzydzę się przemocą, mam leczyć a nie niszczyć, jestem chirurgiem, muszę mieć sprawne ręce, nie powinienem ich sobie rozbijać — to wszystko galopem przemknęło mi przez głowę i zanim zdążyłem domyśleć do końca, strzeliłem prawym, poprawiłem — lalusz leżał.

— Wstawaj! — posłusznie zbierał się z podłogi. Już nie był taki czarujący, bo ten reklamowy pysk oszpecił mu grymas strachu.

Nie czułem wstydu ani wyrzutów sumienia — oduczę go włamań do cudzych pokoi.

— Siadaj — pchnąłem go na fotel. Zatoczył się i klapnął jak flak. Nie, nie był aż tak oszołomiony, w końcu przyłożyłem mu tylko dwa razy. On się po prostu cholernie bał, trząsł jak galareta, wytrzeszczając na mnie te aksamitne, zupełnie ogłupiałe ślepia.

Stanowczo nie był taki śliczny, jak mi się to w pierwszej chwili wydawało; gładka, bezmyślna fizys mięczaka, a pod tym świetnie skrojonym ubrankiem porastające tłuszczem, leniwe mięśnie. Przez cały czas Dorota nie odezwała się, stała z zaplecionymi rękoma. Ten gest i wyraz jej twarzy wyraźnie wydawały mi lalusia na łup.

— Oddaj, co masz w ręku — niespodziewanie wyrzucił nogi, uskoczyłem, poderwał się i zamierzył zaciśniętą pięścią; sparowałem cios — zapiekły kostki ręki.

Nawet mnie nie rozzłościł, tylko zniecierpliwił tym podstępem; rąbnąłem w szczękę i poprawiłem, wdusiłem w fotel — znowu sflaczał. Na podłogę poleciały spięte kółkiem klucze. To nimi skaleczył mi rękę.

— Jeśli się ruszysz, rozsmaruję cię na tym fotelu — uprzedziłem. Nie ruszył się, puchł symetrycznie.

— Dorota, masz coś jeszcze do tego dżentelmena? — podszedłem do telefonu.

— Zastanawiam się, czy wezwać radiowóz, czy wymienić zamki — powiedziała wolno. Zrozumiałem, że nie zawiadomi milicji, tylko straszy tamtego.

— Doroto... — jęknął.

— Piłaś z nim brudzia? — poczułem się osobiście dotknięty, że on śmie ją tykać.

— Ze wszystkiego się pani wytłumaczę, ale nie przy nim! — wydukał ze śmiesznością w tej sytuacji nadętą godnością.

— Wszystko jest jasne, tu nie ma nic do tłumaczenia... Jeśli jeszcze raz przyłapię pana gdziekolwiek w domu, poza mansardą, wezwę milicję. Nie żartuję... Z mieszkania zginęło już

kilka cennych rzeczy, proszę wyjść!

Siedział — zezował na mnie.

— No, rusz się, skarbie, skoro pani prosi! — mruknąłem. Poderwał się i poszedł jak zmyty.

— Mam nadzieję, że będzie się bał podsłuchiwać — powiedziała Dorota, ale przezornie wyjrzała za nim. Usłyszeliśmy kroki po schodach. Więc ten gnojek mieszkali w tym domu!

— Kto to jest? — zapytałem.

— Niewydarzony plastik, mieszka na piętrze — Dorota wyłączyła telefon. — Mógłby wezwać kumpli — odpowiedziała na moje nieme pytanie. — Wyrwałeś mu reszkę piór z ogona!

— Poradzę sobie i z kumplami, ale co się tu u ciebie dzieje, dlaczego dzwoniłaś z budki, skoro masz w domu telefon?

— Bo tu każdy każdego podsłuchuje... Ja także — westchnęła. — Dom jest duży, jest kilka aparatów przełącznikowych... Kolega zrobił mi takie chytre urządzenie, że mogę bezkarnie podsłuchiwać każdą rozmowę i nikt się nie zorientuje — mówiła to bez żadnej żenady, jakby podsłuchiwanie cudzych rozmów było sprawą najnormalniejszą pod słońcem — natomiast jeśli o n i podsłuchują, to gdy podniosą mikrofon, słysząc taki dźwięk...

Sprawdziłem klucze odebrane facetowi, żaden z nich nie pasował do zamka: — Nie martw się, nie miał nawet czym otworzyć...

— ONI, jeśli się uprą, znajdą sposób — westchnęła.

— Jacy ONI?

— Nie poznałeś jego głosu? To jest ten od spirytusu. Omerowicz — zniżyła głos do szeptu. —

A to jest rozgałęziona szpana, ten to jest bydlęk pospolity i straszny tchórz, ale inni...

— Do diabła, gdzie są twoi rodzice?

— Ojciec za granicą, matka ma dzisiaj dyżur, Aniela pojechała na wieś, jej siostra jest ciężko chora... Aniela to nasza gospodyni — Rodzice nie wiedzą, co się w domu dzieje?.

— Nie i nie powinni.

— Nie masz zamiaru z tym skończyć? Przecież to ponury dom.

— Kiedyś taki nie był, ale... chodź, zobaczysz! Wcale nie jest ponury... Pewno jesteś głodny!

— byłem głodny.

Pociągnęła mnie za sobą, pokój zamknęła na klucz. Poszedłem za nią do kuchni. Wygarnęła na tacę zawartość lodówki. Ustawiła nakrycia.

— Możemy zjeść tutaj, ale przed tym chętnie wziąłbym prysznic.

— Kolacja będzie uroczysta, zapalimy świece! — powiedziała. Pomogłem jej zanieść tacę do biblioteki. Zapaliła boczne światła, zaciągnęła na oknach zasłony koloru miodu. Obszerny pokój stał się jasny, wesoły.

— Tchnie rodzinnym ciepłkiem, co? — skrzywiła się Dorota. — To gust mojej matki, ma wręcz nieprawdopodobny talent do urządzania wnętrz... Jeśli tylko są ściany i kilka szmat, natychmiast wyczaruje ci prawdziwy dom, jak nikt urnie budować gniazdo... A tak w ogóle jest pielęgniarką, i to w twojej klinice, może ją nawet znasz... Maria Zasławska.

Już teraz wiedziałem, skąd to skojarzenie wtedy w „Kuźni”; gdy pierwszy raz zobaczyłem Dorotę, od razu jej twarz wydała mi się znajoma. Była bardzo podobna do swojej matki, przełożonej pielęgniarek na drugim oddziale neurochirurgii. Znałem ją z widzenia, była najpiękniejszą kobietą w naszej klinice.

Kradzieże spirytusu, laluś usiłujący włamać się do córki właścicieli domu pod nieobecność rodziców, przełożona pielęgniarek, komfortowa willa, stary za granicą... Jakaś figura czy aferzysta?

Nie chciała mnie tu przyprowadzić; wstydziła się dusznej atmosfery swego domu, czy przez delikatność, abym nie czuł się skrępowany ich luksusem? Ale na tyle już chyba mnie poznała i wie, że nie przywiązuję wagi do przedmiotów, « zamożność innych nie wpędza mnie w

kompleksy.

— Chodź, zaprowadzę cię do łazienki — powiedziała Dorota i po sekundzie wahania: — pozwolisz mi tam posiedzieć?

Bała się pozostać sama nawet na moment; przewrażliwienie? Nie, nie zostawię jej w tym domu, należy rozmówić się z rodzicami. W końcu dziewczyna jest pełnoletnia i sama ma prawo decydować. Ani na chwilę nie wątpiłem w jej wybór.

— Kiedy wraca twój ojciec? — zapytałem, kiedy zabraliśmy się wreszcie do jedzenia; przyznała, że od obiadu nie miała nic w ustach, bała się pójść do kuchni.

— Za kilka miesięcy.

— Więc w domu są trzy kobiety i... tamten? — skinęła głową; to jednak zmieniało postać rzeczy. Ten cacuś panoszy się tu bezkarnie i pewno je zwyczajnie terroryzuje.

— Słuchaj... nie mógłbyś u nas pomieszkać? — zapytała z wahaniem. — Jesteśmy tu okropnie osamotnione — jakby szła za tokiem moich myśli.

— Mógłbym, tylko co powiesz matce?

— Oooch! To najmniejszy problem — pierwszy raz tego wieczoru roześmiała się i opowiedziała o Kaktusach.

— To gdzie, do diabła, są dzisiaj te twoje Kaktusy? — wcale nie byłem zachwycony, że zostanę zaliczony do tej kategorii gości.

— Oni się uczą i czasami także muszą pomieszkać we własnym domu... My, młodzież — westchnęła głęboko i wydeła wargi — wciąż jesteśmy uzależnieni: od wychowawcy, dyra, tatusia i mamusi... Oni dają nam papu, obwolutę, czyli ubranka, niektórzy marzą, aby nas wbić w mundurki, nobliwe, granatowe mundurki z plisowanymi spódniczkami i marynarskimi kołnierzykami, jak bywało za ich młodości, jakby tatuaż na rękawie to jeszcze było mało!

— Nie rozczulaj się, nie widziałem u ciebie tarczy.

— Ale do szkoły noszę... No więc, jak starzy każą pomieszkać, to nie ma rady! Mogą nam odebrać kieszonkowe, mogą Kaktusom kazać ściąć włosy, mogą jeszcze wiele innych rzeczy, o których już z pewnością zapomniałeś... Są uzbrojeni w różne sankcje, a my cóż? W ramach protestu możemy się najwyżej przestać uczyć, co jest bronią obosieczną...

— Nie wydaje mi się, aby twoi rodzice stosowali sankcje.

— Bo moi są cholernie nietypowi.

Pomyślałem, że jak na mój gust zbyt nietypowi, ale nie powiedziałem jej tego.

— Pomieszkaś z nami, co? Proszę cię... Mężczyzna przyda się w domu — usiłowała żartować. — Pokój ojca jest zupełnie wolny i jeśli nie będziesz miał ochoty widzieć jakiejś twarzy, nikt ci w tym nie przeszkodzi. A ten pajac na pewno będzie ci schodził z drogi, bo to szczur.

— A w dni dyżurów?

— Zorganizuję kolegów, a także mogę pomieszkać u ciebie. Jako dziewczyna, do której ma się w domu zaufanie, mogę wracać p r z e d jedenastą, ale jako dziewczyna porządna, m u s z ę wracać przed jedenastą. Opera, co? Jakby do jedenastej nie można było robić tego samego co i po, ale u nas obowiązuje taka konwencja! Moje koleżanki mają jeszcze krócej, do dziewiątej, a już dziesiąta to góra!

Poznałem matkę; piękna, kulturalna pani, ale jakaś taka przygaszona, małomówna i jakby niepewnie czująca się we własnym domu.

Wydawało mi się, że mnie unika. I trudno byłoby mi powiedzieć, czy aprobuje moją obecność, czy zaledwie ją toleruje, a może po prostu ukrywa niechęć, tylko z niewiadomych powodów biernie zgadza się na narzucony jej stan rzeczy. Zdawkowa uprzejmość i żadnego zainteresowania dla bądź co bądź nowego człowieka we własnym domu.

Nie mogłem dociec, czy wynika to z nadmiaru taktu, czy z absolutnej obojętności wobec

wszystkiego, co się wokół dzieje — jakże się myliłem. Wówczas jednak nie poświęcałem zbyt wiele uwagi tej kobiecie, bo bez reszty zajmowała mnie Dorota.

Tylko Aniela była jednoznaczna, dbała o to wszystko, bez czego nie mógłby funkcjonować dom, niby nie było jej widać, ale wszędzie czuło się jej obecność. Na swój sposób czuwała nad Dorotą. Polubiła mnie, okazywała mi pewną atencję i nie mówiła TY, jak do innych Kaktusów.

Jej względy zawdzięczałem dyplomowi, bądź co bądź był to patent lekarza.

Aniela spędziła młodość w białostockiej wiosce, położonej na skraju puszczy, i wprawdzie nie była to młodość głodna, bo żywił ją bór, ale tam w tych czasach, na długo przed moim urodzeniem, rzadko kto umiał czytać, a doktor zaliczał się do nobili.

I mimo że od tamtej pory upłynęło kilka dziesiątków lat i ona także nie żyła już z przemysłu, jak do dziś dnia nazywała kłusownictwo i zbieranie leśnego runa, to jednak pozostał w niej głęboko zakorzeniony szacunek dla „uczonego” i pewna zabobonna rezerwa, ponieważ doktor to jednak było coś z szamana, coś ze znachora i coś z babki odczyniającej uroki.

Bo Aniela nadal wierzyła w złe uroki, w kołtun — przedziwną, nigdy nie uznaną przez medycynę chorobę, nie spotykaną już dziś, a dość rozpowszechnioną wtedy, szczególnie tam, gdzie panowała ciemnota i nędza: takiemu choremu włosy zbijały się w filcową czapę, miewał smaki jak kobieta w ciąży i pod groźbą nagłej śmierci nie wolno było tego ściąć, zanim nie odrosły na długość „pierwszej runi ozimego” na wiosnę.

Wierzyła także w złe oczy, w wampiry żywiące się krwią dziewic, wierzyła, że wrzody najlepiej leczy się przez „opisanie atramentem” o wschodzie słońca i spalenie czerwonego sukna; na wilki najlepsza była gromnica, poświęcona drugiego lutego, a na krwotok napar ze skrzypu.

Wszystko to opowiadała mi w zaufaniu, gdy nabrała pewności, że jej nie wyśmieję; a ja słuchałem z uwagą, bo były to sprawy dla mnie nie znane, niektóre jak skamielina z odległej epoki, a inne frapujące, więc dyskutowałem z nią o lekarstwie z „Siedmiu Stołów

Wielkanocnych”, nadzwyczaj skutecznym na „przełknięcie”, i myślałem, czy nie pomogłoby Dorocie, ale nie mogłem wypróbować jego mocy, bo tym cudownym lekiem nie dysponowała żadna apteka.

Roztrząsaliśmy zalety próchna utartego na proszek jako najlepszej zasyпки dla niemowląt i właściwości ziół, na ziołach Aniela znała się zdumiewająco, a różnił nas w tej dziedzinie jedynie pogląd nie n a c o , lecz jak należy je stosować: o wschodzie czy po zachodzie słońca, z pierwszym pianiem kura czy z ukazaniem się nowiu księżyca.

Lubiłem rozmawiać z Anielą.

Dzięki jej sympatii miałem prawie nieskrępowaną swobodę poruszania się po tym domu i uważnie przyglądałem się temu, co się wokół działo. I już nie dziwiłem się niczemu, a przynajmniej nie dawałem tego po sobie poznać.

Ale chociażby ta historia z Omerowiczem — Aniela twierdziła, że on ma złe oczy. O próbie włamania do jej pokoju Dorota nie wspomniała matce, a malarz zachował się jak gdyby nigdy nic. I jeśli przypadkiem mnie spotkał, a ze względu na rozkład domu zdarzało się to rzadko, kłaniał mi się z godnością, jak gdyby nigdy nie dostał ode mnie po mordzie.

— Dorota, on cię podrywał? — wydawało mi się, że zaczynam coś rozumieć.

— Gorzej! — roześmiała się z przymusem — chciał się ze mną ożenić! Nie widziałam gorszego bałwana — i zmieniła temat.

Dlaczego więc tak bardzo obawiała się tego bałwana, którego lekceważyła, że za nic w świecie nie chciała ani przez moment zostać sama w domu?

No tak, jest jeszcze jakaś szpana — zaczynałem przyswajać sobie niektóre słówka Doroty, i przypomniła mi się krępa sylwetka faceta widzianego z okna tego pierwszego wieczoru, gdy znalazłem się w pokoju Doroty.

Zdawałem sobie sprawę, że znam zaledwie część prawdy, a kradzieże spirytusu są tylko

fragmentem czegoś poważniejszego.

Cóż miałem uczynić? Później wyrzucałem sobie tę rolę biernego obserwatora, ale moja postawa nie wynikała z tchórzostwa czy braku zainteresowania. Nie wiedziałem, jak im pomóc, bo nie znając całości mogłem tylko narazić Dorotę. Złożenie jakiegoś mglistego oświadczenia u władz w ogóle nie wchodziło w rachubę, bo dałem dziewczynie słowo, a nie byłem takim Spartem, aby przedłożyć ujawnienie jakiejś nawet afery nad jej dobro. Zwalczenie kradzieży to obowiązek milicji — tak wtedy myślałem. Za to im płacą. Do mnie należy leczenie chorych, wierność przysiędze Hipokratesa.

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy po raz pierwszy wezwała mnie na pomoc, wręczyła mi dużą kopertę, starannie zaklejoną i zapieczętowaną lakiem.

— Przechowaj to u siebie — nie wyjaśniła, co zawiera pakiet, a ja nie wypytywałem. —

Schowaj ją dobrze, bo ja już nie mam nerwów... Muszę na niej spać albo nosić w teczce do szkoły... Szpiegują mnie na każdym kroku, jeszcze pół biedy z Anielą, ale sam widziałeś, co ten pajac wyrabia, a nie mogę robić skandalu z wymienianiem zamków. Zresztą jak się uprą, to i tak w końcu znajdą sposób, aby się do mnie dostać.

Człowiek często bagatelizuje różne sprawy, i co tu udawać, ja także brałem poprawkę nawet na swoje domysły, nie rozumiejąc, że wszystko toczyło się ku nieuchronnemu nieszczęściu, i jak ślepy nie doceniałem roli Doroty. Ba! przyśpieszania przez nią biegu wypadków.

Działała z najlepszych pobudek, lecz nie przebierała w środkach; ale także w tej grze na śmierć i życie postępowała czasami rozbijając naiwnie, tak jak gdyby to była zabawa w Indian z podchodami. To mogło skończyć się dla niej tragicznie, a uniknęła niebezpieczeństwa tylko dlatego, bo jej przeciwnicy zbyt późno zorientowali się, że ich karty tasuje osiemnastoletnia dziewczyna, rozpieszczona, wychuchana i z pozoru niesamodzielną jedynaczką.

I niewątpliwie osiągnęłyby ten swój twardo wytyczony cel, któremu podporządkowała

wszystko, gdyby nie pokrzyżował jej planów los, przybrałszy postać małego, chciwego tchórza.

Ale wtedy ja o tym wszystkim jeszcze nie wiedziałem i nie przywiązywałem dostatecznej wagi do różnych, jak sądziłem, ekscentrycznych wyskoków, które usiłowałem zaledwie tonować, przekonany, że panuję nad tą moją szaloną dziewczyną.

Znów był jakiś wieczór, Dorota miała przyjść do mnie, lecz długo jej nie było; i to już także wiedziałem, jak bardzo nie umie współżyć z zegarkiem. Spóźniała się często, ale równie często przychodziła o wiele za wcześnie: — bo tak jej się przyszło!

Alarmująco zabrzmiał dzwonek, potem razem z Dorotą do mieszkania wpadło — bo trudno to nazwać wejściem — dwóch gladiatorów; rosłe chłopcy o aparycji ciężarowców.

— Gonią was? — powiedziałem żartem.

— Nie, chłopcy są ranni — odpowiedziała Dorota.

Jeden miał porozbijaną twarz, drugi rękę omotaną jedwabną apaszką Doroty, a z ramienia zwisał, rozcięty aż do łokcia, rękaw płaszcza. Cienka tkanina szalika przesiąkła krwią.

— Chłopcy mieli przeprawę... — Dorota była speszona; spojrzeniem błagała o przyjazne przyjęcie.

— Widzę — mruknąłem. — Przygotuj wodę i przynieś opatrunki — ściągnąłem okrycie z tego ze skaleczoną ręką. Rozwijałem zaimprovizowany z szalika bandaż. To wielkie chłopisko pobladło i zwyczajnie się bało.

— Odwagi, Leszek — Dorota przyniosła gazę. — Każdy mężczyzna mdleje od zastrzyku i umiera na katar — mądrzyła się.

Podobnie jak w płaszczu, rękaw grubego swetra był rozplątany, zaś mięsień przedramienia, od nadgarstka aż po łokieć, przecinała krwawa krecha. Rana była dość głęboka i wciąż krwawiła.

— Żyłka? — zginałem i rozginałem mu palce; na szczęście ścięgna nie zostały naruszone.

— Brzytwa — wymruczał.

— Będziesz szył? — niepokoila się Dorota.

— Nie potrzeba — odkaziłem ranę, zatamowałem krew i założyłem opatrunek. Potem zabrałem się do drugiego; Paweł miał skaleczone czoło i rozbity łuk brwiowy.

— Szpadryną mnie macnął, skubany — poinformował z czerniakowskim akcentem.

— Rycerze! Kastet, brzytwa! Gówniarze — pienieł się. — Musiałaś mi sprowadzić takich gnojków!

— Ale proszę pana — włączył się Leszek. — Nie jesteśmy nożownikami — mówił poprawnie, w przeciwieństwie do Pawła nie wtrącał żargonowych zwrotów.

— To są sportowcy z klubu „Siła” — interweniowała Dorota. — Leszek jest zapaśnikiem, Paweł ciężarowcem.

— Napadli nas chuligani — wyjaśnił Lech.

— Czterech! Dwóch miało mojki, dwóch łamigłóWKi — włączył się Paweł. — My muchy nie tkniem, no nie, Dorka? Powiedz konsyliarzowi, że my łagodne jak baranki, więc bez zdania racji nam sobaczy... Komaruję ja sobie, na Lecha czekam, a tu się taki męt podknaja, więc ja gaję: spadaj, bo ci szamot styram! A on do mnie milczkiem z łamigłóWKą... Dosunęłem, bo co miałem zrobić? I w końcu musiałem mu jeszcze witkę obcasem rozgnieść, aby mu łamigłóWKę wytrącić, ale patrzę, a tu trzech sunie... Leszek z Dorką akurat nadeszli, a oni do niej! Tośmy ich zażyli, chociaż, trochę nas podziabali...

— Paweł, przejdź na polski, doktor nie rozumie — strofowała Dorota.

Przeszedł; zaskoczył mnie, jego polszczyzna nie różniła się ani słownictwem, ani akcentem, od polszczyzny pozostałych.

Napili się herbaty, wyjedli zawartość lodówki, potem sprowadziłem taksówkę — gladiatorzy odjechali. Dorotę zatrzymałem, byłem wściekły, szykowałem się do surowej rozprawy.

— Dorota, z kim ty się włóczysz?

— To są bardzo porządni chłopcy!

— Nie życzę sobie, abyś się włączyła nawet z najporządniejszymi — łypnęła na mnie spode łba, wrogo, nabrała wody w usta. Znałem to, uparła się i już z niej nic nie wycisnę. Byłem bezradny, tym bardziej się pieniałem, przecież nie dam jej w skórę.

Co sobie, do cholery, myślą ci jej starzy?!!! Mama zajęta sobą, somnambuliczna i wypielegnowana, z nudów bawi się w samarytanę, tata—luminarz dba, aby gdzieś w świecie działa się prawo, a w domu panoszy się mętny typ i kłębi banda wyrostków, dziewczyna robi, co chce, na dobrą sprawę zdana wyłącznie na opiekę tej półanalfabetki Anieli.

Zaczynałem podejrzewać, że Omerowicz jest kochankiem jej matki, co tłumaczyłoby jego bezczelne zachowanie, a także postępowanie względem niego Doroty.

— Napiszę do twego ojca! — zagroziłem, chociaż nie miałem zamiaru tego zrobić.

— Nie zrobisz mi tego świństwa! — aż nią rzuciło.

Potem wypadki potoczyły się jak zwariowany film: mieliśmy znów spędzić wieczór u mnie w domu. O umówionej godzinie zadzwoniła Dorota.

— Czekaj na mnie w domu — powiedziała napiętym, nieswoim głosem. — Przyjdę o... — podała nowy termin.

— Możesz w ogóle nie przychodzić! — wrzasnąłem. Szlag mnie trafił, rozwścieczyła mnie ta jej permanentna niesłowność.

— Konrad, nie szalej, dzisiaj jak nigdy dotąd potrzebuję pomocy... Rozstrzyga się najważniejsza rzecz w moim życiu...

— Mam ciebie powyżej uszu!

— Przestań się ciskać! Zsynchronizujmy zegarki, chodzi o moje bezpieczeństwo! Nastaw zegarek, u mnie jest akurat...

— Co to za nowy numer? — odruchowo nastawiłem jednak wskazówki według czasu, jaki mi

podala.

— ...jeśli nie przyjdę do ciebie punktualnie o godzinie... Wtedy otworzysz szarą kopertę, którą ci dałam na przechowanie, i będziesz wiedział, co robić dalej.

— Skąd ty dzwonisz? — targnął mną niepokój, nie podobał mi się jej ton.

— Nieważne... Pamiętaj, otwórz kopertę, ale ani minuty wcześniej, bo wtedy zamiast pomóc mi, zaszkodzisz. Liczę na ciebie...

— Dorota, powiedz, gdzie jesteś — przemawiałem łagodnie jak do szaleńca. — Dorota, słyszysz mnie...

— Czekaj na mnie... — odłożyła słuchawkę.

Przeraziłem się; co nowego wymyśliła ta idiotka?

A jeśli naprawdę jej coś grozi? Rzuciłem się do szuflady, wyciągnąłem tę nieszczęsną kopertę, chciałem złamać lak, którym była gęsto pomazana. Na chwilę powstrzymałem się jednak.

Nakręciłem jej domowy numer. Długo nikt nie podnosił słuchawki, już chciałem odwiesić, gdy zgłosił się Omerowicz. Nie miałem zamiaru o nic go pytać, poprosiłem Anielę; usłyszałem dźwięk przełączenia i stłumiony sygnał.

— Słucham — zgłosiła się wreszcie: zapytałem o Dorotę, nie było jej, pani Zasławskiej także nie było.

— Jak dawno Dorota wyszła?

— Przed chwilą.

— Powiedziała, dokąd idzie?

— Do koleżanki, po jakąś książkę. Dzwoniła do niej.

— Koleżanka do niej dzwoniła?

— Ady mówię, że dzwoniła?

— Anieli słyszała?

— W kuchni byłam, Dorota tak mi powiedziała, i jak to ona, wyleciała, jakby ją kto gonił.

— Jak tylko wróci, niech natychmiast do mnie zadzwoni — odłożyłem słuchawkę; pojechać do nich? To było bezcelowe. Komu Dorota skłamała, mnie czy Anieli? Oczywiście Anieli.

Rozerwałem zalakowaną kopertę, w środku była inna, zaadresowana charakterem pisma Doroty, razem z nią posypały się na podłogę karty do gry.

Pozbierałem — dwie talie wysmukłych, wydłużonych kartoników; wytworne w rysunku, niepodobne do żadnych, jakie kiedykolwiek widziałem.

Niezwłocznie doręczyć Prokuratorowi miasta Warszawy — przeczytałem na tej wewnętrznej kopercie. Było to napisane ręką Doroty.

Serce skoczyło mi do gardła, bez namysłu rozerwałem i tę kopertę. Wyłuskałem kartkę maszynopisu:

Władysław Banaszczak, zatrudniony w Monopolu Spirytusowym w Jeziornej, zamieszkały w Warszawie przy ulicy... — przeczytałem.

Z pamięci wypłynął obraz tego wieczoru, gdy dałem po pysku Omerowiczowi. Wtedy przez okno zobaczyłem sylwetkę krępego mężczyzny, zmierzającego do furtki, i wpatrzone w niego, rozszerzone strachem oczy Doroty.

Przeraziłem się; ta mała rozgrywa teraz tę swoją partię, a to jest list zastawny, glejt, który ma ją osłaniać!

Nie miałem chwili do stracenia, nie czytając dalej, odrzuciłem kartkę, porwałem z wieszaka płaszcz i... przeraźliwie zabrzmiał dzwonek. Szarpnąłem drzwi.

W progu stała Dorota. Jakaż była blada! Spojrzała na mnie szklanym wzrokiem, jak gdyby mnie nie poznawała.

Wciągnąłem ją do mieszkania, zamknąłem drzwi. Stała biernie, gdy ściągałem z niej kożuch, posłusznie pozwoliła się usadowić w fotelu. Sprawiała wrażenie ciężko chorej.

— Nic ci się nie stało? — odruchowo spojrziałem na zegarek. Od jej telefonu upłynęło czterdzieści minut. Do krytycznego terminu, jaki mi podała, brakowało około godziny.

— Nic... pozwól mi zostać.

— Przecież wiesz, że możesz tu być.

— Konrad, co ja zrobiłam, o Boże, co ja zrobiłam!!! — nie płakała, zaniósła się krzykiem.

* * *

Boże! Jak mi się chwilami chciało rzucić to wszystko i uciec do Konrada; ani się spostrzegłam, jak stał mi się po trosze i ojcem, i matką, i najlepszym kumplem, a jeszcze do tego człowiekiem, którego nikt nie mógł zastąpić, i pomału przybladły mi nieco moje domowe problemy.

Nie, to źle powiedziane, nie przybladły, nabrały innego wymiaru, nie były już jedyne, najważniejsze, lecz ważne obok innych, chyba tak?

Chciałam z tym jak najszybciej skończyć, już nie tylko ze względu na spokój matki, ale i przez wzgląd na Konrada.

Zależało mi na tym jak na życiu, aby gdy on przyjdzie już do naszego domu, nie pętał się po nim ten pajac, ten niewydarzony malarz — ni to domownik, ni to sublokator, bo nie chciałam się wstydzić przed Konradem, nie chciałam odczuć jego niemego zdziwienia, dlaczego my wszyscy tolerujemy pod naszym dachem obecność tej dwuznacznej figury; wiedziałam, że dla postronnych osób on nie wygląda dwuznacznie i trudno się domyślić jego wstrętnej profesji, ale przez gardło nie przeszłoby mi żadne łgarstwo o powodach, dla których u nas mieszka.

Marzyło mi się, aby tamte sprawy zostały na zawsze zamknięte, tak jakby nie istniały, marzyło mi się nowe, a właściwie to dawne życie, kiedy nie wiedziałam jeszcze o istnieniu Banaszczaka i jego bandy.

Zależało mi także jak na życiu, aby moja matka nie snuła się z nieprzytomną twarzą jak

lunaticzka, bo widać było, że jest u kresu wytrzymałości, i wszyscy to już dostrzegali, tylko ona biedaczka naiwnie wyobrażała sobie, że nadal znakomicie panuje nad sobą.

Przerażała mnie myśl, co się stanie, jeśli nie zdążę rozliczyć się z Banaszczakiem do powrotu ojca; teraz jak nigdy prawie cieszyłam się z jego nieobecności. Bo przecież od razu zauważyłby, jak okropnie zmieniła się nasza stara.

Bardzo chciałam oszczędzić ojca, oszczędzić upokorzenia matce, i aby nigdy nikt nie dowiedział się o mojej roli tym wszystkim. Byłam przekonana, że posiadam dostatecznie silne atuty, aby zmusić Banaszczaka do zniknięcia z naszego życia; jeśli ma odrobinę oleju w głowie, musi się ugiąć, musi przyjąć moje warunki.

Bardzo starałam się, aby nie wtajemniczać Konrada w sprawy mojej matki, trzymałam go z dala od moich kłopotów. Do pewnego czasu nie wiedział o mnie nic, a nawet tego, skąd przychodzę i dokąd wracam od niego.

W tych ciężkich dniach często zawodziły mnie nerwy, także często traciłam panowanie nad sobą, dochodziło do tego, że panicznie bałam się być sama nawet we własnym domu. Pewnego wieczoru załamalam się zupełnie, zwariowałam ze strachu, bo w domu nie było nawet Anieli, a do Omerowicza przyszedł Banaszczak, czego nigdy dotychczas nie robił.

Nie miałam więcej siły, aby samotnie zmagać się z tym, co działo się dokoła mnie, i już nie zważając na nic zadzwoniłam do Konrada; przyszedł natychmiast. Pomógł mi uporać się z tą gnidą Omerowiczem, razem spędziliśmy ten wieczór i następne dni.

Potem, gdy wszystko runęło i przyszło nieszczęście, był wciąż przy mnie i jeśli nie zrobiłam sobie niczego złego z przerażenia i rozpacz, to tylko dzięki niemu. Istniał i był ze mną.

Czy sprowokowałam nieszczęście? Na to pytanie nie umiem sobie odpowiedzieć, jednak niewątpliwie przyspieszyłam bieg wydarzeń.

Po nieudanych próbach Michała Winiarskiego w dalszym ciągu poszukiwałam sposobu, aby

się jednak dostać do komody Omerowicza; a gdy wygoiłam rozbitą głowę, spróbowałam wykorzystać znajomość ze złodziejami, zawartą w tak niezwykłych okolicznościach w Wilanowie.

Miałam niezły pretekst; odnieść pożyczone łachy, odebrać swój moher, bo już Aniela zaczęła dociekać, co z nim zrobiłam, no i podziękować im za ratunek i opiekę.

Przeszkadzała mi ta moja jagnięca twarz, więc zaczęłam się malować i czesać w kok, oczywiście tylko wtedy, gdy spotykałam się z Konradem lub gdy wychodziłam na miasto.

Nie mogłam się tynkować w domu, bo ściągnęłoby to kategoryczne protesty matki: —

będiesz się malowała po maturze! — Boże, ile rzeczy miało mi być wolno po maturze... A Aniela na widok mojego makijażu chyba zemdlałaby ze zgrozy, a potem nie byłoby końca deliberacjom.

W ogóle Aniela zrobiła się niemożliwa; bezczelnie szperała w moich rzeczach, podsłuchiwała pod drzwiami i poddawała gruntownemu śledztwu moich kumpli. Gdy zorientowałam się, wyniosłam kosmetyki do nieczynnej kotłowni, jako że już dawno nasz dom ogrzewała elektrociepłownia, i tam patynowałam tę swoją głupawą gębę.

Pod sam dom moich dobroczyńców podjechałam taksówką i z przerażeniem uprzytomniłam sobie, że mój kapitał, pochodzący ze sprzedaży zegarka jeszcze w Szczecinie, stopniał zupełnie. Skąd wezmę pieniądze, gdy wydam resztę? Nie miałam pojęcia.

Oczywiście dusiłam grosz i stałam się skąpa jak nasza Aniela, ale w tym wypadku nie mogłam oszczędzać, bo przecież mój wybawca mieszkał przy ulicy–drodze, przy której mieściła się rozlewnia tej kradzionej gorzały, i musiałam uważać, aby nie natknąć się na Omerowicza, Banaszczaka czy chociażby Marylę Kulik ze Świnoujścia.

W domu zastałam tylko starego i byłam zadowolona, że nie ma tej jego jędzowatej kobiety; wydawał mi się sympatyczniejszy, a poza tym tę sprawę lepiej było załatwić w cztery oczy.

Nie poznał mnie w pierwszej chwili; no pewno! Mało przypominałam tę unurzaną w błocie półtopielicę. Dopiero gdy zwróciłam mu łachy i zapytałam o swój moher, ożywił się i, o dziwo, oddał mi sweter i džinsy bez ociągania.

Rozkrochmalił się do reszty na widok przywiezionego prezentu: kartonu carmenów i butelki winiaku.

— Nikt by cię teraz nie poznał — powtórzył to kilka razy, oglądając mnie dokładnie od stóp do głów. — I Jak ci leci?

— Mam fart, nie powiem — pochwaliłam się. — Teraz mam napiętą jedną małą partaninę... ale potrzebuję kluczy!

— Nadajesz robotę? — zbystrzał mój dobroczyńca. — Może bym i kogoś widział, bo sam już nie pracuję... Reumatyzm! — potarł szponiaste palce.

— Potrzebuję tylko k l u c z y — przypatrywał mi się z uwagą, a ja zastanawiałam się, czy nie nadać mu mieszkania Banaszcza.

Opanuj się, szalona Zasławska! Co przez to osiągniesz, czego się dowiesz? Przecież oni go zwyczajnie okradną i najwyżej podzielą się łupem. Złodzieje okradną złodzieja!

Nie, to jest zupełnie głupi pomysł.

— To będzie kosztowało dwa stówaki — przerwał moje rozmyślania dobroczyńca.

Odliczyłam bez słowa i rozczarowałam się, bo zamiast oczekiwanego wytrychu otrzymałam adres jakiegoś faceta, mieszkającego na Bródnie. Pojechałam tam jeszcze tego samego dnia i powołałam się na Pająka; właśnie to hasło, wraz z adresem, kupiłam za dwieście złotych od mego wybawcy z Wilanowa.

— Jaki zamek? Bezzastawkowy, zastawkowy czy specjalny? — zapytał przyjaciel Pająka.

— Czort wie, komoda podrasowana na antyk — mruknęłam.

— To ja mam wiedzieć? Może starczy angesztyft, a może potrzebne fekcjery!

Angesztyft, fekcjery? — zdecydowałam się na fekcjery, bo ta nazwa zabrzmiała mi solidniej, bardziej fachowo; zawsze mogłam wymienić na ten jakiś angesztyft.

— To będą dwa kanoniki — podał mi pęczek kluczy; dwanaście sztuk na wysmukłych trzonach, a każdy o innym kształcie pióra. Poemko!

Oglądałam je łapczywie, jako że pierwszy raz w życiu trzymałam w ręku taki niezwykle sprzęt. Okazuje się, że włamywacz także inwestuje i miewa koszta własne. Ważyłam je w dłoni i obliczałam w myśli moją kasę. Zestaw był uniwersalny! Coraz bardziej przywiązywałam się do nich, ale dwa tysiące? Trzeba się potargować!

— Zegarmistrzowska robota, nigdzie takich nie dostaniesz — zademonstrował zalety różnorodnych ząbków łopatek: słuchałam chciwie — frapujący wykład.

— Jeden portret proboszcza i biorę!

— Tu nie bazar, ceny stałe — obraził się.

Nie miałam przy sobie tyle pieniędzy; a w ogóle wszystko, co miałam, to było coś ponad trzy tysiące. Nie mogłam sobie pozwolić na fekcjery. Oddałam mu je z żalem.

— Pustecka jesteś? — skinęłam głową. — A ile masz?

— Sześć stówek — westchnęłam smętnie.

Mimo cen stałych, weszłam w posiadanie owych narzędzi za sześćset złotych i wydaje mi się, że tak jak kiedyś w Szczecinie, zapłaciłam frycowe, tylko że stary barman wzruszył się wówczas sierotą z domu dziecka, a przyjaciela Pajaka w ogóle nie interesowało moje trudne dzieciństwo.

— Rajcowna dziewczyna z ciebie — orzekł, gdy już dokonaliśmy transakcji. — Może miałbym dla ciebie robotę! — przyglądał mi się uważnie. — Potrzebna dzidzia na pasówkę...

— Nigdy tego nie robiłam — powiedziałam zgodnie z prawdą; nie bardzo wiedziałam, co to takiego.

— Proste! Przydybać w knajpie gościa i na chatę z nim iść to każda potrafi, a klucz odcisnąć

to też nie żadna filozofia. Co dostaniesz od gościa, to twoje, a do tego piąta część facjantu leci.

Prezencję masz, lepszych jeleni byś podłapywała.

O mało nie wypadłam z roli, tak mnie olśniła perspektywa kariery, ale w czas złapałam koncept.

— Chłopa mam zazdrosnego jak Turek — nie chciałam mu zrobić przykrości taki był życzliwy.

Kilka dni czekałam, zanim trafiłam moment, że nikogo nie było w domu, bo teraz już nawet Anieli musiałam się wystrzegać.

Pokój Omerowicza przejrzałam pobieżnie, nadal nic ciekawego w nim nie było, i rzuciłam się do komody. Przyjaciel Pająka nie przechwalał się na próżno. To były cudowne klucze, przypuszczam, że otworzyłyby nawet bramę niebieską.

Zawartość komody rozczarowała mnie; trochę papieru, z którego robił karty, kilka paczek z etykietami spirytusu.

Pod nalepkami leżał jakiś świstek, spojrzałam nań, ot tak dla porządku — to był wykaz sporządzony starannym pismem Omerowicza: kodeks Justyniana — 100, kodeks Napoleona — 50, kodeks karny — 500...

Co to jest?!

Oczywiście, książki mojego ojca, i to nawet w katalogowym porządku, tak jak stały na półkach. Czyżby ten truteń przehandlowywał bibliotekę starego, a my nic o tym nie wiemy?!!!

Pobiegłam do pokoju ojca. Wszystko stało na swoim miejscu; wyciągnęłam pierwszą książkę, zapamiętaną ze spisu Omerowicza, przerzuciłam kartki — nic. Drugą — nic. O co tu chodzi?

Przejrzałam ze dwadzieścia tomów, uderzyło mnie, że wszystkie odnotowane przez niego książki były w s z t y w n e j oprawie. Zatem co oznaczały liczby? Nie, tu nie chodziło o cenę czy wartość edycji, jak w pierwszej chwili sądziłam. Na przykład kodeks karny, wydany niedawno,

opatrzone były liczbą 500, podczas gdy przy unikalnym siedemnastowiecznym tomie figurowało

Co za nowe świństwo wymyślił ten obwieś? Bo że jakieś świństwo, to byłam prawie pewna, tylko jakie?

Jeszcze raz dokładnie — kartka po kartce — przerzuciłam każdy tom, sprawdziłam okładki i... w jednej z nich w niewielkiej przestrzeni, jaka się tworzy pod grzbietem twardej oprawy, gdy się otworzy książkę, dostrzegłam małą papierową tulejkę. Siedziała głęboko, nie mogłam jej sięgnąć palcami, więc pomogłam sobie pęsetą. Rozwinęłam ją, wewnątrz był studolarowy banknot z podobizną Franklina w owalu.

W taki sposób sprawdziłam jeszcze kilka tomów; forsa! Banknoty o różnych odcieniach zieleni, z portretami Granta, Jacksona, Hamiltona; był nawet jeden Mc Kinley z cyfrą 500 oraz dwa Clevelandy z liczbą 1000! Ciężka forsa! Wszystkie banknoty miały jednakowy format, różniły się tylko tonacją barwy i tym portretem w owalu.

Tak! Wszystkie pasowały do kształtu i rozmiarów ręcznie malowanych kart, a raczej to karty sporządzone przez Omerowicza zostały przystosowane do kształtu i rozmiaru banknotów.

A więc ten potomek muła i leniwej praczki zrobił sobie skarbonkę z ukochanych książek starego! Szybko poznał obyczaje naszego domu. Poznał? Niejeden raz słyszał to z naszych ust — stary to oryginał, w jego pokoju niczego się nie przekłada, nie przestawia, nie rusza się jego książek! O łotr!

Co ja mam z wami zrobić, panowie? No, ruszcie głową, mister Franklin, a może mister Cleveland coś wykombinuje?

Nie namyślając się zgarnęłam cały bank, potem zerwałam półkę — książki runęły na podłogę: — przebacz, ojciec! I uciekam do siebie.

Dopiero tutaj, gdy nieco ochłonęłam, zaczęłam zastanawiać się nad tym, co zrobiłam, i przeraziłam się jak jeszcze nigdy dotąd.

O głupia, głupia Zasławska, po coś ty to zabrała, dlaczego nie zostawiłaś na miejscu, nie ujdzie ci to na sucho! Ale na wycofanie się było już za późno.

Teraz dopiero zdałam sobie sprawę, jaką sumę ukrywać mogą zamienione przeze mnie karty; jeśli w każdej z nich ukryty jest Cleveland? O rany! Toż to majątek!

Dotychczas tylko raz poważnie myślałam o konsekwencjach zmiany kart; a jeśli coś na ten temat mnie nurtowało, to raczej ciekawość. Chciałabym zobaczyć ich głupie miny, gdy tamten z Paryża zawiadomił o wyparowaniu przesyłki. Diabła zjedzą, nim zrozumieją, co się stało; ale im przetasowałam te karty, wtedy byłam z siebie ogromnie zadowolona.

Jednak teraz to już zupełnie przestawało być zabawne; jeśli do tamtych zamienionych kart teraz dojdzie wybebeszona skarbonka, to... Właśnie, co zrobią?

Oj, Zasławska, ty nie czekaj, aż oni coś zrobią — jęknęło we mnie strachajło — wtedy się nie pozbierasz, to ty musisz coś zrobić, i to możliwie szybko!

Odnieść te pieniądze? — moje zajęcze serce gotowe było to natychmiast zrobić; ale pójść znowu na mansardę, otworzyć komodę, sprawdzić spis Omerowicza, a potem poutykać banknoty tam, skąd je zabrałam? Nie, nie chcę!

Dlaczego? Przestraszyłam się sama siebie. Czyżbym podświadomie pragnęła przywłaszczyć te pieniądze?

Suma była znaczna; w życiu nie widziałam tyle pieniędzy. Do cholery, to już do tego doszłam? Skutki kilkumiesięcznego babrania się w świństwach? Zasławska ma zamiar okraść złodziei!

Przypomniała mi się jedna z sentencji Anieli: od rzemyczka do koziczka... — to było do wiersza, na końcu rymował się stryczek.

Zaczęłam analizować swoje ego — odetchnęłam; nie, nie chciałam tych pieniędzy, nie budziły we mnie pożądania, najmniejszej chęci, aby je zatrzymać dla siebie.

Wobec tego dlaczego je wzięłam? Motyw był niejasny, działałam odruchowo. Wiem na pewno, że w pierwszej chwili powodowało mną oburzenie za takie śmierdzące jajo w pokoju ojca.

Do czego mogą mi posłużyć? Tylko jako dowód brudnych afer, uprawianych przez tę spółkę gangsterów, alfonsów i starych stręczycielek. Bo przecież dla tych dziadzków, dla tych zielonych papierków Omerowicz razem z Banaszcakiem popełniają te wszystkie świństwa, dla tych zielonych papierków zmusili do różnych ustępstw moją matkę!

Dom profesora Zasławskiego jest bezpieczną bazą, jego książki można spokojnie nadziewać dolcami, on sam w swoim własnym neseserze, nic o tym nie wiedząc, przemyci dewizy zdobyte przez kanty, z jego domu przez telefon można bezkarnie załatwiać brudne transakcje, umawiać kupców, na przykład madame Kulik. A jeszcze pani Zasławska firmuje swoim nazwiskiem samochód, służący im do Bóg wie jakiego draństwa.

Ale przeliczyli się, nie wzięli pod uwagę, że córka Zasławskich dawno już wyrosła z wieku niemowlęcego.

Karty, dolary, melina w Wilanowie, czy to wystarczy, aby sterroryzować Banaszcaka?

Muszę się szybko zdecydować, co robić dalej; jeśli oni przejrzą, że to ja im psuję grę, bez skrupułów unieszkodliwią mnie, zanim zdążę cokolwiek przedsięwziąć, albo zemszczą się na mojej matce!

Trzeba się zabezpieczyć przed tymi szympansami, natychmiast na gorąco spisałam wszystko, czego się o nich dowiedziałam. Serdecznie było mi żal Haliny Klim, ale cóż mogłam poradzić, jak by się na to nie patrzyło — kradła! A poza tym nie miałam wyboru.

List zaadresowałam do prokuratora. Razem z kartami i pieniędzmi włożyłam go do dużej mocnej koperty, którą opieczętowałam lakiem.

Teraz już nie miałam spokojnej chwili ani w dzień, ani w nocy. Sypiałam z tym cholernym

pakiem pod głową, nosiłam ze sobą do szkoły i wszędzie, gdzie tylko się ruszyłam. I już nie mogłam pozbyć się wrażenia, że mam przy sobie dynamit! Nienawidziłam go jak galernik swojej kuli.

I okazało się, że pozorując to, pożał się Boże, włamanie strzeliłam okropne głupstwo; przerażona matka — ostatnio prawie wszystko ją przerażało — zrobiła raban na cały dom, pokazała ten bałagan Omerowiczowi, a nawet zdobyła się na jakieś cierpkie uwagi.

Zyskałam na tym tylko jedno; upewniłam się, że moja matka nie miała pojęcia o banku w pokoju ojca, nie była w zмовie z tamtymi, nie ona podsunęła lub zgodziła się na tę skrytkę. Stało się! Heca niesamowita, bo w tych grzbietach było pięć tysięcy dolarów. Gdybym przynajmniej nie zrobiła tej dekoracji z rozwalonych książek, nasz lokator później odkryłby zniknięcie banknotów, a tak...

Teraz się zacznie, rany boskie, na pewno dobiorą się do mnie! Na samą myśl skóra na mnie drętwiała i brała ochota nawiewać gdzie pieprz rośnie; lecz teraz, gdybym nawet pragnęła, nie mogę się już wycofać, ale także nie mogę być taka bezbronna, bo przecież wystarczy, aby nasłany przez nich żul wyrwał mi torbę, a stracę wszystkie z takim ryzykiem zdobyte atuty; nie chciałam myśleć, że nasłany typ może mi także skutecznie rozbić tę moją lekkomyślną głowę.

Boże, jak bardzo chciało mi się opowiedzieć to wszystko Konradowi, jednak stwardniałam już przez te miesiące — i chociaż brzmi to paradoksalnie — wzrosło moje poczucie

odpowiedzialności, toteż w porę opanowałam się; sama nawarzyłam piwa i nie powinnam częstować nim Konrada, ale tego piwa, jak na moje możliwości, było stanowczo za wiele.

Z pomocą przyszedł mi Paweł.

Paweł chodził kiedyś do naszej szkoły. Uczył się nienadzwyczajnie, ale nie dlatego, że był tępy. Miał fatalne warunki w domu. I to nie było przysłowiowe trudne dzieciństwo: górka lub budka z piwem na drodze do szkoły.

Paweł miał tylko ojca, matka umarła, gdy był mały, i nawet jej nie pamiętał, ale ojciec zupełnie się Pawłem nie zajmował i to tak dalece, że chłopak zbierał butelki i makulaturę, aby mieć cc jeść. Imał się różnych zajęć, aby mieć na spodnie, na zeszyty — na obiad przeważnie już nie starczało.

Był piekielnie ambitny, nigdy w szkole nikomu nie powiedział, że talerz zupy jadł trzy dni temu. Przywiązany był do tego swojego starego i marnego słowa o nim nikt z ust Pawła nie usłyszał, przeciwnie! Wstawiał komety, jaki to jego stary niezwykły, opowiadał legendy o jego bohaterskiej przeszłości. Nie było to tylko na użytek kolegów ani obrona przed litością, to przede wszystkim potrzebne było jemu. Tęsknił za kimś bliskim, i żeby ten bliski nie był gnojem, żeby można było powiedzieć o nim coś dobrego. Odwieczna potrzeba wiary w autorytet.

Natomiast ten jego jedyny, najbliższy, którego Paweł kochał ślepą, szczenięcą miłością, w ogóle jej nie pragnął i traktował chłopaka jak dopust boży. Nieraz potrafił nie wpuścić go do mieszkania, gdy akurat sprowadził sobie dziewczynę. Wtedy Paweł mówił, że ojciec pracuje nad czymś bardzo ważnym, a mieszkanie ciasne, więc nie chce przeszkadzać, i szedł nocować do kumpli. A ten jego stary według społecznych kryteriów to wcale nie jakiś męt — inżynier.

Paweł był ambitny, skryty i mimo wszystko bardzo silny — toteż żaden gówniarz, nawet jeśli nie wierzył w świetlaną sylwetkę Pawłowego taty, nie pozwolił sobie kwestionować opowiadań Pawła na tematy rodzinne.

Paweł był o klasę wyżej ode mnie i przyjaźnił się z Michałem Winiarskim, często z nim do nas przychodził.

Staraliśmy się delikatnie mu pomagać, chociaż niewiele mogliśmy, a Paweł był niesłychanie drażliwy; ja mogłam wtajemniczyć ojca, Michał swoich nie, bo jakby się stara Winiarska zaczęła opiekować „ubogim” kolegą syna, to wszyscy by się porzygali, a najpierwszy Paweł.

Skandal wybuchł, gdy Paweł z takimi dwoma bezprizornymi zrobili kiosk spożywczy. Miał

wtedy czternaście lat.

Ciało pedagogiczne, wyrwane z błogiego stanu niewiedzy, zagulgotało ze świętego oburzenia, wszyscy poczuli się osobiście znieważeni; no bo jak to? Doskonała szkoła z tradycjami, panie dzieju, jeszcze sprzed wojny, kiedy to nie było takiej rozpasanej młodzieży, tylko grzeczna dziatwa szkolna. Oni, ciało, wybitni specjaliści od hodowli i wbijania w mózgownice różnych ważnych rzeczy, i raptem takie kryminogenne dno!

Nasz dyro, trzeba przyznać, coś tam ma po lewej stronie pod marynarką, a i w głowie porządnie poukładane, więc nie uwierzył, że Paweł już z takim felerem przyszedł na świat i w genach ten kiosk miał zapisany.

Do dyra dołączył mój stary i stary Michała: przed Winiarską nikt naturalnie farby nie puścił, boby chyba skończyła ze zgrozy.

No i Wybronili Pawła od poprawczaka, chociaż jego ojciec umył ręce, a na rozprawie zgrywał Rzymianina i szalenie naukowo dowodził, jakoby Paweł był pozbawiony uczuć wyższych, bo kiedy ten kiosk bebeszył, to nawet mu do głowy nie przyszło, że może ojca skompromitować.

Potwór!

Nasz dyro, komandos z drugiej światowej, ma czasami partyzanckie zagrania, więc w przerwie zwymyślał na korytarzu sądowym Pawłowego ojczaszka od ostatnich, tak że się tamten odgrażał procesem o zniesławienie.

Koniec końców Paweł dostał poprawczaka w zawieszeniu i dozór kuratora. Wtedy dyro cholernie wszystkim zaimponował, bo został kuratorem Pawła i umieścił go w Ognisku u dziadka Lisieckiego na Starej... Nie pozbył się też zakały, co z ulgą przyjęłyby niektóre belfry, tylko pozostawił w szkole, nawet nie zmieniając mu klasy.

Rok temu Paweł zdał maturę i teraz był na pierwszym roku politechniki, miał stypendium i dorabiał jak kiedyś najróżniejszymi pracami; wyrósł z niego kawał osiłka, ćwiczył ciężary i z

upodobaniem używał knajackiego slangu.

— Paweł, mam życiowy zgryz — powiedziałam mu. — Jeśli nie rozwiążę jednego supelka, w który się zaplątałam, rozwali mi się dom, i to dosłownie. Ale nie mogę zwierzyć ci się ze wszystkiego, bo to nie tylko moja tajemnica.

— To się nie zwierzaj, wał, czego ode mnie potrzebujesz?

— Obrony...

— Potrzebujesz goryla... Kogo się boisz?

— Chodzą za mną takie męty... o więcej nie pytaj... — nic innego nie mogłam mu powiedzieć.

— Sądzisz, że mój widok ich odstraszy?

— Myślę, że nie będą śmieli mnie zaczepić.

— Kto to jest?

— Taka cholerna szpana! — buchnęła ze mnie nienawiść. — Znam dwóch, ale... — powiedziałam mu o wilanowskiej mecie z kradzioną gorzałą.

Paweł nie powiedział tak jak Konrad: to sprawa milicji! Dobrze rozumiał, że jeśli zwracam się do niego z tą prośbą, to znaczy, że nie mogę uciec się do opieki milicji. Nie wypytywał o przyczyny, tylko powiedział: — Pokaż gości.

— Paweł, ty ich nie lekceważ, to dranie, zdolne do każdej prowokacji.

— Boli cię głowa?

— Boli! Nigdy bym sobie nie darowała, gdybyś się wpakował w jakiś kryminał albo gdyby oni zrobili ci coś złego.

— Takie kosy?

— Jeden to dupek, ale drugi gangster. W młodości był sutenerem... a do tego ma na usługach jeszcze jakąś hewrę...

— W coś ty wdepnęła, dziewczyno — zafrasował się. — Zrobione! O mnie się nie martw, obstawimy cię z Leszkiem. Nie znasz go, to mój przyjaciel. Poznałem go w Ognisku. Zapaśnik, możesz spać spokojnie, masz solidną opiekę.

I wtedy weszła matka, bo rozmawialiśmy u mnie. Pawła nie poznała. Fakt, nie widziała go dość dawno, a Paweł zmienił się od tamtego czasu; zmężniał, wyrósł. Ale nie byłam pewna, czy go nie poznała, czy nie chciała poznać? Wszystko jedno, uraziła mnie jej mina i sposób bycia. Zrobiło mi się cholernie nieprzyjemnie. Wiedziałam, że napuściła ją Anielę, bo ona otwierała Pawłowi drzwi, a on dla draki zaszcebiotał do niej żargonem i zrobił minę belfegora. Rezerwa matki zmroziła Pawła; ta drażliwość pozostanie mu już chyba do końca życia.

— To jest Paweł, mamó — powiedziałam z naciskiem. Chciałam go jej przypomnieć i zmusić, aby odniosła się do niego jakoś serdeczniej — nic, żadnego odzewu. A Paweł, zraniony do żywego, już wlaź w tę swoją manierę, ukrył się pod skórą prostaczka bożego. Dźwignął z fotela te swoje osiemdziesiąt kilogramów, rozwinął metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, rozkołysał się krokiem szypra i z tępą miną wyseplenił:

— Sianowanie mamusi!

I teraz już bez opieki Pawła nie śmiałam wieczorem ruszyć w miasto; gdy nie mógł mi towarzyszyć Paweł, zastępował go Leszek, ale przeważnie chodzili obaj. Staralam się nie nadużywać ich dobrej woli i ograniczałam do minimum popołudniowe wybiegi, co ogromnie cieszyło Anielę, a nawet matkę — uważały, że spoważniałam; uch! Te stereotypy myślowe — dziewczę siedzące w domu to porządne dziewczę — amen.

Ale, co było niesłychanie ujmujące, chłopcy dzwonili do mnie codziennie, zgłaszając swą gotowość.

— Dorota, nie dekuj się w domu — radził Paweł. — Musisz się zachowywać normalnie, żeby skunksy nie myślały, że cię nastraszyły!

Więc chłopcy przychodzili, holowali mnie po mieście, odstawiali z powrotem do domu, często wstępowali do mnie i wtedy Aniela nadciągała ze swymi słynnymi kanapkami. A ja czasami miałam złudzenie, że nic się nie zmieniło, wszystko jest jak dawniej, tylko po prostu minął nasz szczenięcy wiek, a wkrótce także przestaniemy być m ł o d z i e ż ą : i nurtowała mnie myśl, czy kiedyś, w tym czasie, który nadejdzie, gdy już będziemy sprawni zawodowo i niezależni, czy zachowamy tę więź, to braterstwo, czy będziemy się rozumieli i ufali sobie, tak jak teraz, czy też rozproszymy się po świecie z blednącymi i coraz mniej mówiącymi etykietkami: kolegów ze szkoły?

Pierwszy atak przyszedł z najmniej spodziewanej strony — od Omerowicza.

Tego wieczoru siedziałam w domu; telefonował ojciec i jakoś tak serdecznie pomieszkalo mi się z moją starą. Jak gdyby odtajała, była mniej zgaszona — kochałam ją. Później miał wpaść Paweł, miałam mu pożyczyć magnetofon.

Nadciągnął około dziesiątej, a gdy znalazł się na wysokości parkanu naszego ogrodu, wykwił przed nim Omerowicz.

— Ta ulica jest dla pana niezdrowa... — zagaił bez wstępów ten pajac; Paweł roześmiał mu się w nos i odsunął go ramieniem, nawet nie wyjmując rąk z kieszeni, ale wtedy z drugiej strony ulicy podbiegło dwóch facetów. Paweł jednak miał się na baczności, bo od pierwszej chwili nie wierzył, aby Omerowicz był sam, i potraktował ich tak, że stracili ochotę do dalszej walki, a zanim się pozbierali wlał także Omerowiczowi. Jak potem mi powiedział, starał się to robić humanitarnie, ale tak, aby bolało. Wrzaski naszego plastyka usłyszała Aniela — akurat wyszła po coś na werandę — bo on w przeciwieństwie do swoich goryli nie cierpiał cichcem, po męsku. Wtedy Paweł o mało nie wpadł, bo żule nie troszcząc się o Omerowicza dały nogę, zaś nasz obiecujący playboy owadzią metodą udawał zdechłego i Paweł zatrzymał się, aby go obejrzeć, czy przypadkiem nie uszkodził mu czegoś naprawdę. Niewiele brakowało, a radiowóz

wydzwoniony przez Anielę trafiłby na Pawła.

Na szczęście zdążyłam ostrzec go krzykiem, bo od razu mnie tknęło, że ta chryja ma związek z Pawłem i że ktoś go musiał sprowokować; chłopak prysnął w samą porę, a ja potem podałam sierżantowi przeciwny kierunek ucieczki rzekomych napastników.

Wtedy, mimo że nie znałam szczegółów draki, ani przez chwilę nie pomyślałam, że to Paweł był przyczyną rozróby. Znałam go zbyt dobrze — nigdy, świadom swojej siły, nie zacząłby pierwszy. I rzygać mi się chciało, gdy słyszałam łgarstwa Omerowicza przed milicjantem. Ta świnią, ten tchórz prawił plutonowemu, że dwóch oprychów wzięło go pod obcas. Rozsadzała mnie wściekłość, że muszę tego słuchać, słuchać i milczeć!

Matka zajęła się tym gnojem natychmiast, teraz był dla niej tylko po prostu pacjentem, a ja cieszyłam się w tej chwili, że nie jestem pielęgniarką, bo chyba nie mogłabym się przełamać, aby opatrywać jego fałszywy pysk. Patrzyłam bez mrugnięcia okiem na tę rozkwaszoną gębę i nie poruszyło się we mnie nic, czułam tylko satysfakcję, że go Paweł usadził, a matka myślała, że przejęłam się wypadkiem Omerowicza. Tymczasem ja trzęsłam się ze zdenerwowania, zamartwiając się o Pawła; a on zadzwonił do mnie jeszcze tego samego wieczoru, aby mnie uspokoić.

— Wszystko w porządku, Dorota, idź spać, jutro omówimy sprawy... — ogarnął mnie nożny chichot, bo Pawła odebrałam w bibliotece, gdzie właśnie Omerowicz wyjękiwał swe żale przed plutonowym.

Gdy nazajutrz Paweł opowiedział mi przebieg zajścia, byłam pewna, że ten numer nie był pomysłem naszego parszywego lokatora.

— To akcja tego... sutenera — okropnie się zmartwiłam i poczułam wyrzuty sumienia, że wciągnęłam w to wszystko Pawła.

— A może ten skunks w taki sposób chce przegonić konkurencję? — powiedział o

Omerowiczu Paweł; wiedział ode mnie, że plastyk usiłował do mnie startować, ubawiłam go setnie relacją o szampańskim wieczorze, jaki mi swego czasu zaaplikował pan Kazio.

— Nie, Paweł, to nie to.

— Przynajmniej domyślasz się, dlaczego on to zaaranżował?

— Prawie wiem... — bąknęłam; Banaszczak chce odstraszyć ode mnie kolegów —

kombinowałam — aby odzyskać dolary. Prawdopodobnie w moim pokoju nie ma już dla nich żadnych tajemnic. Ba, pokój! Nasz cały dom na dobrą sprawę mogli już dokładnie przejrzeć i chyba przypuszczają, że ja noszę przy sobie tę sakramencką walutę; gdyby wiedział, że oprócz tego noszę także wyczerpujący donos na niego, zaadresowany do prokuratora, to jak nic skreśliłby mi kark.

— Pokaż szefa! — Paweł nie wyciągał mnie nigdy na zwierzenia.

— Myślę... myślę, że nie powinienes się w to więcej mieszać, byłam lekkomyślna... —

przypomniałam sobie garbate dzieciństwo Pawła, jego trudny start i to, że wreszcie jest na studiach, ma przed sobą wreszcie przyszłość, i że nie powinnam przez własne przewalanki narażać tych jego niewątpliwych życiowych zdobywczy. Zbyt wiele ma do stracenia.

Panienska bawi się w detektywa — czułam do siebie niesmak — to panienska sprawa, ale płać w to tego chłopaka? To parszywy egoizm.

— Paweł... nie mam moralnego prawa...

— Nie pieprz! — machnięciem ręki zbył moje skrupuły. — Pokaż tego szefa!

— Co chcesz zrobić?

— Uprzedzić, że może zostać inwalidą, nic więcej. Ja jestem łagodny i powściągliwy z natury.

— Zdrowa myśl — poparł go Leszek. — W polityce to się nazywa demonstracja sił... Widok gabarytu Pawła z pewnością ostudzi tego śmierdziela.

Kategorycznie nie zgodzili się, abym poszła z nimi do „Homara”; poszli tam obaj, ale Leszek

został jako obstawa pod knajpą.

Gdy Banaszczak zorientował się, że ma przed sobą poskromiciela swoich goryli, zdenerwował się, zagulgotał coś o milicji — satyryk! — i gdyby nie publika, która go krępowała, próbowałby wyrzucić Pawła z lokalu.

— Następnym razem pójdę na skargę do pańskiej mamy — zapowiedział Paweł i ostentacyjnie uwalił się przy stoliku, żądając piwa; sączył to piwo, a Banaszczak skręcał się ze wściekłości.

Może nie powinien tego robić? Bo jeszcze tego samego wieczoru obaj z Leszkiem mieli na karku dwóch oprychów pod wodzą Banaszczaka — wciąż jeszcze myśleli, że Paweł jest sam i w trójkę dadzą mu radę.

Nie dali; chłopaki zmiotli łobuzów i spuścili tęgie manto Banaszczakowi.

Triumfowałam i byłam dumna z moich kolegów, jakbym to ja miała jakiś udział w ich odwadze i sprawności fizycznej. Niepomierne cieszył mnie fakt, że Banaszczak dostał baty — niech poczuje ten gangster, że nie jest wszechmocny i są ludzie, którzy zupełnie go się nie boją. Jak człowiek nie zna siebie! Miałam głęboko zaszczepione humanitarne poglądy na temat stosunku do ludzi i wszystkie te piękne zasady, wpajane mi w domu. Przemoc, terror były wstrętne i obce mojej naturze, a teraz do tych dwóch facetów czułam tylko dziką, pierwotną nienawiść i krwiożercze pragnienie: bić łotrów!

No i ta satysfakcja — nareszcie dysponowałam siłą! Miałam dwóch oddanych kumpli, dwóch gladiatorów — to była potęga. Wracało mi poczucie bezpieczeństwa i pewność siebie, a wraz z tym powrócił concept i postanowienie narzucenia ostrej i bezpardonowej gry tym gangsterom; nie dać odetchnąć Banaszczakowi, niech boi się ciągle i coraz więcej, więc wymyśliłam atak psychologiczny. Posłałam do niego anonim: spreparowałam go u Konrada, oczywiście pod jego nieobecność. Prymitywny tekst z radą, aby się wyniósł z Warszawy. W razie nieposłuszeństwa

wypowiadałam totalną wojnę jemu i jego bandzie.

Niech wie, za co wziął po mordzie, niech wie, że jego parszywe sprawy miesza ktoś bardzo silny, znacznie silniejszy od niego i działający bez skrupułów. Podpisałam: Dama Pik. Trochę po szczeniacku, coś jak znak Zorro, lecz przypuszczam, że podświadomie pragnęłam, aby domyślił się, kto jest przeciwnikiem. Oczywiście brak w tym konsekwencji.

Na co liczyłam? Że Banaszczyk się przestraszy i odczepi od mojej matki, że zniknie z naszego domu Omerowicz i powróci spokój. Byłam naiwna...

Potem moja stara otrzymała wezwanie do prokuratora w związku z wozem, który garażował u nas od niedawna. Miotła się przez całą noc. Wiem, bo i ja nie spałam, a rano poprosiła mnie i Anielę.

Matka miała zmiętą, wybladłą twarz, sine kręgi pod oczyma; unikając naszego spojrzenia poprosiła co tu dużo mówić, o swego rodzaju alibi.

Byłam wstrząśnięta, uszom nie wierzyłam! Moja matka świadomie nakłania mnie do potwierdzenia nieprawdy. I to przed prokuratorem. A gdzie etyka, a konsekwencje za złożenie fałszywych zeznań?

Jaki człowiek jest dziwny i szczególnie surowy dla... innych! Przecież przez ostatnie kilka miesięcy łągałam jak z nut prawie bez przerwy i przed wszystkimi, a szokowała mnie ta prośba mojej starej, ba! poczułam dla niej pogardę.

No bo co się z nią stało? Gdzie te wszystkie piękne maksymy: córeczko, trzeba zawsze mówić prawdę...

A więc to tylko kwestia warunków, w jakich się jest? Gdy miała ku temu warunki, była piękna, była szlachetna i prawdomówna, a teraz opadło z niej to wszystko i pozostała... Perła! Pozłota zejdzie, kochanie, a świńska skóra zostanie — to chyba z jakiejś baśni Andersena, baśni mojego dobrego dzieciństwa.

Nie jestem pewna, jak skwitowałabym jej żądanie, gdyby nie interwencja Anieli z tą jej giętką moralnością, świetną na każdą okazję.

Matka więcej nie wspomniała o tej sprawie, a ja przez jakiś czas żywiłam nadzieję, że już nie będę musiała robić, cały problem rozwiąże się poza mną i wkroczy prokurator.

Nic się nie rozwiązało; więc wysłałam kolejny anonim do Banaszczaka, lecz nadal wieczorem nie śmiałam wychylać nosa na miasto bez towarzystwa Pawła i Leszka.

Atmosfera wokół mnie zaczęła się zagęszczać i przyszedł taki wieczór, gdy już i mój dom przestał być dla mnie bezpieczny; umierałam ze strachu, a chłopców nie było pod ręką. Wtedy niepomna na postanowienie zawołałam Konrada i powierzyłam mu ten cholerny pakiet, przeznaczony dla prokuratora. Byłam mu wdzięczna, że przyjął, schował i nie pytał, co jest w środku.

Potem chłopców znów napadli źle, uzbrojeni w brzytwy i szpadryny, i to w podwójnej liczbie — bo czterech; już nam nie dawali spokoju ci goryle Banaszczaka. I byłam pewna, że Banaszczak już wie, kim jest Dama Pik. Ale teraz w żadnym wypadku nie mogłam, a i nie chciałam mu ustępować. Toteż zaraz po tej bójce wysłałam anonim tej treści co i poprzednie.. Niech łobuz nie myśli, że ktoś się przestraszył, lecz wiedziałam: dalej już tego ciągnąć nie sposób i trzeba zdobyć się na decydujący krok.

Poszłam z moimi chłopakami do „Homara”; prosiłam, aby zostali pod knajpą, ale oni słysząc o tym nie chcieli. Rozumieli, że sprawa jest poważna i niebezpieczna, ale wciągnęła ich ta gra i pragnęli wziąć udział w finale.

Więc weszłam do „Homara”, Banaszczak natychmiast mnie zobaczył, gęba mu się skurczyła i pomyślałam, że zaraz pokaże kły.

Krzepiła mnie w tej chwili świadomość, że pół kroku za mną, z dwóch moich stron, kroczą ci moi kumple, ogromni, przerastający Banaszczaka o głowę, z barami zapaśników.

I tak szłam wpatrzona w jakiś punkt nad jego głową, i wiele mnie kosztowało, aby panować nad twarzą, aby pokonać tę jakąś miękkość nóg i olbrzymią piłkę, skaczącą między żołądkiem a krtanią. I sama nie wiedziałam, czy to już nadchodzi ten wszechogarniający, paniczny strach, czy tylko trema przed tym jedynym w swoim rodzaju występem. Te kilkanaście kroków, jakie dzieliło mnie od Banaszczaka, wydało mi się bardzo długą drogą, chyba najdłuższą, jaką przeżyłam w życiu.

Pach! Przełknęłam tę cholerną piłkę; dalej nie mogliśmy już iść, bo stanęłam przed Banaszczakiem.

Miałam pustkę w głowie, nie wiedziałam, jak zacząć, i wtedy o pół kroku wysunął się Paweł; zakołysał się, wciąż z rękoma w kieszeniach, przybrał tę swoją zmyłkową minę oprycha z przedmieścia.

— Pozbierałeś już szczątki swoich goryli, łachu? — wycedził przez zęby.

Byłam mu niewymownie wdzięczna. Nie przygotowałam żadnego scenariusza. Chłopcy mieli mnie przyprowadzić i ostentacyjnie usiąść w pobliżu — to wszystko. A teraz Paweł wyczuł mój rozpaczliwy nastrój, więc chciał mnie podbudować i ośmielić.

— Co to znaczy... — zaczął niepewnie Banaszczak; widziałam, że się przestraszył, naprawdę! Styl Pawła zrobił na nim cholerne wrażenie. — Co to znaczy... — powtórzył i zrobił taki ruch, jak gdyby chciał odepchnąć Pawła.

— Siad — Leszek trącił Banaszczaka ramieniem. — Masz słuchać, skoro grzecznie kolega do ciebie przemawia, a mówi przystępnie, aby dotarło do twojej tępej mózgowicy.

— Następnym razem wlejemy cię do trumny przez lejek, razem z twoimi kowbojami — kontynuował Paweł.

— Przyswajasz, dziadu? — to znów Leszek. — Czekam na potwierdzenie, że zrozumiałeś!

— Mhy — bąknął Banaszczak; uszom i oczom nie wierzyłam, taki był potulny. — Czego

chcecie?

— My? Lechu, czy my mamy coś do tego starego? — przypominał sobie Paweł z miną niewiniątka.

— Nie, my me! — gorliwie przy znał Leszek. — Koleżanka ma słówko...

— I radzę dobrze słuchać, co powie — wycedził Paweł — bo zrobimy taką drakę, że lokal poleci w drzazgi, nam nie zależy, pojąłeś, dziadku?

— Nie róbcie sensacji — poprosił cicho; chociaż chłopcy mówili półgłosem, jednak to, że wisieliśmy nad nim jak sępy, zaczynało ściągać spojrzenia gości od stolików.

— Leszek, zależy nam na sensacji? — z głupia frant radził się Paweł.

— Na razie nie — przy znał wielkodusznie Leszek.

— Masz coś do mnie — powiedział Banaszczak — chodźmy na zaplecze.

— O nie! — zaprotestował Paweł — koleżanka jest kulturalna, nie będzie krzyczała, a ty także będziesz grzeczniejszy tutaj, pod naszą opieką! — odeszli wolno i obsadzili pobliski stół.

— Ładne masz towarzystwo, nie ma co! — warknął i wykrzywił tę swoją wredną gębę. Boże! jaki on był wściekły, wściekły i bezsilny.

Dobry kawał! On będzie oceniał moje towarzystwo; stajał we mnie strach, kipiałam nienawiścią.

— Ładniejsze od twego — nie miałam zamiaru mówić mu pan — nie użyli dotychczas brzytwy, ale jeśli nie będziesz grzeczny, to przysięgam, zostaniesz inwalidą!

— Ja sobie porozmawiam z twoją mamusią!

— Zamknij dziób — coś mnie zmuszało, aby być ordynarną. — Za krótkie rączki masz do mojej mamusi! Wiem więcej, niż ci się wydaje. Pikowa Dama to tylko część programu, więc nie podskakuj, bydlaku. Ze mną przegrałeś. Mogę wpakować cię w taką kabałę, w jakiej jeszcze w życiu nie byłeś... To tylko mojej głupiej starej się wydaje, że masz na nią szantaż. Na mnie go

nie masz! Może i byłeś groźny handlując dziewczynami w Szczecinie przed ćwierć wiekiem, może i bały się ciebie te różne Melki, Perły... Ale to nie te czasy, ja jestem z innego pokolenia, dla mnie jesteś najwyżej obrzydliwy!

— Czego chcesz?

— Żebyś stąd zjeżdżał do Szczecina albo diabła, obojętne. Wiem o kradzieżach gorzały, znam adres meliny w Wilanowie, wiem także wszystko o odbiorcach, o madame Kulik, rajfurze ze Świnoujścia. Wynocha z Monopolu, i to zaraz, jeśli chcesz unieść cało tę swoją parszywą gębę... Karty nadziewane dolcami i pięć tysięcy, któreście ukryli w książkach mojego starego, dostaniesz z powrotem, ale musisz zabrać także tego swojego pajaca Omerowicza. Starczy, czy mam mówić dalej...

Zatkało go; poszarzała mu ta bandycka mordą i zapomniał języka w gębie. Gapił się na mnie nic nie rozumiejąc, oszołomiony, jakby dostał obuchem w łeb, wodził osłupiałymi ślepiami i zwyczajnie, parszywie się bał! Chyba tak samo, jak ja przez ostatni czas albo jeszcze gorzej.

Czułam, że zwyciężyłam. Nie zdawałam sobie sprawy, co go najbardziej przerażyło; dopiero później dowiedziałam się; że madame Kulik została rozjechana samochodem w pobliżu granicy miasta. On wówczas był przekonany, że o tym ja także wiem!

— Jak widzisz, mogę cię w każdej chwili zasadzić do pudła, a razem z tobą całą twoją szpanę, wybieraj — grałam *va banque*.

— Jakie stawiasz warunki? — wykrztusił wreszcie.

— Dobry sobie, już postawiłam! Wont z naszego domu, wont od mojej matki, wont z Monopolu i fora z Warszawy. *W y s i e d l a m* cię, rozumiesz!

— Dobrze... no już dobrze, słowo — mamrotał.

— Facecjonista, *s ł o w o* ! Chce ci się jeszcze żartować w takich opałach — roześmiałam mu się w nos; parował ze mnie strach, triumfowałam. — Tu przygotowałam na maszynie tekst

wypracowania, które starannie przepisziesz i podpiszesz własną ręką...

W punktach wyliczałam tam wszystkie jego sprawy, jakie tylko znałam, a zaczynało się: ja

Władysław Banaszczak oświadczam...

— Ja tego nie podpiszę! — rzuciło nim, gdy przebiegł kartkę oczyma.

— To podpiszesz u prokuratora! Żegnam — zrobiłam ruch, jak gdybym chciała wstać.

— Poczekaj... Jaką dajesz gwarancję, że dotrzymasz?

— Tylko moje słowo, ale ono jest coś warte! Jednak musisz na zawsze zejść nam z oczu.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Już mówiłam, zajmie się tobą prokurator.

— Daj mi czas do namysłu.

— Nad czym tu myśleć? Trzeciego wyjścia nie masz... — znów zaczęłam się bać. Po co mu ten czas do namysłu, co on knuje? Nie wolno mu dać żadnego czasu, nie wolno, aby ochłonął.

— Masz przy sobie dolce i te tam... Karty?

— Nie jestem taka idiotka. Są w bezpiecznym miejscu u pewnego człowieka, którego nie znasz, razem z kopią tego tekstu, w pakiecie zaadresowanym do prokuratury. Jeśli mnie lub matce coś się stanie, ten pakiet zostanie wysłany. Jak widzisz, przewidziałam wszystko, wzięłam małą na sznur.

— Trzy dni do namysłu!

— Nie!

— Trudno... przyjdź jutro o ósmej wieczorem do „Homara”, przecież muszę zlikwidować niektóre sprawy. Muszę coś powiedzieć kobiecie, z którą mieszkam.

— To jest dwadzieścia cztery godziny... — powiedziałam; po co mu są potrzebne?

Rzeczywiście musi się przecież jakoś zebrać. — Niech będzie — zgodziłam się. — Tylko zapamiętaj, co powiedziałam. To nie bluff, wiem że jesteś gangster, toteż ubezpiecza, łam się na

wszystkie okoliczności. I jeszcze jedno: nie masz już żadnych spraw do mojej starej. Ani słowa.

Znikasz po angielsku, bez pożegnania, w twoim imieniu zrobi to Omerowicz, gdy się będzie wynosił.

Z „Homara” szłam jak na skrzydłach, czułam się wyzwolona z tego koszmaru, nękającego mnie od kilku miesięcy.

Następnego dnia o siódmej zadzwonił telefon... Dobrze pamiętam tę godzinę, nie zapomnę jej nigdy w życiu...

* * *

Maria Zasławska przyjęła mnie bez zdziwienia, tak jakby mnie oczekiwała. Była gotowa w pięć minut, sprawiała wrażenie człowieka, któremu się bardzo śpieszy. Zrozumiałem. Nie chciała spotkać nikogo z domowników.

Nie uniknęła tego: weszła gospodyni, zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem: — Kiedy pani wróci? — zapytała.

Zasławska bezradnie spojrzała na mnie.

— Pani jedzie do prokuratury i być może zostanie tam jakiś czas — ileż nienawiści do siebie spostrzegłem w oczach tej starej kobiety. Potem po jej twarzy potoczyły się wielkie, ciche łzy. — Co mam powiedzieć panu, jeśli zadzwoni? — stłumiła szloch; ciągle patrzyła na mnie i mnie o to pytała.

Co ma powiedzieć! Jak gdyby można tu było cokolwiek ukryć. Czy ona nic nie rozumie?

Byłem zły. Czego ode mnie chce ta stara kobieta, jakbym ja był winien, że zawalił się ich świat.

Było mi żal profesora Zasławskiego i tej małej, przez to współczucie byłem jeszcze bardziej wściekły na siebie, na nich, a przede wszystkim na Zasławska.

— Może pani powiedzieć, co pani chce, to nie moja sprawa — burknąłem. — Ja nie mam zamiaru dzwonić do profesora do Paryża.

— A taki, nie powiem prawdy, nasza pani niczemu nie winna, a zanim nasz pan wróci, wszystko się uładzi. Przekona się pan, jeśli ma pan Boga w sercu!

— Aniela... gdyby dzwonił, powiedz, że... wyjechałam na tydzień do... Zakopanego, a teraz już idź, kochana, idź do siebie i dbaj o Dorotę... — wykrztusiła Zasławska i zamknęła za gospodynią drzwi.

Na co ona liczy? — zastanawiałem się. Zasławska sięgnęła do sekretarzyka.

— Proszę mi to oddać! — chwyciłem ją za rękę; coś jak cień uśmiechu przemknęło przez jej twarz. Była bardzo blada, z błękitnymi cieniami pod czarnymi, nienaturalnie błyszczącymi oczyma — te oczy zajmowały pół twarzy — wydała mi się jeszcze piękniejsza niż wówczas, gdy była u mnie po raz pierwszy.

— Miałam dość czasu, aby się zabić, i nikt by mi w tym nie przeszkodził. Nie zrobiłam tego, bo nieobecni nigdy nie mają racji. Proszę! — podała mi fiolkę z proszkami — będę potrzebowała podpórki psychicznej...

Spokój, wyrachowanie czy rezygnacja? Nie potrafiłem jej zrozumieć.

— Jeśli to możliwe, błagam pana o względy dla mojej córki i... męża! Nie zasłużyli na taki los.

Gdy znaleźliśmy się w prokuraturze, poprosiła o fenakti — właśnie to świństwo wypełniało całą fiolkę, którą jej odebrałem.

Przy niej zadzwoniłem do milicji, aby przywieźli szatniarza i kelnera z tej knajpy o karkołomnych schodach, patrząc na nią wymieniłem nazwę lokalu.

— Nie trzeba — powiedziała. — Tak, to ja tam byłam i ja przyprowadziłam tego pijanego mężczyznę...

Siedziała, przede mną żona profesora, kulturalna, elegancka kobieta, doskonała pielęgniarka, matka dorosłej córki, i beznamiętnie, poprawną polszczyzną opowiadała, jak pewnego wieczoru

weszła do peryferyjnej mordowni, pełnej pijanych mężczyzn, jak sprowokowała jednego z nich i zwabiła do mieszkania Władysława Banaszczyka, a potem zostawiła tam, zaś sama uciekła pod pretekstem przyniesienia wódki.

Co za rozszczepienie osobowości! Oto jakimś sposobem czas cofnął się o ćwierć wieku; Perła, portowa dziewczyna, opowiada o jednym ze swoich profesjonalnych wieczorów, który zakończył się tragicznie. I nic ją nie obchodził los obcego człowieka, którego bez skrępowań, z rozmysłem wrobiła w sprawę o morderstwo. Przecież sprowadziła go tylko po to, aby zrzucić na niego odpowiedzialność za popełniony czyn.

Postąpiła jak ostatnia dziwka, bo nawet nie każda dziwka tak dalece wyzuta jest z ludzkich uczuć.

A jednak przyjęcie tej najbardziej oczywistej, najłatwiejszej do zrozumienia wersji wydarzeń budziło we mnie wewnętrzny sprzeciw. Było to odczucie zupełnie irracjonalne; może wpływało z sympatii, jaką mimo woli budziła ta piękna kobieta o ujmującym sposobie bycia, może myliła historia jej ostatnich dwudziestu lat? Nie wiem. Ale trudno było mi uwierzyć, że zamordowała, mimo tak pasujących motywów czynu, licznych poszlak, a nawet dowodów.

A może właśnie dlatego? Przez cały czas miałem niejasne wrażenie, że... No właśnie co?

Nieco później skryształizowało się to w wyraźną myśl. Ale teraz rzeczą absolutnie pewną był fakt, że to ona sprowadziła Chmielnika do mieszkania, w którym leżał trup.

W jakim celu to zrobiła, jeśli nie ona zamordowała?

Powiedziałem, że znam od dawna jej przeszłość. I znów mnie zaskoczyła. Pochyliła głowę, krwisty rumieniec oblał jej twarz Niewiarygodne! Przed chwilą spokojnie relacjonowała przebieg spotkania z Chmielnikiem, wobec którego zaledwie kilka dni temu zagrała rolę kobiety łatwej, a na wspomnienie odległych spraw sprzed ćwierć wieku skręcał ją wstyd.

Przypuszczam, że gdyby inaczej odczuwała tamten rozdział swego życia, nie siedziałaby teraz

przed prokuratorem, podejrzana o zabójstwo.

— To już pan wie, kim był dla mnie w tamtych latach Władysław Banaszczak — wykrztusiła.

— Nie widziałam go dwadzieścia pięć lat, pojawił się dopiero kilka miesięcy temu, i wtedy zaczęło się to wszystko...

Skinąłem głową, chociaż dopiero w tej chwili o tym się dowiedziałem. — Jak to się stało, że tego wieczoru znalazła się pani w mieszkaniu Banaszczaka?

— Dzwonił do mnie... To znaczy nie on, tylko ktoś z jego polecenia, nie wiem kto.

— Kobieta, mężczyzna?

— Nie uwierzy pan, ale nie wiem... Jakiś taki nieokreślony, piskliwy głos.

Do Kostrzycy także ktoś dzwonił; ona twierdziła, że wezwał ją Banaszczak, ale to była nieprawda. Banaszczak w tym czasie już nie żył — czas jego zgonu wyraźnie określiła sekcja zwłok. Tym kłamstwem agentka broniła się przed posądzeniem jej o morderstwo kochanka, a teraz prawdopodobnie boi się odwołać to, co zeznała na początku; czyżby ta sama osoba dzwoniła do obu kobiet?

— Co było dalej?

— Gdy przyszedłem, on leżał martwy...

Po wezwaniu natychmiast pojechała do Banaszczaka taksówką. Nikt nie odpowiadał na jej dzwonek — odruchowo nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. W drugim pokoju, pod oknem, dostrzegła leżącego Banaszczaka. W pierwszej chwili pomyślała, że zasłabł. Podbiegła do niego, chwyciła za rękę — była zimna.

Jak podkreśliła, wiedzona pielęgniarskim odruchem, zbadała gaiki oczne i stwierdziła, że nie żyje. Wtedy zwlokła wielki dywan z podłogi, nakryła nim ciało i... pobiegła do najbliższej knajpy.

— Ile to wszystko trwało?

— Nie wiem, byłam u progu szaleństwa, to przekroczyło moje granice pojmowania świata!

Przypomniały mi się zeznania personelu. Ta kobieta sprawiła na nich wówczas wrażenie nienormalnej.

Mianowicie co tak wstrząsnęło tym pani światem — wbrew woli moje pytanie zabrzmiało trochę ironicznie. Nie odpowiedziała. — Zatem przyznaje się pani do zabójstwa Banaszcza?

— Nie, nie zabiłam go! Chociaż powinnam była to zrobić! Zabijałam go w swoim sercu codziennie, od chwili gdy pojawił się i zagroził temu wszystkiemu, co stanowiło sens mojego życia.

— Szantażował panią? — skinęła głową; cóż jej miałem teraz powiedzieć, że należało przyjść do prokuratora, do milicji? Oczywiście, odpowiadałby za szantaż, ale jego donos dotarłby do męża, do dziecka, a ta kobieta obawiała się tego jak śmierci.

— W takim razie dlaczego sprowadziła pani tego mężczyznę? — milczała.

Zadzwoił oficer służby kryminalnej i poinformował, że rewizja u Zasławskich zakończona; prosił, abym przyjął go natychmiast, znalazł bowiem coś interesującego.

Wyszedłem do niego na korytarz, podał mi jakieś czasopismo. Jedna kolumna zakreślona była czerwonym flamastrem.

Przebiegłem oczyma tekst:... alergia na iniekcję penicyliny... alkohol... anafilaktyczny szok... spadek ciśnienia krwi...

Był to artykuł w specjalistycznym piśmie lekarskim, traktujący o wypadku śmierci, spowodowanym uczuleniem na penicylinę.

Byłem wstrząśnięty; tu wydrukowano szczegółowy opis śmierci, jaką kilka dni temu zginął Władysław Banaszcza, zaś egzemplarz miesięcznika pochodził sprzed dwóch lat.

— Pan to zakreślił? — wskazałem czerwoną krechę.

— Nie, taki znaleźliśmy.

Podziękowałem mu i wznowiłem przesłuchanie Zasławskiej.

— A co by się stało, gdyby spotkała pani przyjaciółkę Banaszczaka lub kogoś innego?

— To samo co i teraz, nic gorszego.

— Poznaje pani? — pokazałem jej nóż z rękojeścią wykładaną perłowcem i nabijaną miedzianą żyłką.

Pochyliła się ku mnie, chwyciła za brzeg biurka tak mocno, że pobieleły jej palce.

Nieprzytomnymi oczyma wpatrywała się w ten sztylet. Musiałem powtórzyć pytanie.

— Poznaję — ocknęła się. — To mój nóż! — podkreśliła z naciskiem. Zabrałam go ze sobą na wszelki wypadek, zresztą zawsze go ze sobą nosiłam... — splotła kształtne dłonie, aby ukryć zdenerwowanie. Od chwili zabrania jej z domu nic jej tak nie poruszyło jak widok tego noża.

— Wie pani, w jaki sposób zginął Banaszczak? — potrząsnęła głową, ale nie wydobyła z siebie ani słowa: wydawało się, że jest u kresu wytrzymałości psychicznej, a mimo to panowała nad sobą. Z jaką ostrożnością ważyła i odmierzała każde wypowiedziane zdanie. Wyczuwałem w niej jakąś wewnętrzną siłę, która podtrzymywała ją przez cały czas. Ta kobieta uporczywie walczyła i niepotrzebnie podejrzewałem ją o zamiar popełnienia samobójstwa. Mimo pozornej słabości i wyczerpania była bardzo mocna. Co dawało jej tę siłę?

— Potrząśnięcie głową to w prawdzie także odpowiedź, ale tutaj nie wystarcza — powiedziałem.

— Nie wiem, w jaki sposób umarł Władysław Banaszczak — wyskandowała, patrząc mi prosto w oczy.

Odczytałem jej protokół sekcji zwłok, wyniki badania fiolek po penicylinie.

— A to pochodzi z pani biblioteki — podałem jej przyniesione przed chwilą pismo; zachowała się zaskakująco, niezrozumiale. Wydawałoby się, że te niemal niezbite dowody powinny ją załamać, a przynajmniej jeszcze bardziej przygnębić, a ona? Jakby poczuła ulgę.

Rozluźniły się napięte mięśnie twarzy, spojrzała na mnie — nie omyliłem się — spojrzała prawie z wdzięcznością.

— Dziękuję panu, prokuratorze... — szepnęła bez sensu i... rozplakała się cichym, bezgłośnym płaczem.

Dopiero w tej chwili pojąłem, skąd czerpała tę zdumiewającą siłę, i mimo że sprowadzenie Chmielnika na miejsce zabójstwa było nikczemnością, zrozumiałem motywy jej postępowania. Ona nie przebierając w środkach usiłowała osłonić kogoś, kogo bardzo kochała!

Intuicja skonkretyzowała się w wyraźną hipotezę; ktoś mi podsuwa Zasławską jako sprawcę zabójstwa!

Maria Zasławska miała powody, aby zabić Banaszcza — to fakt, ale skąd taki komplet znakomicie pasujących do siebie dowodów? Z pewnością wystarczyłyby na poszlakowy proces. Jednak ten ktoś przefajnował, zakreślając czerwoną linią ten fatalny artykuł, który miał ją w moich oczach dobić, należy poszukać tego kogoś.

Dorota Zasławska przyszła do mnie sama, zanim jeszcze zdążyłem ją wezwać. W ręku niosła mały neseser, a pod pachą dźwigała olbrzymi tom; z hukiem zwała go na moje biurko, neseser wepchnęła pod krzesło.

Odruchowo spojrzałem na tytuł książki: Gibbon „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego”. Po co ona to przyniosła? — zdziwiłem się; poraziło mnie jej bliźniacze podobieństwo do matki. Tak samo piękna musiała być Perła, gdy miała siedemnaście lat. A ile lat ma teraz Dorota, szesnaście? Czyżbym miał nieścisle dane dotyczące jej wieku?

Piękna; pyszne włosy jak kask przylegające do kształtnej głowy i gruby warkocz opadający na plecy. Delikatna, dziecinna niemal buzia i wręcz anielski wyraz grzecznej, dobrze wychowanej dziewczynki.

— Panie prokuratorze, moja matka nie popełniła morderstwa. To nonsens. Proszę ją wypuścić,

to ja wszystko powiem!

— Czy... — zawahałem się, jak jej mam mówić.

Zrozumiała moje wątpliwości.

— Dorota! Proszę mi mówić po imieniu, tak będzie prościej.

— Więc przyszłaś się targować z prokuratorem?

— Źle mi się powiedziało, trema!... Chcę pana uchronić od błędu, bo w sądzie i tak wszystko się wyjaśni, a panu będzie łyso.

— Nie brakuje ci tupetu... — widać było, że to jedynaczka, której niczego nie odmawiano.

Było w niej zresztą oprócz bezczelności wiele wdzięku.

— Nie chciałam pana urazić, ale ja jestem córką prawnika, wyrosłam w tym, a ostatnio obkułam się jak na egzamin!

— Nigdy się nie malujesz? — zagadnąłem ją pod wpływem przypuszczenia, które nawet mnie wydało się bezsensowne; jednak musiałem i to wyjaśnić, aby nie pozostał nawet cień wątpliwości.

— Owszem, czasami, ale co to ma do rzeczy? — stropiła się.

— Dlaczego do mnie przyszłaś bez makijażu?

— Uważałam, że tak będzie stosowniej... — spojrzała na mnie oczyma niewiniątka.

— I zawsze nosisz ten pensjonarski warkocz?

— Nie... Czasami czeszę się w kok.

— To uczesz się w kok.

Kazałem zrobić jej makijaż; posłusznie, choć ze zdumieniem uczesała się i poddała zabiegom charakteryzatorskim. Teraz wyglądała na swój wiek, a nawet nieco poważniej.

Przebiegła sztuka! Chciała wzruszyć mnie warkoczem uczennicy i buzią dziecka.

Kazałem przywieźć obsługę knajpy; przyglądali jej się uważnie, a ona im spokojnie, bez

cienia zdenerwowania.

— Co to za eksperymenty panie prokuratorze? — zapytała, gdy wyszli. — Przecież ja panu i tak wszystko opowiem.

Szatniarz i kelner orzekli: bardzo podobna, ale w barze była tamta starsza.

Kamień spadł mi z serca i nawet się zawstydzilem, że mogłem podejrzewać o morderstwo tę młodą dziewczynę; a jednak coś w tym było? Przecież jej matka tak dalece ją o to podejrzewała, że przyprowadziła tamtego mężczyznę z baru, aby odwrócić uwagę od córki, gotowa raczej przyjąć wszystko na siebie.

— Panie prokuratorze, o wpół do ósmej Banaszczak już nie żył. Byłam tam o wpół do ósmej i widziałam go; był już zimny — powiedziała z napięciem.

— Tak dokładnie pamiętasz godzinę?

— Bo o siódmej ktoś zadzwonił, abym tam przyszła.

— Głos bardzo piskliwy, niezbyt wyraźny?

— Skąd pan wie?... Ale to prosty numer, i nawet ja go znam! — chwyciła słuchawkę, podwójnie złożyła szalik, obciągnęła membranę. — Teraz już pan na pewno nie pozna głosu rozmówcy.

— Po coś tam poszła? — miała rację z tą zmianą głosu.

— Po cyrograf... — i zaczęła opowiadać; początek sięgał dnia, w którym usłyszała, jak nie znany jej wówczas Banaszczak szantażował matkę, nazywając ją Perłą... Sprawę samochodu zřęcznie ominęła, ale nie przerywałem jej. Gdy jednak dotarła do historii z pobiciem Banaszczaka i Omerowicza, nie wytrzymałem.

— Strasznie łżesz!

— Metafora!...

— Narozrabiałaś, ale przynajmniej teraz już nie kłam!

— Panie prokuratorze, mogę panu wyliczyć wszystkie paragrafy KK, z jakimi jestem na bakier, ale niech mnie pan nie pyta o współników! Pół roku temu skończyłam osiemnaście lat, jestem odpowiedzialna przed prawem, wszystko, co robiłam, robiłam z całą świadomością i jestem gotowa... O widzi pan — zademonstrowała piżamę, szczotkę do zębów i jeszcze jakieś drobiazgi, wyciągnięte z neseseru.

— A ten Gibbon? — starałam się zachować urzędową powagę — Żeby w kiciu nie dostać kręćka z beczynności i rozpamiętywania.

— Co było dalej?

— Szantaż na szantaż. Złamał się, trzeba go było widzieć, mocny był tylko do słabszych...

Umówiłam się z nim, że wymiana odbędzie się w „Homarze”, a potem był ten cholerny telefon: przyjedź natychmiast, nieszczęście z matką!

— Uwierzyłaś?

— Jak pan widzi, dałam się w to wrobić. Ale wtedy nie miałam czasu na główkowanie.

Czułam się odpowiedzialna za to, co namieszałam. Powiedziałam, że przyjadę, ale bez zastawu, i jeśli włos spadł z głowy mojej starej albo coś stanie się ze mną, moi przyjaciele uruchomią prokuratora.

— Nie bałaś się?

— Okropnie, chyba w życiu tak się nie bałam, ale szalałam z niepokoju o moją starą!

Ogarnęła mnie taka desperacja, że gdyby tylko ktoś ruszył palcem, byłam gotowa zarznąć go bez skrpułów... Widzi pan, wzięłam ze sobą nóż.

— Czy to ten nóż? — pokazałem jej sztylet znaleziony przy zwłokach Banaszczaka.

— Tak... O raju, skąd go pan ma? — szczerze się zdziwiła; chwilami była rozbijającą naiwna.

— Został znaleziony na miejscu zabójstwa! — zbladła, wpatrywała się we mnie

rozszerzonymi przerażeniem oczyma.

— Zgubiłam go, zwyczajnie zgubiłam z tego cholernego boja, a pan pewno myśli, że to ja go... — przekłuła powietrze palcami, głośno przełknęła ślinę. — Zaraz... — zbystrzała po chwili

— ale gdybym go dźgnęła, byłaby na nim krew, dawał pan nóż do badania?

— Uspokój się, nie było na nim krwi. Poszłaś do Banaszczaka zupełnie sama?

— Nie. Ale obstawę zostawiłam na dole. I niech pan nie pyta, kto to był, bo nie powiem. A to był żelazny glejt! — podała mi kartkę papieru; napisany na maszynie tekst rozpoczynał się od słów: Władysław Banaszczak, zatrudniony w Monopolu... Potem położyła przede mną pięć tysięcy dolarów i dwie talie kart, takich samych jak as pik, który znaleziono przy zwłokach Maryli Kulik.

— Co ja mam teraz z tobą zrobić? Tylko nie myśl, że się wzruszę i ze wszystkiego cię wymanewruję!

— Odsiedzę swoje, a może dostanę w zawieszeniu? — spojrzała na mnie z nadzieją. — Tylko strasznie pana proszę, niech pan to jakoś urządzi, bo pan przecież może aby moja matka nie dowiedziała się, że ja wiem o tych jej szczecińskich latach. Niech pan zrozumie, że tylko dlatego to wszystko zrobiłam...

* * *

— ...to bardzo proste, przy wahaniu temperatur spirytus paruje — inspektor NIK-u zapoznawał mnie z wynikami kontroli w Monopolu Spirytusowym w Jeziornej — dlatego też przewidziane są odpowiednie normy ubytków naturalnych przy rozlewaniu i magazynowaniu, a także podczas transportu. Mogą się one wahać w granicach od: 0,0007 do 0,1 procenta. Oczywiście rzadko zdarzało się, aby osiągały one tę górną granicę, powstawały więc nadwyżki, które zagarniała szajka Banaszczaka.

— Kto był bezpośrednio odpowiedzialny za wykazywanie ubytków zgodnie ze stanem

faktycznym?

— Halina Klim, inspektor szczególnego nadzoru! Do niej należało ściśle kontrolowanie przebiegu produkcji spirytusu, w ogóle pilnowanie całego procesu technologicznego i nadzór nad magazynem. To ona prowadziła ewidencję zasobów, przyjmowała i wydawała gotowy produkt, a także sprawdzała dokumentację.

— Wobec tego jaka była rola magazyniera?

— Sporządzał codzienny raport o stanie magazynu, podpisywał każdą fakturę, każdy kwit przyjęcia lub wydania oraz przepustki na wywiezienie produktu z terenu zakładów.

Okres rekonwalescencji Halina Klim spędziła w szpitalu więziennym; aresztowałem ją, zanim jeszcze inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli przedstawili mi protokół o wynikach swoich badań w Jeziornej. Była załamana; sprawiała wrażenie człowieka ciężko chorego, musiałem ją jednak przesłuchać, bo tylko ona mogła mi wyjaśnić, w jaki sposób skradzione nadwyżki przedostawały się poza strzeżoną bramę zakładów.

Nie opierała się; od razu wskazała rewidenta, który należał do ich spółki, pełnił on — na zmianę z trzema innymi — dyżury przy kontroli przejazdów. Po krótkim wahaniu wymieniła także kierowcę i konwojenta. Obaj pracowali w Monopolu od kilku lat.

Rewident po prostu nie rejestrował transportów zawierających kradziony produkt, a kierowca wraz z konwojentem odstawiali ładunek pod wskazany adres.

Zatrzymałem całą trójkę, a zaraz potem właściciela meliny w Wilanowie. W czasie rewizji znaleziono u niego w piwnicy trzysta litrów spirytusu w pojemnikach. Duży zapas butelek, opatrzonych już firmowymi etykietkami Państwowego Monopolu Spirytusowego, i dwa aparaty do kapslowania.

Rewizja nie ominęła także Kazimierza Omerowicza; zrobiono to przy okazji przeszukiwania willi Zasławskich. W jego pokoju nie ujawniono jednak nic kompromitującego. Natomiast w

piwnicy u Haliny Klim wykopano metalowe pudełko, wypełnione biżuterią i złotymi monetami. Na samym spodzie leżały dwie talie ręcznie malowanych kart, owinięte w strzęp jakiejś gazety. Jedna talia była niekompletna Brakowało w niej... pikowego asa! Tego asa, którego znaleziono przy zamordowanej Maryli Kulik.

Długo zastanawialiśmy się, co zrobić z Kazimierzem Omerowiczem. Chciałem go zatrzymać zaraz po zlikwidowaniu meliny w Wilanowie, bałem się, aby nie uciekł. Mógł się przecież spodziewać, że aresztowani wspólnicy nie będą go oszczędzać.

Niespodziewanie sprzeciwił się temu komendant; Omerowicz był teraz jedynym człowiekiem, który mógł naprowadzić na paryskie kontakty Banaszcza.

Zgodziłem się na odroczenie aresztu, pozostawiając pewien czas na dyskretną obserwację plastyka.

Zarządziłem rewizję w „Homarze” i powtórnie poleciłem przeszukać mieszkanie Brygidy Kostrzycy.

— Teraz to znajdziemy ucho od śledzia! — orzekł komendant; uważał, że kochanka Banaszcza była bezpośrednio zaangażowana w działalność szajki i na pewno zdążyła już ukryć ewentualne dowody. Miałem na ten temat odmienne zdanie.

— Pański liberalizm, panie prokuratorze, teraz wychodzi nam bokiem! — dogadywał z pewnego rodzaju satysfakcją; nie mógł mi zapomnieć, że odrzuciłem jego wniosek o aresztowanie tej kobiety zaraz po zamordowaniu Banaszcza.

Ponure przewidywania komendanta nie sprawdziły się jednak dzięki talentowi porucznika z brygady dochodzeniowej.

— Wiadomo, że szukamy forsy — mruknął — a to już dużo... — był specem od tego rodzaju poszukiwań, toteż nie została się przed nim żadna półka, żaden obraz, żadna deska, nawet ta kuchenna, przeznaczona do krojenia czy siekania.

Podzielił mieszkanie na kwadraty; metodycznie, jeden po drugim badał każdy sprzęt. W

łazience zainteresowało go lustro nad umywalką. Typowe lustro sprzedawane wraz ze szklaną półeczką i metalowymi podstawkami pod szklanki.

Po odgięciu górnych zacisków szkło dało się z łatwością przesunąć, odsłaniając wyżłobioną deskę, na której było umocowane. Między zwierciadlaną taflą a drewnem obudowy wciśnięta była torebka z folii, a w niej banknoty tysiąc i pięćset dolarowe, wartości około ośmiuset tysięcy złotych.

Brygida Kostrzyca nie musiała udawać osłupienia, kiedy porucznik wysypał przed nią banknoty, znalezione za lustrem, przed którym codziennie dopełniała toalety.

— Nie miałam pojęcia o tych dolarach i nie wiem, skąd pochodzą! — powiedziała na przesłuchaniu. — Wiedziałam jedynie o biżuterii schowanej w skrzynce na kwiaty, tej, którą znalazła milicja podczas pierwszych oględzin... Nie kryłam, że należała ona do Władka...

— Nie zastanawiała się pani, skąd do Banaszczaka klejnoty wartości sześciuset tysięcy złotych? — na tyle bowiem jubiler rzeczoznawca wycenił kosztowności zagrzebane na balkonie.

— Sześćset tysięcy, o Boże! — jęknęła.

— Kiedy pani pierwszy raz usłyszała od niego o tej biżuterii?

— Chyba gdzieś pod koniec października... Ale on mi nic nie powiedział... Widzi pan, zawsze na zimę wyrzucałam ziemię, myłam skrzynki i wynosiłam je do piwnicy, aby nie niszczały, to teraz też tak chciałam zrobić. Zabronił!... No to byłam ciekawa, dlaczego. Kiedyś sposobnym czasem sprawdziłam...

Koniec października! Dwudziestego ósmego października znaleziono zwłoki Maryli Kulik; najprawdopodobniej była to fortuna, wydartą jej przez Banaszczaka wraz z życiem! A więc zamordowano go, aby odebrać łup? — tylko zabójca nie znalazł dewiz ukrytych za lustrem ani kosztowności zakopanych w skrzynce na kwiaty.

— Czy widziała pani kiedykolwiek te przedmioty? — pokazałem Kostrzycy zegarek wysadzany diamentami, pierścionek z brylantem, kolczyki i bransoletkę, znalezione w metalowym pudełku w piwnicy Haliny Klim.

— Ależ te kosztowności zginęły po zamordowaniu Władka. Powiedziałam o tym zaraz na pierwszym przesłuchaniu... No i... jeszcze dwa tysiące dolarów... także Władkowych... — natychmiast protokołuję jej zeznania. Pod koniec rozmowy agentka prostuje poprzednie wyjaśnienia; to nie Banaszczak wzywał ją krytycznego wieczoru, nie wie, kto to był. Jakiś nieokreślony, piskliwy głos.

Z pani mieszkania woda zalewa klatkę! — agentka powtarza w dosłownym brzmieniu to, co wówczas usłyszała. Była przekonana, że to ktoś z sąsiadów. Po prostu Banaszczak wyszedł, zapominając zakręcić kran.

Potem, gdy znaleziono jego zwłoki, zrozumiała, że to podstęp, lecz bała się powiedzieć prawdę; nie mogła tego udowodnić i podejrzenie mogło paść na nią. Utwierdziło ją w tym zachowanie Chmielnika. Byłem ciekawy, czy Halina Klim otrzymała podobny telefon i czy o tym powie, ale przedtem trzeba było wyjaśnić z nią szereg innych spraw. Więc najpierw nadużycia w Monopolu. W zasadzie nie wypierała się niczego, starając się jednak jak najwięcej przypisać Banaszczakowi.

— Przez piętnaście lat nie wzięłam nawet kropli... — zaklinała się; to prawda, przez tamte lata pracowała uczciwie, stąd jej awans i nieskazitelna opinia, stąd zaufanie zwierzchników. Wsiąkła w tę spółkę dopiero przed dwoma laty, odtąd kradła już systematycznie.

— To miał być tylko jeden, jedyny raz... Zgodziłam się i nie ma na to żadnego usprawiedliwienia... A potem nie było już powrotu, i tak brnęłam...

Nie wspomina ani słowem o roli Kazimierza Omerowicza; nietrudno odgadnąć, w jakiej mierze przyczynił się do jej dramatu. Banaszczak z intuicją rasowego sutenera podsunął jej tego

urodzewego wałkonia i przy jego pomocy nakłonił do zorganizowania kradzieży.

— On nie ma z tym nic wspólnego! — broni zaciekle Omerowicza, nie zdając sobie sprawy, że wilanowski meliniarz jest znacznie mniej lojalny wobec współnika. Sypnął go już w pierwszym przesłuchaniu; to przecież on nagał i załatwiał klientów. Milicja zdążyła już odnaleźć i przesłuchać kilka osób, które kupowały spirytus za pośrednictwem tego pięknisia. O, tutaj kwitły jego talenty akwizytorskie. Ten as nocnych knajp czarował szczególnie kobiety; oferował kradziony towar po niskiej cenie, dokładając gratis swoje wdzięki.

— Kiedy ostatni raz widziała pani Banaszczaka?

— Ósmego grudnia, rano — powiedziała to spokojnie, jak oczywisty fakt.

Banaszczak został zabity ó s m e g o grudnia około godziny czwartej po południu, to stwierdził zakład medycyny sądowej po przeprowadzeniu sekcji zwłok.

— W jakich okolicznościach?

— Poprzedniego dnia wieczorem umówił się ze mną telefonicznie. Przyszłam z rana, mogła być dziewiąta... Wtedy uprzedził mnie, że rezygnuje z pracy, w zakładach więcej się nie zjawi, a wypowiedzenie prześle pocztą.

— Czym tłumaczył tę nagłą decyzję?

— To nie było takie nagłe postanowienie. Nosił się z takim zamiarem już od kilku tygodni. Ja mu nie wierzyłam, myślałam, że udaje...

— Dlaczego miałby udawać?

— No... nie wiem, ale ja już coraz gorzej znosiłam ten stan rzeczy, o czym mu zresztą nieraz mówiłam, a nie zawsze spokojnie... Miałam tego dość, chciałam z tym skończyć.

— Czy jego przyjaciółka była wówczas w domu?

— Nie. O tej porze ona już musiała być w lokalu... Zresztą przy niej nigdy nie załatwialiśmy naszych spraw.

— Jak pani przyjęła jego decyzję?

— Byłam zadowolona, uwierzyłam, że nareszcie odetchnę.

— Czy zawiadomił pozostałych współników, przecież to mogło wyglądać na ucieczkę?

— Z nimi załatwił jeszcze poprzedniego wieczoru... Chyba dał im trochę pieniędzy, nic bliższego nie wiem, bo naprawdę nie ja rządziłam w tej spółce.

— Pani także dał t r o c h ę pieniędzy? — długie milczenie, potem z ociąganiem przyznała się, że tak, i wymieniła sumę.

— Czy to jest te trochę pieniędzy? — wysypałem przed nią zawartość metalowego pudełka. Spojrzała na mnie, jak gdyby nie wiedziała, o co chodzi.

— To wykopano w pani piwnicy!

— Ależ ja nigdy nie widziałam tej biżuterii, nigdy nie miałam złotych monet...

— A te karty, także nigdy ich pani nie widziała?

— Sądzę, że to są karty robione przez pana Omerowicza, ale to przecież nie przestępstwo! — czyżby ta kobieta nie orientowała się, do czego współnikom służyły te karty?

— To śmierć Banaszczaka pchnęła panią do samobójstwa?

— Wtedy gdy otrzymałam wezwanie, nic jeszcze nie wiedziałam o jego śmierci... Myślałam, że wszystko się wydało, a on uciekł pozostawiając mnie na pastwę losu Nie chciałam już żyć, znosić wstyd, upokorzenie... Niech pan nie myśli, panie prokuratorze, że przez te dwa lata dobrze mi się żyło, to była ciągła presja, ciągły strach, ciągły stres, a i te pieniądze nie cieszyły...
Przegrałam życie!

Zawartość metalowego pudełka, znalezione w piwnicy Haliny Klim, zbadali eksperci, wyniki badań komendant przyniósł mi osobiście.

— Wiążemy pajaca? — powiedział o Omerowiczu.

Dłużej nie było na co czekać; plastik przyczał się i nie było nadziei, aby popełnił jakąś

nieostrożność, na co poprzednio liczyliśmy. Zresztą już teraz nie było to nam potrzebne.

* * *

— Kiedy pan robił te karty?

— Nie pamiętam... Wiele takich kart robiłem na sprzedaż — patrzył jak urzeczony na rozrzucone monety, biżuterię, na wachlarzyk kart, milczał i pocił się; niemal czułem odór tego potu, ten człowiek przypominał zagnanego w potrzask skunksa — śmierdział strachem.

— To znaleźliśmy w piwnicy Haliny Klim, a gdzie dwa tysiące dolarów, które zabrał pan u Banaszczaka? Zakopane w ogrodzie Zasławskich, co? Aby nie ryzykować całej fortuny w jednym miejscu.

— Nie wiem, o czym pan mówi... — wyjąkał z kiepsko zagranym oburzeniem.

— O tym, że ósmego grudnia zamordował pan i obrabował swego współnika.

— To trzeba udowodnić! — widziałem, jak zmobilizował się do tego okrzyku, ale i tak wypadło to blado, jak szurzy pisk.

— Na tych kartach było mnóstwo śladów. Pana ręce, ręce Banaszczaka i na dodatek palce szefowej ze Świnoujścia.

— Przecież to ja je malowałem, więc muszą być moje ślady! Poza tym karty są do gry... I dlaczego ja mam odpowiadać za sprawki jakiejś dziwki!... — bez skrępulów kierował podejrzenie na Halinę Klim. — Dlaczego ja mam odpowiadać za rzeczy ukryte w j e j piwnicy.

— Na tych przedmiotach nie ma śladów jej dłoni.

— To mnie nic nie obchodzi... Ja nie muszę wykazywać swojej niewinności, to pan ma obowiązek udowodnić moją winę!

— Właśnie to robię... Halina Klim nie mogła zakopać tych przedmiotów. Fragment gazety, w który owinał pan karty, pochodzi z dnia jedenastego grudnia, a ona już od dziewiątego była w szpitalu, po zamachu samobójczym... — poszarzał, oklapł; miałem wrażenie, że tę galaretowatą

masę, jaką się stał, w kupie trzyma tylko ubranie.

Tak, teraz dopiero zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. To właśnie ten błąd, który popełniają przestępcy; myślą tylko, jak zdobyć i ukryć łup, starannie zacierają ślady i dowody swej przestępczej działalności, lecz zupełnie nie myślą, co się stanie, gdy łup zostanie już odkryty. Zawsze w takich wypadkach działa jakieś ograniczenie wyobraźni, niewytłumaczalna pewność siebie, wiara w swój spryt, w rzekomą umiejętność przewidywania.

I na ogół wpadają przez drobiazg, przez zdawałoby się nie mające znaczenia niedopatrzenie.

Dopiero teraz dotarło do jego świadomości to niedopatrzenie i już nie panuje nad sobą, ogarnia go rozpacz.

— Byłem uczciwym człowiekiem! — krzyczy; nie wspominam, iż wiem, za co go wyleli ze związku plastyków, teraz to nie ma znaczenia. — To ten gangster wciągnął mnie w błoto... — gdy się uspokaja, opowiada, w jakich okolicznościach stał się prawą ręką owego gangstera; ile się namęczyli, zanim znaleźli dostateczną ilość odbiorców na kradziony produkt.

— Nie znałem tej kategorii ludzi, byłem wśród nich bezbronny... — żali się teraz na brutalność i terror Banaszczaka. — A profesorowa Zasławska była dziwką w stajni Lamety! — donosi z satysfakcją i jest szczerze zawiedziony brakiem jakiejś szczególnej reakcji z mojej strony.

W willi Zasławskiej mogli bezpiecznie załatwiać wszystkie sprawy związane z kradzieżami.

Wtedy dopiero interes się rozkręcił; mając do dyspozycji wóz zafirmowany przez Zasławską uzyskali absolutne poczucie bezpieczeństwa.

— Potem zaczęło się coś psuć... — wspomina zniknięcia pięciu tysięcy dolarów z książek profesora — ...a ten buldog mnie posadził o przywłaszczenie.

— Dlaczego właśnie tam pan je ukrył?

— To było najpewniejsze miejsce, zanim nie trafiły do Paryża... — przy rue La Fayette

mieszkał obwieś, z którym Banaszczak od dawna handlował walutami i złotem. Ten facet otworzył im konto, na które lokował przysłane pieniądze, oczywiście po odliczeniu słonej prowizji.

Podział był prosty: co umieszczono w czerwonych kartach, szło na konto szefa, co w czarnych, dla Omerowicza. Ale gotówka przeciekała mu przez palce, mimo że Banaszczak pilnował ich jak brytan, aby żyjąc ponad stan nie zwrócili na siebie uwagi.

— Ten buldog urządził mi dintojrę za zaginione dolce, a ja byłem wtedy przekonany, że to robota Zasławskiej: podejrzewałem starą, a nie tę siksę... Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Banaszczak ufał tej starej dziwce i uważał ją za uczciwą. Potracił mi z mojej doli całe te pięć tysięcy. Potem ten goryl zaczął się bać i widziałem, jak kombinuje, aby wycofać się z tego rakiem, aby tylko z forszą... Na dodatek ta pularda ze Świnoujścia musiała spylić wilię, jeśli nie chciała jej stracić... Była nadziana, ale nie miała jeszcze zamiaru odejść. Obcinanie kuponów nie leżało w jej charakterze, to była kuta baba! Doszła do wniosku, że handel złotem to czyściejsza robota niż prowadzenie burdelu... Miała kontakty w Wiedniu poprzez byłych klientów „Rusalki”, toteż planowała część forsy tam wysłać, a stamtąd via Czechy przerzucić do kraju złoto...

— A Banaszczak doradził przerzucenie banknotów w kartach?

— Zwęszył łatwy łup! Myślę, że gdyby się dała wtedy oszwabić, to pewno by żyła. Ale ta szczwana dziwka przez całą noc wisiała nade mną i podawała po jednym banknocie, gdy kleiłem to świństwo, a potem nie spuszczała oczu z prasy... — potem był komunikat prokuratury, a w garażu Zasławskiej pojawił się dobrze znany mu wóz. Nietrudno było domyślić się, jaki los spotkał tę kobietę.

— Obłowił się, w Monopolu kombinował już tylko symbolicznie, czułem, że lada moment zlikwiduje interes... — Omerowicz nie przypuszczał nawet, że doskonale znam ten okres z

relacji Doroty, kładzie to na karb wyjątkowej precyzji naszego działania.

W tym czasie dziewczyna już śle anonimy i skutecznie odpiera ataki żuli, a Omerowicz jest zupełnie bez grosza; spłaca owe pięć tysięcy i dotkliwie wie, że już nie zdąży się odkuć, bo szef lada moment pozostawi ich wszystkich na lodzie.

Jest wściekły, czuje się oszukany. Plany wżenienia się w Zasławskich wzięły w łeb;

Banaszczak o niego nie dba, widzi się już opuszczony, bez oparcia, bez pieniędzy, nawet bez własnego kąta, co najwyżej na garnuszku Haliny Klim.

— Zmarnował mi życie! — pieni się, to znów rozkliwia nad własnym losem; bardzo mu trudno przebrnąć przez ten fragment relacji, w którym opowiada, jak to myszkując w bibliotece Zasławskich trafił na ten artykuł... Wówczas jeszcze nie myślał o zabójstwie, to był przypadek? Dopiero potem, gdy krystalizuje się w nim ta decyzja, z pamięci wypływa t a m t a informacja i równocześnie uświadamia sobie, że Banaszczak jest uczulony na penicylinę.

Powtórnie odnajduje ten artykuł, czyta go jeszcze raz, uczy się!

— Zawiadomił mnie, kiedy ta mała postawiła mu ultimatum... tego samego wieczoru chciał się rozstać w zgodzie... Ładna zgoda, pozostawiał mnie jak psa na bruku... Umówiliśmy się na następny dzień u niego w domu. Wyznaczył godzinę dziesiątą... Wtedy Kostrzyca była już w „Homarze”... Dał mi parę groszy i obiecał dołączyć z tych pięciu tysięcy, które miała mu zwrócić wieczorem mała Zasławska! A wciąż mi jeszcze rozkazywał, wciąż czuł się szefem! — tak, Banaszczak nie wyczuł tej decyzji, która dojrzała już u jego współnika.

— Nie, nie podejrzewał mnie, nie przypuszczał, że potrafię się na to zdobyć! — Omerowicz nie potrafi powściągnąć tonu chępliwości w głosie.

Niewiarygodne pomieszanie infantylności i zarozumiałstwa; człowiek bez charakteru i bez skrupułów, ale nigdy nie zdecydowałby się na zadanie ciosu nożem czy innym narzędziem...

Trucizna to co innego. Bezkrwawa, czysta robota. Gwałt, używanie przemocy — na to jest za

słaby Jego plan wydaje mu się doskonały, czuje się bezkarny; zabójstwo pójdzie na konto Marii Zasławskiej, bo ta kobieta ma p o w o d y , aby to z r o b i ć ! Do tego jest pielęgniarką, to u niej znajdą egzemplarz czasopisma z opisem takiej właśnie śmierci.

— ...potem piliśmy wódkę... — już się nie chełpi; duka, wyciskając z siebie słowo po słowie — ...powiedział, że małej Zasławskiej nie napisze żadnego oświadczenia, bo to byłaby pętla dla nas wszystkich! O ósmej wieczorem wręczy jej na piśmie swoją rezygnację z pracy i pryska w Polskę... — kilkakrotnie muszę powtarzać Omerowiczowi pytanie, zanim przyzna, że to on sam wysłał to wypowiedzenie do zakładu pracy już po zabójstwie Banaszcza.

— Zaprawił mu pan wódkę silnym środkiem nasennym...

— Ten cham chęptał koniak szklanką... dopiero po drugiej szklance zasnął, wtedy zrobiłem mu zastrzyk... Panie prokuratorze, ocaliłem tę dziewczynę!... — wybucha i nagle sam jest gotów uwierzyć, że Banaszcza miał zamiar zamordować Dorotę, a on zabił go tylko dlatego, aby ją uratować, kocha ją bowiem mimo wszystko.

Spokojnie przywołuję go do porządku i żądam kontynuowania zeznań, interesuje mnie przecież przebieg wydarzeń.

Omerowicz posłusznie wraca do tematu i bez oporów mówi, jak to nie tracąc czasu splądrował mieszkanie i zabrał wszystkie znalezione pieniądze oraz kosztowności. Był rozczarowany, bo wyżej szacował swego szefa. Potem czekał tak długo, dopóki nie upewnił się, że Banaszcza nie żyje.

Wyszedł około szóstej, nie zamknął drzwi — klucze wyrzucił po drodze i zaczął montować sobie alibi.

Wrócił na mansardę do Zasławskich nie widziany przez nikogo z domowników. Włączył magnetofon. Przez cały wieczór z jego pokoju dobiegała muzyka. O siódmej wymknął się i zadzwonił z budki do Doroty. Przyczajony po drugiej stronie ulicy, widział, jak dziewczyna

nieprzytomnie wybiegła z domu — udało się! Wrócił do siebie, kręcił się po domu, włożył w oczy Anieli.

Potem dzwonił doktor Konrad Ramer i Omerowicz odebrał telefon, nawet się nie spodziewał takiego świadka.

Do Marii Zasławskiej zadzwonił do kliniki. Nie przewidział jednak, że Zasławska pragnąc ratować córkę sprowadzi Bogu ducha winnego człowieka, co jeszcze bardziej zagmatwa sprawę.

Kończę przesłuchanie — jestem zmęczony; pikowy as znaleziony przy Maryli Kulik wędruje do oddzielnej koperty. Z rozklejonej karty wystaje rąbek pięćset dolarowego banknotu.

Piąta barwa asa — myślę i sam nie bardzo wiem, czy odnosi się to do pieniędzy ukrytych w karcie, czy do Kazimierza Omerowicza.